

Zwyciestwo na Janusie

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Zwyciestwo na Janusie

Tytuł oryginalu Victory on Janus

Tłumaczyła Małgorzata Pukacka

Rozdział pierwszy

Posępne zimowe słońce czerwienialo nad powierzchnią Janusa, a jego blade promienie niechętnie ujawniały wstrzasający obraz zagłady Lasu. Lśniące maszyny wyrwały korzenie, odbierając życie drzewu po drzewie. Drzące galezie wystukwały ostrzeżenie, które rozeszło się lotem błyskawicy i dotarło nawet do od dawna martwego Iftcanu. A w sercu potężnego drzewa. Iftsigi, ostatniego z Wielkich Koron, w którym wciąż płynęły żywotne soki i które niezmiennie co wiosnę okrywało się liśćmi, poruszający się wolno mieszkańcy mozolnie wydobywali się z glebi zimowego snu.

Nagle z pradawnej pamięci, nieomal tak starej jak sama Iftsig, nadeszło to wezwanie. Larshowie! Polludzkie bestie niosące śmierć... Wyjdźmy bracia, bronmy Iftcanu sercem i mieczem! Stawmy czoła Larshom...

Niechętne oczy nie chciały się otworzyć. Ayyar szamotał się z okryciem. Tu, w samym rdzeniu gigantycznego drzewa, było ciemno. Znikły letnie girlandy świecących larw Iorgas - spalył one, jak wszyscy ukryte w zacisznych szczelinach kory. Nagle ogarnął go niepokój; zdało mu się, że wokół niego sciana drży i dygocze. I chociaż nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem słyszał alarm Lesnej Cytadeli, rozpoznał go natychmiast.

-Zbudźcie się! Nadchodzi niebezpieczeństwo!

W trzewiach czuł bicie potężnego pulsu. Lecz jakże ciężko było ruszyć się. Letarg, który ogarnął go jesienią wraz z całym rodem, nie ustępował stopniowo, jak chciała tego natura. Ayyar nie czuł się jeszcze gotów na przyjęcie nowej żywotowej wiosny. Z trudem wypelztał spod mat.

-Jarvas? Rizak? - zawołał do pozostałych ochryplym, zardzewiałym głosem. Ostrzeżenie wzmagало się, przynaglając go do... ucieczki!

Jakże to? Twierdza, której nawet starożytni Wrogowie nie potrafili opanować, wydaje im rozkaz wycofania się?

Pozostawienia jej na pastwę nieznanego wroga. bez jednej nawet potyczki? Czyż potężnego drzewa nie zasadzono w legendarnych czasach Blekitnego Liścia? Czyż nie wyrosło na schronienie rasy Iftów w dniach Zielonego oraz Szarego w czasie ostatniej kleski? Nie przetrwało gniewu Larshow? Przecież zostało ocalone, aby plemię Iftów miało gdzie się odrodzić! Oto była Iftsig, Niesmiertelna... A jednak ostrzeżenie brzmiało jednoznacznie...

-Uciekajcie! Ratujcie się!

Ayyar podczołgał się do najbliższej ściany, położył drzące ręce na tetniacej życiem powierzchni. Pod zimną powierzchnią warstwa poczuł ciepło, jakby siły żywotne drzewa osiągnęły najwyższe nateżenie.

-Jarvas? - Podciągnął się i stanął, wspierając o ścianę. Coś poruszyło się na pozostałych dwu posłaniach.

-Czy to Larshowie? - To pytanie nadeszło z mroku po prawej.

-Nie, Larshowie to przeszłość, zapomniana?

Raz jeszcze spróbował zespolic obie pamięci, bowiem tak jak wszyscy inni przebywający teraz wewnątrz Iftsigi, nosił w sobie wspomnienia dwu różnych istot. Przedtem był Naillem Renfro, przybyszem spoza planety, niewolnikiem. Na to wspomnienie jego wargi ściągnięte w złym grymasie odsłoniły zęby. A potem Naill znalazł w lesie zakopany skarb-pulapkę Iftów. Gdy wydobył go z ziemi, został zainfekowany Zieloną Przemianą.

Z owej straszliwej niemocy wylonil się jako Ift, bezwłosy, zielonoskóry mieszkaniec lasu. Stał się Ayyarem. Kapitanem Straży Zewnętrznej w ostatnich dniach Iftcanu, lecz wszystko, czym dysponował oprócz tych informacji, to mizerne strzępy wspomnień. Jako Ayyar-Naill odnalazł innych mu podobnych przemienionych. Byli to: Ashla z osady Himmer, która przejęła osobowość Illyle - byłej kapłanki Zwierciadła. a także Jarvas-Pate, Lokatath-Derek, Rizak-Munro, Kelemark-Torry.

Gdzieś za Morzem Południowym przebywali jeszcze inni, którzy już dawniej ulegli tej samej przemianie. Było ich jednak bardzo niewiele, gdyż nie wszyscy pochodzący spoza planety mogli być poddani przemianie zaplanowanej przez dawnych

lftow w przededniu zaglady ich gatunku; jedynie ci, ktorzy mieli odpowiednia osobowosc. Zaden z przemienionych nie stal sie spojna caloscia. Wewnatrz nich utrzymywala sie niestabilna rownowaga; jedna osobowosc przeciwstawiona drugiej. Czasami byl wiec Ayyarem, czasami Naillem, aczkolwiek ostatnio Naill rzadko uaktywnial sie i Ayyar zyskal przewage.

-Nadeszlo ostrzezenie... - powiedzial Ayyar. - Na zewnatrz smierc zbiera zniwo.

-To prawda, ale zostalismy obudzeni przed czasem odparl Jarvas - i najpierw musimy napic sie napoju przebudzajacego.

W mroku Jarvas powlokł sie na czworakach do przeciwniejszej sciany. Szukal czegos w tkance drzewa. grzebiac rekami na oslep.

-lftsiaga pamietaj o nas! - zawolal z wyrazem zachwytu i spelnionej nadziei w glosie.

Ayyar chwiejnym krokiem podszedl do Jarvasa, ktory pil z wylotu wbudowanego w sciane. Nie ogladajac sie na kubek, lapal slodki sok w obie dlonie. Ayyar poszedl za jego przykladem.

Cieplo rozeszlo sie po calym ciele, a uczucie wewnetrznego chlodu zniklo. Z latwoscia mogli sie poruszac, a jego umysl rozjasnil sie.

-Co sie dzieje? - Rizak pil jako ostatni.

-Smierc... smierc grozi lftsiadze! - Jarvas wyprostowal sie. - Sluchajcie!

Pomrukiem, trzaskaniem galezi o galaz pradawne drzewo walczylo o porozumienie z lftami - czy pol-lftami - znajdujacymi sie w jego wnetrzu. Jarvas obrocil sie.

-Cos nadchodzi ze wschodu!

Na wschodzie lezaly karczowiska. pietna czarnej smierci na obszarze Lasu. Znajdowaly sie tam rowniez budynki portu, w ktorym ladowali przybysze z innych swiatow.

-O co tu chodzi? - Rizak, wzmozniony sokami zywoymi, odwrocil sie. - Wiosna jeszcze nie nadeszla, a zima przeciez nie karczuja.

-Musimy znalezc odpowiedz na wiele pytan. - odparl Jarvas. - lftsiaga zbudzilaby nas tak wczesnie tylko w przypadku smiertelnego niebezpieczenstwa...

-A co z pozostalymi? - Ayyar podszedl do drabiny prowadzacej przez srodek komnaty w gore i w dol, laczacej wszystkie poziomy wysokiego jak wieza drzewa.

-Jarvas? Ayyar? - W chwili gdy postawil stope na stopniu drabiny, z dolu dobieglo przyciszone wolanie. Spojrzal prosto we wzniesiona ku niemu twarz.

-Spieszcie sie, blagam spieszcie sie! - Glos llylle nabral sily. - Nie zwlekajcie ani chwili!

Przesunela sie przed nim. wspinajac ku wyzszeemu poziomowi, gdzie poupychanych pod scianami stalo mnostwo skrzyneczek.

Byli tam pozostali, Kelemark i Lokatath, w szalonym pospiechu ciagnacy skrzynie do drabiny wiodacej w dol, do komor w korzeniach lftsiagi, gleboko w ziemi.

-Nasiona! - llylle podniosla jedna ze skrzyneczek. - Musimy ocalic nasiona!

Dopiero te slowa uswiadomily Ayyarowi w jak powaznej sytuacji sie znalezi. Kazda z owych skrzyneczek zawierala nasiona sluzace odrodzeniu lftow. Znajdowaly sie w nich pulapki majace wprowadzic do plemienia nastepnych przemienionych. Jesli cokolwiek zniszczyloby owe skrzynki, przepadloby ich marzenie o odrodzeniu plemienia. A wiec przede wszystkim musza uratowac nasiona.

-Dokad?

Jego wrodzony zmysl widzenia w ciemnosci poprawil sie i mogli juz bez trudu zobaczyc rozpacz w twarzy llylle.

-Do komor w korzeniach!

Wybor pomieszczen w korzeniach oznaczal, iz lftsga nie ma najmniejszej szansy na przetrwanie. Coz jej grozilo? Jedyna llylle czula z niezachwiana pewnoscia, ze wie co nalezy zrobic.

-Natychmiast przeniesmy nasiona! - Juz stojac na drabinie odwrocila sie, by przywolac Jarvasa i Rizaka.

Jarvas skinal glowa.

-Do komor w korzeniach. Nie pytal, lecz rozkazywal.

Po wielekroc wspinali sie mozolnie i schodzili, dzwigajac bezcenne skrzynki zawierajace uspiona pamiec i osobowosci lftow. Chowajac je w najodleglejszych krancach dlugich korzeni, zdawali sobie sprawe, ze oto lftsga przestaje byc Cytadela. Przez wieki liczniejsze, nizby ludzie lub lftowie mogli zliczyc, byla bastionem, a teraz mieli ja zostawic wrogowi. Zabijali drzewo, ktore bylo schronieniem i azylem ich rasy.

Alarm wciaz poteznial. Poganiani wewnetrznym przymusem biegali, pchali, dzwigali; oproznili jedna komore, druga, trzecia, czwarta... Gdy wreszcie skonczyli, Jarvas wraz z llylle uszczelnili ciasne przejscia, przez ktore uprzednio czolgali sie, pchajac swoje brzemie. Uzyli do tego tkanki drzewa, ziemi i magicznych slow do zwiazania skladnikow.

Nastepnie wspieli sie do komory wejsciowej, wychodzacej wprost na konar i spuscili drabine. Zgromadzili i spakowali zapasy, a Jarvas objal dowodztwo.

-Nawet swoja smiercia lftsga moze zaszkodzic swym przesladowcom. Do dzieła...

On i llylle podeszli, kazde do jednej ze scian, kladac rece na rozedrganej powierzchni drzewa i przemowili prawie jednym glosem:

O, Potezne, nie pozwol swemu duchowi odejsc beztrosko,

Lecz ukarz dotkliwie tych, co nadciagaja.

Ze wszystkich dni ten najgorszym jest Dla tych, co cie skrzywdza.

Polegnij w bitwie; uczyn ze swych konarow miecze,

Ostrza rozdzierajace z galezi,

Z sokow palaca trucizne,

Z pnia twego miazdzacy ciezar.

Umrzyj, jak zyles - przyjacielu, opiekunie lftow,

A twe nasionka znowu zakielkuja.

lftsgo, oto nasza obietnica

Twoje nasienie wyrosnie wraz z naszym.

Krew lftow, soki drzewa stana sie jednoscia.

lftowie drzewu, drzewo lftom!

Wokol nich drzewo zakolysalo sie; z pnia i galezi dobyl sie - nie jek, raczej pomruk bestii.

Potem Jarvas wydal rozkazy.

-Musimy rozpoznać nieprzyjaciela. skad nadchodzi i jakie ma zamiary. Trzeba wyslac zwiad na polnoc i wschod!

A ty, Siewczyni Nasion - ow stary tytul przynalezal llylle - zwroc sie do tego, co moze sluzyc nam pomoc, stac sie nam ratunkiem, do Zwierciadla...

Potrzasnela z powatpiewaniem glowa.

-Raz mi sie udalo, lecz czy i drugi raz sie uda... To nic pewnego... llylle nie jest tylko llylle. Mam zbyt wiele wspomnien nie

pochodzących od Iftow, lecz uczynie co w mojej mocy. - A wy, bracia - zwróciła się ku nim - nie pozwólcie, aby śmierć was zabrała. Nawet jeżeli gwiazdy nam nie sprzyjają, to nie zapominajcie, że jesteśmy zalazkiem nowego życia!

Gdy wyszli na zewnątrz panowała noc, pora Iftow. Wokół trwał gorączkowy ruch. Frenki sunęły chyżo wzdłuż galezi dając susy z konaru na konar, a ich futerka srebrzyły się w świetle księżyca. Niziej chrząkały i prychały borsundy a przerozne latające stworzenia przeszukiwały przestrzeń powyżej. Wszyscy mieszkańcy Lasu dokądś spieszyli. Większość z nich wprawdzie właśnie zbudziła się ze snu zimowego, ale poruszali się z wawo. Iftowie na razie nie wyczuwali zagrożenia. Choc oczywście i wrogi zwierzęta mogły już krążyć po Lesie.

-Huuu-rurrru...

Ta płaczliwa skarga okazała się powitaniem. Pokazny ptak, który usadowił się w pobliżu Iftow, odwrócił czubą głowę, lustrując ich sennym, posepnym spojrzeniem. Był to Zerec, Stary towarzysz polowań. Ayyar otworzył swój umysł na myśli ptaka.

-Lamia... rozzdzierają... zabijają! - wyczuł krew i okrucieństwo.

-Kto?

-Pelzające! Polują na nieprawdziwych! Zabijają, zabijają, zawsze zabijają!

-Dlaczego...?

Zerec zasyczał i oddalił się na szeroko rozpostartych skrzydłach.

-Pelzające... - powtórzył Rizak. - Karczownicy! - Korzystając z ludzkiej części swej pamięci próbował dopasować opis podany przez ptaka do czegoś znajomego.

Przy odpowiednim nakładzie czasu i determinacji ludzie maszyny mogły zmienić oblicze każdej planety. A jednak na Janusie nie było ich zbyt wiele. Planeta ta, prawie w całości pokryta lasami, została opanowana przez członków Surowo religijnej sekty Czcieli Nieba. Bronili oni maszynom wstępu wszędzie, z wyjątkiem terenu portu; pozwalali tylko na prace ręczne, jedynie z pomocą zwierząt. Na Janusie nie było miejsca dla maszyn do karczowania. Chyba że od czasu, kiedy Iftowie zapadli w sen zimowy, zaszła jakaś poważna zmiana.

-Rzeczywiście, port leży na północnym wschodzie rzeki Kelemark. - Ale dlaczego mieliby oni używać maszyn w lesie? Trzymają się wewnątrz swych własnych linii granicznych. Zima zaś nie zezwoliłaby na użycie "potworów".

Nie, Osadnicy nie stosowałby "potworów", jak nazywali maszyny, ani nie zwabiliby łowców do Lasu.

-Ludzie z Osad nie użyłby urządzeń mechanicznych - potwierdził stanowczo Lokatath, który był jednym z nich przed zainfekowaniem Zielona Przemiana.

-Szkoda czasu na zagadki, trzeba działać. - Ayyar Naill powrócił do tematu; jako żołnierz był człowiekiem czynu i nie przywykł wiele mówić.

-Pomyśl dwa razy, abys nie żałował pośpiechu! ostrzegła Illylle.

Uśmiechnął się do niej:

-Odkąd tylko przybyłem na tę planetę nieustannie rzucam śmierci wyzwania. U boku noszę miecz i nie waham się stawiać czoła skalcom. - Przywołał imię najbardziej przerażającego w całym Lesie wroga.

-Rozdzielmy się. - powiedział Jarvas, podczas gdy wędrowali między oszronioną roślinnością. - Po wykonaniu zadania niech każdy wraca na szlak wiodący do Zwierciadła. Myślę, że to nasza ochrona.

Wtopili się w Las; każdy wybrał własną drogę wiodącą na północ lub wschód. Mijali teraz tylko nieliczne zwierzęta; niektóre poruszały się ospale, zupełnie jakby dopiero przed chwilą obudziły się ze snu.

Wyczuł na odor skalca nozdrza Ayyara rozszerzyły się, segregując wonie. Należało wystrzegać się spotkania człowieka - dla Ifta uosabiał on śmierć zadawaną Lasowi. Następnym alarmującym zapachem mógł być smród maszyn.

Wyczuwał jedynie obecność człowieka. Miał dwie Wielkie Korony, martwe i białe jak kość - prawdopodobnie trwały tak od czasów, gdy Larshowie szturmowali Iftcan.

Mimo że Ayyar był wówczas jednym z obrońców, najmniejsze nawet światelko nie rozjasniało wspomnień o tamtych czasach... Czy ow pierwszy Ayyar "zginął" podczas ataku? Nie mieli pojęcia, w jaki sposób ich osobowości zostały umieszczone w skarbach-pulapkach, a następnie przeniesione przez Zieloną Przemianę w kobiety i mężczyzn spoza planety. W dawnych czasach Ayyar był strażnikiem i wydawało się, że Ayyar-Naill ma pełnić podobną rolę.

Przed świtem wiatr przyniósł odor, który skutecznie zagłuszył inne zapachy. Był to swąd spalenizny towarzyszący osadnikom przy wypalaniu ziemi.

Nadchodził świt. Ayyar sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej zielono-brązowo-srebrnej tuniki. Kelemark - niegdys Torry Ladion - był w przeszłości pracownikiem służb medycznych. Wymyślił on i zrobił gogle wykonane z kilku warstw wysuszonych liści, które miały zapewnić ochronę oczu lftów przed oslepiającym światłem dnia. Tak wyposażeni mogli podróżować, wystrzegając się jedynie godzin południowych.

Silny swąd spalenizny mógł skutecznie stłumić zapach człowieka - odtąd więc był zdany jedynie na wzrok. Młode drzewka i zarośla stały wokół nagie, bezlistne. W cieniu leżały łaty niebiesko zabarwionego śniegu; smugi dymu znad tłących się klaków Poczerniałych włókien poruszały pasma mgły i ogrzewały powietrze. Patrząc przez zeszcze badyle na szeroko rozciągające się pustkowia i jego wargi ponownie wykrzywił grymas.

Gdy spali, rzeka oddzieliła resztki lftcanu od osad, teraz jednak wypalone ścieżki sięgały daleko w głąb Lasu. Były zadziwiająco proste, jak gdyby do ich wytyczenia użyto wiązki promieniowania. Niewątpliwie stanowiły dzieło maszyn, a nie osadników. Urzednicy z portu nie łamałoby prawa. a przecież karczowanie było zabronione. Kto to mógł zrobić?

Ayyar przemknął chylkiem wzdłuż krawędzi pokrytego pylistym popiołem pasa. Mijając co bardziej cuchnące obszary raz po raz zasłaniał reka nos i usta. Rzuciło się w oczy, że układ ścieżek nie był dziełem przypadku, że zaplanowano go w jakims szczególnym celu - ktoś ingerował w strukturę Lasu.

Przed nim, na wypalanej rozległej równinie, widniała maszyna - ciemne pudło przycupnięte ponuro na protektorach. Przyczajona, gotowa, by przemierzać surowy i nierówny teren. Nieco dalej stał karczownik, z wlotem wzniesionym teraz i nieruchomym; za nim zryta i ogolona z roślinności gleba.

Brząsk okazał się zbyt jaskrawy dla oczu lfta - Ayyar nawet w goglach mrużył oczy. Z tyłu, za maszynami widniała ogromna polkula; wyglądało to, jakby torturowana ziemia wydała z siebie brudny, ciemnobrazowy babel. Obozowisko!

Nie mogło ono należeć do osadników - był to rodzaj schronienia, jakiego używają ludzie przenosząc się z miejsca na miejsce. Ayyar spróbował z pomocą pamięci Nailla znaleźć jakikolwiek oficjalny symbol, który pomógłby mu zidentyfikować oboz.

Wkrótce po odkryciu, około stu lat temu, planeta Janus została oddana Konsorcjum Karbon, które nie zdołało rozpocząć eksploatacji złóż. Galaktyczne zmagania. niweczając dawniejsze przymierza, spustoszyły światy i uczyniły Nailla Renfro jednym z rzeszy bezdomnych tułaczy. Czciicielom Nieba Stworzyły natomiast niepowtarzalną okazję do wykupienia udziałów zbankrutowanego Konsorcjum. Wojna zadała śmiertelny cios ekspansji kosmicznej i na pewien czas pozbawiła ludzką możliwość swobodnego przemieszczania się. Janus, ze swymi rozległymi, gęsto porośniętymi lasami kontynentami, wąskimi morzami i brakiem jakichkolwiek wartościowszych bogactw naturalnych, nie budził większego zainteresowania i dostał się pierwszemu, kto zechciał go uznać za swoją ojczyznę - czyli Czciicielom Nieba.

Z chwilą przejścia planety przez osadników władze pozaplanetarne straciły prawo do ingerencji w ich wewnętrzne sprawy. Ich jurysdykcja obejmowała wyłącznie tereny portu kosmicznego. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że systematycznie dewastowały Las.

Zaden znak nie widniał ani na polkulistym namiocie, ani też na dwu małych, rozbitych bliżej rzeki. Ayyar usadowił się, zdecydowany czekać i prowadzić obserwacje. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Na jakie mogłaby go narazić zbyt duża pewność siebie - był jednak przekonany, że nikt w tym obozie nie jest w stanie odkryć lfta skrytego w lesie. Mogłyby go zaniepokoić psy, ale nie wyczuwał ich zapachu.

Słońce świeciło coraz jasniej. Od czasu do czasu zerkając przez ramie na Las. Wielkie Korony przypominały martwe kości. Wokół ich potężnych pni korzenie skrecały się w gigantyczne sploty, między którymi widniały czarne jamy.

W dawnych czasach każde stuknięcie było natychmiast powtórzone i w ten sposób wiadomości momentalnie docierały z jednego końca lftcanu na drugi. Dzisiaj na taki alarm odpowiedziałyby chyba tylko duchy lftów niezdolne nawet do obrony swych grobów... Ta myśl poruszyła pamięć Ayyara; bezwiednie wyszeptał:

-Ujmij w dłoń miecz martwego wojownika. a strzeż się, aby jego duch nie przyszedł upomnieć się o swoją bronię - i o ciebie...

Miał taki miecz u boku! Gładki i prosty - tylko ując rekojesc w dłoń. Naill zabrał go ze sobą, był teraz Ayyarem, bohaterskim wojownikiem.

Cos poruszyło się w bliższym z namiotów. Ukazał się człowiek. Nie był to osadnik - nie miał rozczapierzonej brody ani nie nosił szaroburych, szorstkich ubrań, lecz mundur Strazy Portowej. A więc była to oficjalna wyprawa. Co wydarzyło się w czasie snu Iftów?

Ayyar na oko ocenił odległość od maszyn i obozowiska. Powierzchnia ziemi była zbyt ogolona z roślinności, aby ryzykować zbliżenie się. Co więcej, owa fizyczna i psychiczna przemiana, która tak gwałtownie przekształcała Nailla w Ayyara, zmieniła także jego nastawienie wobec dawnego gatunku. Już sama myśl o bliższym kontakcie z jego przedstawicielami wywołała w nim fale mdłości.

Aby poznać prawdę, musiał podkręcić się do obcego na odległość słuchu. Nie osmielił się też zwlekać - gdyby wsiedli do maszyny mogłoby dostać się w zasięg wiązki promieniowania.

Z pomieszczeń sypialnych wyszli następni; dwaj nosili mundury straży, pozostali ubrania robotników portowych.

Jak Ayyar zauważył, wszyscy byli uzbrojeni, i to nie w paralizatory, będące zwyczajną planetarną bronią przyboczną, lecz w blastery, których użycie było dozwolone jedynie na najniebezpieczniejszych, nie zamieszkałych światach! Stanowiło to kolejny powód, by trzymać się poza ich zasięgiem - miecze Iftów nie mogły równać się z blasterami.

Mezcyżni weszli do jednej z polkul - prawdopodobnie mesy. Potem Ayyar usłyszał warkot i znieruchomiał ukryty pod peleryną w barwach ochronnych. Z portu nadlatywał fliter, który mógł wylądować w pobliżu jego kryjówki.

Z kabiny wysiadło dwóch mezcyżn. Zamiast do obozu, ruszyli w stronę generatora promieniowania. Jeden z nich skierował wylot celując wzdłuż śladów, które wypaliła wiązka.

-... wypalanie potrwa długie miesiące. Mamy do wykarczowania cały kontynent!

Ten, który celował, obejrzał się przez ramię.

-Nie możemy dłużej czekać na pomoc spoza planety. Osada Smatchza dopadli jako trzecia. Póki mają te lasy za osłonę, nie damy rady ich śledzić.

-Ale czym oni są?

Pytany wzruszył ramionami: - Dowiemy się, jak któregoś złapiemy żywcem. Biorąc pod uwagę, jak używają słowa, dla mnie są zielonymi diabłami. Byłem podczas wojny... - zawahał się, przesuwając pieszczotliwie rękę wzdłuż rury promiennika - ...na Fenrisie i Lanthorze, a Osada Smatchza była gorsza od cegółki, co tam widziałem. Mamy do czynienia z najtrudniejszym do odparcia sposobem prowadzenia działań wojennych: atak z zaskoczenia i natychmiastowe wycofanie się, i to przy całkowitej przewadze wroga. Jedyny sposób, aby wypędzić te zielone demony, to wypalić ich osłonę!

-Coż, im szybciej skończymy, tym...

Wrocili do obozowiska, a Ayyar obserwował, jak zatrzymali się w pobliżu jego schronienia. W powietrzu coś jakby zalsnilo: zrobili krok do przodu i znow zamigotało - ale już poza nimi. Pole siłowe! Oboz był opasany polem siłowym! A to oznaczało, że znajdujący się w środku owej bariery byli przygotowani na spotkanie z jakimś mrozącym krew w żyłach niebezpieczeństwem.

Zielone demony z lasu? Ayyar spojrzał na swoją własną, szczupłą rękę, na zielone ciało. Czyżby mieli na myśli Iftów? Nie, to niemożliwe. Mieszkańcy Iftsi byli, prócz współbraci zza Morza Południowego, jedynymi przedstawicielami plemienia. "Zielone demony" nie mogły być Iftami... ale w takim razie kim lub czym byli?

Rozdział drugi

Iftowie mieli z dawien dawna Wroga bardziej przerażającego niżeli ktokolwiek pochodzący z osad lub portu nazywali go Nienazwanym, Ktore Czyha. Dawno temu Larshowie byli jego nieprzyjacielską armią wyruszającą z jałowego Pustkowie przeciw Iftom. Paradoksalnie, na tej samej ponurej pustyni znajdowało się ostateczne schronienie Iftów, sanktuarium Zwierciadła Thanth. A teraz, oświetlony słońcem - bronią Nienazwanego - Ayyar wstąpił na prastary trakt wiodący ku kolebce wulkanu, ku Zwierciadłu. Czy uda się im ponownie przywołać Potęgę Zwierciadła? Wiele miesięcy temu Illyle i Jarvas wezwali je na pomoc do walki ze sługami Nienazwanego. Nadeszły straszliwe burze i powódź, która przelala się przez skalne wargi Zwierciadła i zmyła wiele zła z Pustkowie.

Choc w przeszlosci Zwierciadlo uczynilo dla nich tak wiele, to wciaz nie mieli pojecia. do czego jeszcze byloby zdolne.

Czy mozna go uzyc przeciw ludziom i maszynom spoza planety , nie zobowiazanym do przestrzegania naturalnych praw Janusa? Kazda planeta posiadala swoje tajemnice i sily, ktore byly narzedziem lub bronia jej naturalnych mieszkancow, ale nie mialy najmniejszego wplywu na najezdzcow z innych planet lftowie uwazali Zwierciadlo i to, co przezen dzialalo, za przejaw dzialania sil nadnaturalnych. Dla obcych moglo ono byc zaledwie jeziorem mieszczacym sie w zaglebieniu skaly .

-Ayyar...

Podniosl glowe i oderwal wzrok od pradawnego goscincu pod stopami. Rozpoznal glos Kelemarka. ktory najwidoczniej dotarl tu przed nim.

Podobnie jak Ayyar , Kelemark mial na sobie peleryne, i miecz" Lecz przez illal i podarty kawalek materialu. Wydzielal on tak ohydny zapach, ze Ayyar zmarszczyl nos z obrzydzeniem.

Nie byla to won czlowieka ani maszyny, lecz czegos innego, podstepnego i zdradliwego. Raz wciagnieta w nozdrza, zaturowala kazdy nastepny oddech. Co dziwne, zielono-brazowo-srebrna szmata wygladala na fragment peleryny lfta.

-Co to? - zapytal Ayyar.

-Znalazlem to na kolczastym krzewie.

Kelemark wyciagnal ramie. Nieoczekiwanie szmata skrecila sie, wijac jak zywe stworzenie. Zaskoczony Kelemark strzasnal ja z siebie. zasmierdzialo mocniej i obaj cofneli sie, instynktownie przyjmujac postawe obronna.

Ayyar trzymal bron za ostrze, tuz ponizej rekojesci, chociaz wcale nie mogl sobie przypomniec, w jaki sposob ja wydobyl.

Orez lfta to miecz lfta,

Slabnie swiatlo, lft chwytla za bron.

Chlod w ciemnosci, ogien w poludnie -

Zielen drzew przeciw Zlu...

Poruszal mieczem tam i z powrotem. w gore i w dol, a slowa jedno po drugim pojawialy sie same w jego glowie. Nie byl Mistrzem Zwierciadla ani Siewca, ani Dozorca, ani Straznikiem - byl wojownikiem dawnej armii walczacej przeciw Nienazwanemu.

Nagle miecz w jego dloni zaplonal zielonym swiatlem, ktore splynelo na ziemie i okrazyl poruszajacy sie kawalek materialu. A jednak ogien nie zniszczyl go; oddzielil go tylko od otoczenia. Ayyar uslyszal wolanie dochodzace ze schodow wiodacych do Zwierciadla i gluche dudnienie biegnacych stop.

W pospiechu nadbiegli llylle i Jarvas. Gdy ujrzeli, co lezy otoczone ogniem na goscincu, zatrzymali sie.

-Kto to znalazl i gdzie? - zapytal Jarvas.

-Wisialo na kolczastym krzewie w poblizu pogorzelska - odparl Kelemark. - Pomyslalem... obawialem sie, ze to nasze. Gdy to podnioslem zrozumialem, ze sie myle.

Czuje, ze to cos waznego...

llylle opadla na kolana. wpatrujac sie w szmate. Z torebki przy pasku wyciagnela biala drzazge dlugosci palca. Na drodze z latwoscia mozna bylo znalezc zaglebienia wypelnione piaskiem; jedno z nich znajdowalo sie w poblizu. llylle skierowala koniec drzazgi na to, co lezalo wewnatrz ognistego pierscienia. a nastepnie zetknela drewnienko z piaskiem.

Trzymala je lekko, starajac sie go nie upuscic. Nagle drzazga poruszyla sie, robiac na piasku jakies znaki. Ku ich zaskoczeniu ukazal sie rysunek drzewa z trzema duzymi liscmi - lft! Lecz drzazga ponownie drgnela, przekreslajac uprzednio narysowane liscie i zmieniajac je w rosochate, nagie galezie.

Ayyar przygladal sie znakom. Mial wrazenie, ze gdzies, kiedys widzial juz podobny ideogram.

-lft... nie-lft... cos wrogiego...! - Jarvas przemowil prawie szeptem. - Co to ma znaczc?

Spojrzał pytajaco na Illyle, która w napięciu studiowała rysunek na piasku - potrzaskała powatpiewajaco głowa.

-To - wskazała na strzep materiału - tylko pozornie wygląda na własność Ifta - pochodzi przecież z Białego Lasu! Nic z tego nie rozumiem. - Upuściła drzazgę i przyłożyła dłoń do czoła. - Tak niewiele pamiętam! Gdybyśmy byli Iftami pełnej krwi, rozumielibyśmy o wiele więcej. Czuje jednak wyraźniej, że ten kawałek materiału ma coś wspólnego z naszymi nieprzyjaciółmi.

Jarvas odwrócił się do towarzyszy i zapytał:

-Czego się dowiedzieliście?

Kelemark zdał sprawę pierwszy.

-Nieprzyjaciele znajdują się po naszej stronie rzeki; zaczęli od wypalania. a teraz karczują drzewa. Są zdecydowani unicestwić Las wraz ze wszystkimi zwierzętami i roślinami w nim żyjącymi.

-Niedaleko stąd jest oboz ludzi z portu - dodał Ayyar i powtórzył podsłuchaną rozmowę.

-Zielone demony najechały na osady?! - przerwał mu Jarvas. - Ależ to my jesteśmy tymi potworami, których obawiają się w swojej ignorancji. Co więcej, jesteśmy jedynymi Iftami po tej stronie Morza Południowego.

-Jest tylko jeden sposób, by dowiedzieć się czego więcej - podniosła się Illyle. - Zadam pytanie Zwierciadłu. Ty zostan - nakazała Kelemarkowi. - Nie możesz zbliżyć się do Thanth po tym, jak dotykałeś tego złego przedmiotu.

Nie objęty tym zakazem Ayyar podążył za nimi, wspinając się po stopniach wiodących aż na krawędź krateru ponad cichym jeziorem - siedliskiem niepojętej mocy.

Raz jeszcze Illyle padła na kolana na krawędzi występu skalnego, wyciągając ramiona nad wodą.

-Błogosławiona niech będzie woda niosąca życie... zaintonowała i zapadła cisza. Zamoczyła czubek palca i podniosła go do ust tak, aby słowa mogły dać potrzebną odpowiedź, i otworzyła umysł dla Zwierciadła. Gdy przemówiła, nie patrzyła na swych towarzyszy, lecz w dal, ponad taft jeziora. Otaczała ją aura kogoś obdarzonego mocą.

-Ift to nie Ift... Zło ma pozór prawdy ... Jedna przegrana bitwa nie kończy wojny ... Ziarno zagrożone już przed siewem...

Dla Ayyara sens tych słów był niejasny. Ujrzał jednak że Jarvas posiadający wiedzę Mistrza Zwierciadła. sposepniał i położył dłoń na głowie Illyle. Zamrugnęła jakby przebudzona i stała się na powrót sobą.

-Chodźcie! - Prowadzeni przez Jarvasa wrócili na drogę, gdzie zastali już także Rizaka i Lokatatha.

-Jarvas, dowiedziałem się, że Iftowie są gdzieś w pobliżu... - zaczął Lokatath.

-To nie Iftowie, nie prawdziwi Iftowie! - krzyknęła Illyle. - Mogą sobie nawet wyglądać jak my, ale oni działają na rozkazy Białego Lasu, a nie Zielonego, jak my!

Jarvas przytaknął:

-To prawda. Myśleliśmy, że Nienazwane zostało raz na zawsze pokonane; teraz wydaje się, że zbudziło się i próbuje nastawić przeciw nam ludzi przybyłych spoza planety.

-Ktoś najechał na osady - poinformował Lokatath. - Schowałem się między kamieniami w rzece i podsłuchałem, jak w obozie mówiono o tym. Owi fałszywi Iftowie ślali śmierć i zniszczenie w tak okrutny sposób, że osadnicy i mieszkańcy portu zapomnieli o wzajemnych uprzedzeniach i o dzielących ich różnicach. Teraz wszyscy zjednoczyli się w zamiarze zmiecienia z powierzchni planety plemienia Iftów wraz z całym Lasem!

-To niewykonalne - Illyle spojrzała na Jarvasa. - Las jest przecież taki ogromny! Czy mogą to rzeczywiście zrobić?

-Na razie jest ich niewielu - odpowiedział rzeczowo - ale z pewnością musieli już posłać po pozaplanetarną pomoc; z takim wsparciem beda w stanie unicestwić Las.

Reka Ayyara powędrowała na rekojesc miecza:

-Jeśli Nienazwane używa ich tak jak wykorzystano Larshow przeciw nam...

-Pamiętam epokę Zielonego Liscia, a nie Szarego - odezwał się Jarvas. - Larshowie stali się narzędziem Nienazwanego znacznie później. Myśle jednak, że mogłoby Ono wykorzystać przybyszów w taki sam sposób, a nawet pokusić się o zwycięstwo z ich pomocą.

-Zastanawiam się - powiedział z namysłem Ayyar - czy Nienazwane musi zawsze używać innych jako swych narzędzi? Ja i Illyle zostaliśmy w poprzednim wcieleniu wzięci do niewoli przez tajemniczy skafander kosmiczny. Wydaje się, że w środku był on pusty - kto w takim razie nim sterował? Czyż nie tak samo Nienazwane uwięziło was? Jego psy goncze polowały na nas i czuliśmy wpływ Jego mocy w czasie ucieczki do Zwierciadła. W czasach Ayyara wysłało Larshow, aby zrównali Iftcan z ziemią. Dzisiaj z kolei przybysze spoza planety są podburzani przeciw nam, co w efekcie jest na rękę Nienazwanemu. Nigdy jednak nie ukazuje się Ono we własnej postaci. Dlaczego? Co pamiętacie z Kłatwy Kymona?

-Chodzi ci o naturę Nienazwanego? - zapytał Kelemark. - Nienazwane jest myślą, Jarvas. Ale dlaczego jest aż tak potężne?

-Kymon wszedł do Białego Lasu, walczył z Nienazwanym i nałożył nań Kłatwę, której moc utrzymywała się podczas epok Blekitnego i Zielonego Liscia, aby zostać przez zwyciężoną w czasach Szarego. - Illyle powtórzyła doskonale znane historie.

-Ale jaka była natura Nienazwanego, którego spotkał w Białym Lesie? - nalegał Ayyar.

Potrząsnęła głową.

-Jarvas? - Zwróciła się z kolei do niego.

-Nie wiadomo - odparł. - Jak wszyscy wiemy, Nienazwane sprawuje kontrolę nad psychiką swoich sług. Poza tym - wzruszył ramionami - najwidoczniej teraz ma we władzy również Iftów, lub istoty przypominające Iftów. Musimy ich wytropić.

-Zapach nas zaprowadzi. - Rizak skinął w kierunku kawałka tkaniny.

-A tymczasem Las umiera - przypomniawszy Illyle. - Pamiętacie co było naszą nadzieją? Odtworzenie plemienia i w legalny sposób uwolnienie się od pozaplanetarnej kolonii. Jeśli zagłada naszego rodzinnego środowiska potrwa dłużej, zginiemy wraz z nim.

-Ona ma rację. - zgodził się Rizak. - Musimy uświadomić im, co tu się naprawdę dzieje, zanim sprawy zajdą za daleko.

-I co, jak byś to zrobił? - rzucił Lokatath.

-Pojmałbym jednego z fałszywych Iftów - odparł Ayyar - i wykazał dzielacza nas różnice.

Wpatrywali się w niego, a potem Jarvas zaśmiał się:

-Proste, a jednak może najlepsze rozwiązanie. A więc zapolujmy na Wroga! Myśle, że oznacza to poszukiwania wzdłuż rzeki.

-Czy możesz przewidzieć, kiedy przejdą? - Kelemark zwrócił się do Illyle.

-Nie, gdyż gdy przemieszczając się, są otoczeni opieką swego władcy, a ja nie umiem przez nią przeniknąć. Musimy ich wytropić za pomocą naszych zmysłów.

Postanowiono podążać wzdłuż brzegu rzeki, kierując się na południe od wejścia do Zwierciadła. Ciemność dałaby im przewagę, gdyż wszystkie zmysły Iftów były przystosowane do nocnego trybu życia. Teraz jednak nadchodził świt. Owinęli się więc w peleryny, legli wzdłuż pobocza drogi i zapadli w sen.

O zmroku pomknęli wybranym szlakiem. Suche zimowe trzciny, znacznie wyższe od nich, zasłaniały ich. Temperatura, jak zwykle wieczorem, spadała i niektóre zapachy zaostrzały się, inne słabły. Zewsząd dobiegały przerozne dźwięki: skrobienie jaszczurki lądowej wlokącej rzeźnego robaka tam i z powrotem po zwirze; nawoływania szybujących lub czworonogich myśliwych. W pewnej chwili przykucnęli w ciszy, czekając aż ogromny kot wyplucze resztki upolowanej ofiary pomiędzy zębów. Dotarł do nich zapach świeżej krwi.

W powietrzu jednak nie wyczuwali żadnej niezwyklej woni. Obszar oczyszczony przez Zwierciadło pozostawili z tyłu, a po prawej zaległa ciemność nad jałowym Pustkowiec. Na północy natomiast niebo było całkiem jasne.

-Używają promienników w nocy - Lokatath skonstatował to, co i tak było oczywiste.

-Zniecierpliwili sie lub sa coraz bardziej wystraszeni - odparl Kelemark.

Ayyar zastanawial sie, czy lftsig stała juz w ogniu? I co sie dzieje ze skrzynkami zawierajacymi nasiona? Czy ich kryjowka w korzeniach Cytadeli okaze sie wystarczajaco gleboka, by uchronic je przed ryjacymi ziemie karczownikami?

Nad rzeka zalegala mgla. Tu podjeli trop, ktorego szukali. Lokatath splunal, a Ayyar poczul w ustach gorycz gromadzacej sie sliny. Smrod strzepka odziezy byl wstretny, ale to bylo nieskonczenie gorsze. Raz wciagniete w nozdrza, zdawalo sie wypelniac pluca stechlym, obmierzlym osadem.

-Swiezy slad? - utwierdzil sie Rizak.

-Tak, i wiedzie przez rzeka do osad.

Oblodzone klody i kamienie, ktorzych powierzchnie ledwie wystawaly ponad waski w zimie strumien, tworzyly cos na ksztalt mostu, po ktorym lftowie przeprawili sie na druga strone.

-Ach... - cichy okrzyk llylle przyciagnal uwage Ayyara. Zmarszczyla brwi, obracajac glowe w lewo i prawo, jak ktos probujacy rozpoznac na poly zapomniane punkty orientacyjne terenu.

-O co chodzi?

-Czy ta droga nie prowadzi do osady Himmer?

Poludniowy zachod... Zgadza sie, to niedaleko stad; sam bedac dopiero od niedawna lftem, Ayyar byl swiadkiem przemiany Ashli Himmer w llylle. Pomogl jej przewyciezyc pierwszy, najciezszy szok - odkrycie, ze odtad dla ludzi nalezy do obcego gatunku. Z poczatku nie uwierzyla, nalegala na powrot do osady, aby odszukac ukochana mlodsza siostrzyczke. Dopiero gdy oslabla odraza, jaka czuli do siebie, dala sie przekonac, ze krewni Ashli sa calkowicie obcy dla llylle. Teraz odezwalo sie w niej echo dawnych emocji.

Slady zrazu nie przekraczaly rzeki i wydalo im sie, ze ci, za ktorymi podazaja, tropia kogos na wlasna reke. W pewnym momencie gdzies w oddali zaszczekaly psy. Czy z osady Himmer? Ayyar nie byl pewny, ale mial wrazenie, ze zrodlo halasu lezy bardziej na zachod.

Trop prowadzil teraz prosto, ruszyli wiec biegiem, naturalnym dla lftow tempem. Lesisty teren, na ktory wkroczyli, nie byl wprawdzie Lasem, ale miec wokol siebie drzewa - nawet nagie i zmarzniete - przynosilo ulge jak lyk chlodnej wody w upalny dzien.

W lesie brakowalo wielu z jego pierwotnych mieszkancow, gdyz osadnicy wykarczowali tereny lezace na polnoc i wschod. Co przezorniejsze i bojazliwsze stworzenia wyniosly sie stad juz dawno. Choc nie wszystkie; niektore wciaz jeszcze zamieszkiwaly dziuple i nory w ziemi, teraz jednak spaly glebokim zimowym snem.

Zapach stawal sie intensywniejszy, a ujadanie psow glosniejsze. Ich wlasciciele juz dawno powinni poczuc niepokoj. Majac w pamieci los, jaki spotkal inne osady, powinni byc teraz o wiele czujniejsi. Uzbrojeni w blastery, czekaja pewnie na atak.

Oddzial lftow powinien zachowywac najwieksza ostroznosc; byloby glupota dac sie pojmac i byc wzietym za Wroga. Ayyar zauwazyl, ze Jarvas szybkimi gestami dzieli ich na dwie grupy, prawa i lewa. Ayyar zwrocił sie w prawo, llylle za nim, a Rizak nieco z tyłu.

Obeszli dookola niebezpieczne chwytne galezie wielkiego kolczastego drzewa. Teraz zapach oslabl, a Ayyar wyczul fetor smierci otaczajacej kazda osade, wokol ktorej drzewa, krzewy, cale bujne, zielone zycie zginelo, odbierajac okolicy jej naturalna urode. Znow poczul nienawisc do ludzi niosacych smierc i zniszczenie jego rodzinnej planecie.

Zapytal llylle, czy moglaby to byc osada Himmer. Rozejrzala sie i potrzasnela przeczaco glowa:

-To za daleko na wschod. Mozliwe, ze to osada Tolfreg. Ayyar mial wrazenie, ze ujadanie traci na intensywnosci - mniej psow szczekalo? Miedzy drzewami zamigotalo swiatlo; czyzby pochodnie?

Zwolnili kroku i przemykali sie ukradkiem, az wyjrzeli poprzez uschniete zarosla na surowa polac ziemi. Sterczaly na niej ogromne pnie, zweglone przez tygodnie, a moze nawet miesiace trwajacej dzialalnosci ognia.

Swiatlo pochodziło z pochodni plonacych na ostrokole, za ktorym widnialy budynki osady. Podpalono tez stos suchego drewna ulozony przed wejściem, tak aby w razie oblezenia rozniecony ogien oswietlal otwarta przestrzen dookola. Na

szczęście każdy nadpalony pień stojący na pogorzeli rzucał spora plamę cienia. Cztery psy goncze wyszczerzając kły i niepewnie trzymając się na łapach stały, przyciskając zady do okratowanej bramy ogrodzenia. Krew spływała z ran na bokach i barkach; jeszcze jedno zwierzę leżało, bez powodzenia próbując się podnieść.

Na przestrzeni między lasem a bramą spoczywało bez ruchu co najmniej dalszych sześciu czworonogich wartowników. Wyglądało jakby zostali poświęceni po to, aby ich panowie mogli zyskać na czasie. Illyle szepnęła:

-Ukryjmy się za tym rozwidlonym pniem na prawo. Wypalony w środku pień przypominał swym dziwnym wyglądem czarny skrzep. Ocalałe obrzeża wznosiły się tworząc coś na kształt zwierzęcej głowy, z nastawionymi uszami, czujnymi na każdy dźwięk.

Pomiędzy tymi uszami coś się poruszyło i na chwilę wychynał pomiędzy nich okrągły cień. Była to głowa... Ifta! Widziany z tyłu wyglądał na ich współplemięca, ukrytego pod rozpostartą wokół peleryną. Illyle zacisnęła palce na ramieniu Ayyara. Ani czas, ani miejsce nie sprzyjały zdemaskowaniu fałszerstwa. Rizak szepnął:

-Czy Nienazwane byłoby w stanie pojść członka starej rasy i uczynić z niego swego sługę?

-Kto wie? Ten jednak, kimkolwiek jest, na pewno jest Wrogiem. - Tego Ayyar był pewien. - Ilu ich jest?

Jego bystre oczy myśliwego i wrażliwy nos zlokalizowały jeszcze pięciu. Można by było podwoić lub potroić ich przypuszczalną liczbę, gdyż nie stanowili zwartej grupy.

Illyle wciągnęła nerwowo powietrze.

-Czekają, ale na co?

Odpowiedziało stał się przeraźliwy wrzask, jaki mogłoby wyrwać się z ludzkiego gardła tylko pod wpływem największego przerażenia i bólu: Z zarosli po prawej wykustykała, niepewnie stawiając chwiejne kroki, kobieta w poszarpanych strzępach odzieży. Wyjać zataczała się między ukrytymi napastnikami, którzy, nie zwracając na nią uwagi, kierowali się ku bramie. Ayyar dostrzegł fałszywego Ifta sunącego śladem kobiety, który nawet nie próbował jej pomóc.

-Ona jest kluczem, który otworzy im brame - stwierdził Rizak.

Psy zniweczyły jednak ewentualną szansę. Dwa z nich rzuciły się, prawie jednocześnie, lecz nie na skradające się cienie, tylko na kobietę. Ostre kły przewrocili ją na ziemię; wrzask urwał się jak nożem uciął. Zawyły, gdy trafiła je wiązka promieniowania z ostrokołu; właściciele musieli uważać je za wściekłe.

Jeden z fałszywych Iftów wypadł na otwartą przestrzeń, złapał bezwładnie leżącą kobietę za ramię i przeciągnął ją w cień pnia. Dwu jego kompanów odwlokło ciało dalej.

-Tam w gorze! - Rizak unosił głowę.

Na tle nocnego nieba ujrzeli jeden z portowych fliterów; ogień z niego wystrzeliwany smagał ziemię.

Ayyar pociągnął Illyle do tyłu i rzucili się biegiem. Uciekali przed pewną śmiercią w objętym pożogą lesie.

-W dół rzeki, na południe - wysapał Rizak w chwili później.

Miał słuszną rację - piasek i skały nie zajmą się ogniem.

Była to więc ich jedyna szansa ocalenia. Jak dotąd promieni używano tylko w zasięgu oczyszczonego terenu wokół osad, mogłyby jednak działać i na większą odległość.

I tak mieli dużo szczęścia, gdyż długo trwało zanim drzewa zajęły się ogniem. Prawdziwe piekło rozpetalo się dopiero w chwili, gdy płomień dopadł niższej roślinności.

Usłyszeli w zarosłach hałas wywołany przez czyjąś ucieczkę i nagle na polanie po lewej wypadły dwie postacie - fałszywi Iftowie. Z ramion jednego z nich zwisały resztki spalonej peleryny, jakby był nieczuły na ból i gorąco. Obaj gnali prosto do rzeki.

Byliby to jedyni ocaleni spośród napastników? Ayyar był przekonany, że kilku z nich musiało zginąć od pierwszego uderzenia ognia.

-Nie... damy... rady... - wykrztusił Rizak kaszłąc w klebach dymu.

-Na prawo! - Krotki rzut oka ukazał Ayyarowi droge ocalenia.

Wieki temu runelo tu drzewo, rozmiarami prawie dorównujące Wielkiej Koronie. Jego korzenie sterczały w niebo ponad głęboka jama, z której wionął z dawna znany Ayyarowi odor skalca... W takiej samej norze został niegdys pojmany w sieć. Fetor dawno zwiędział, a więc jama była nie zamieszкана. Być może została porzucona, gdy gruba zwierzyna przeniosła się dalej od osady.

-Do środka! - Wskoczył, pociągając za sobą Illylle i wylądowali razem na cuchnacym rumowisku, a Rizak wśliznął się zaraz za nimi.

To, czego szukał, znajdowało się przed nim: wejście do podziemnej nory, okolone zwisającymi strzepami sieci. Było tu pusto i bezpiecznie, a więc ruszył wprost do wnętrza gniazda skalca.

Rozdział trzeci

Przeciskali się w głąb ciasnym korytarzem - gdzieś w pobliżu powinna znajdować się boczna komora, w której dawny gospodarz miał swoje gniazdo. W niej mogliby znaleźć bezpieczne schronienie przed szalejącym ogniem. Leżeli razem w cuchnącej norze, a serce Ayyara wciąż waliło jak oszalałe. Usłyszał szept Illylle:

-Jarvas, Kelemark, Lokatath...?

Tak, co z nimi? Czy wykorzystali te odrobiny bezpieczeństwa oferowane przez brzeg rzeki? Lecz Rizak myślał już o następnym ruchu.

-Wypalona okolica ułatwi wszelkie poszukiwania. Jeśli spuszcza psy...

-Takie nory mają więcej niż jedno wyjście - Ayyar pamiętał to ze swych dawnych, przerażających doświadczeń.

-I wszystkie biegną prosto. Ktoś z pewnością wyprowadzi nas nad samą rzekę.

-Rizak, kiedy pojawia się nasi pobratymcy z za Morza Południowego? - zapytała Illylle.

-Zostaliśmy wcześniej obudzeni w tym roku, a oni przybędą wraz z prawdziwą wiosną.

-I zastana cały kraj podburzony przeciw nim.

-Z pewnością będą bardzo ostrożni po tak długiej nieobecności, bo nigdy nie wiadomo, co mogło się zmienić w obronie współplemięnców. Jesienią głęboko zaszczerpiony instynkt nakazał im zastawienie pułapek w ostępach lesnych. Wiosną mieli oni zamiar odnaleźć nowych lftów i powitać jako nowych braci i siostry.

-Lecz nigdy jeszcze nie stawiali czoła takiemu niebezpieczeństwu jak to - ostrzegł Ayyar. - Może się zdarzyć, że po powrocie zamiast Lasu zastana tu tylko polujące na myśliwych. Nienazwane obmyśliło idealny plan, zaatakowało zimą, kiedy pozostajemy w jednym miejscu.

-Nie mogę uwierzyć, aby Zwierciadło mogło nas zawieść! - Głowa Illylle spoczywała na jego ramieniu; było tak ciasno, że Ayyar z każdym wypowiedzianym słowem czuł na szyi ciepło jej oddechu. - Widzieliśmy gigantyczną powódź i burzę nawiedzającą Pustkowie. Nienazwane nie byłoby w stanie uniknąć zagłady...

-Przecież nie znamy Jego natury - przerwał jej Ayyar. - Może w obliczu zagrożenia Nienazwane zmobilizowało siły i pozyskuje nowe wpływy, gromadzi ludzi. Jeśli kiedyś z pomocą Larshow zrównało z ziemią lftcan, to teraz wraz z przybyszami spoza planety obróci w czarny pył resztki tego co pozostało. Istnieje tylko jeden sposób, by stawić Mu czoło...

-Zgadza się, sprawdźmy, czy ci w porcie znają prawdę!

Ayyar czuł, że przez Illylle przeszedł taki sam dreszcz, jaki przebiegł i jego ciało. Czy fizycznie i emocjonalnie będą w stanie stanąć oko w oko i rozmawiać z ludźmi?

Gdyby tak można było skontaktować się na odległość, bez konieczności osobistego spotkania!

Mysli Rizaka zapewne podążały tym samym torem, gdyż zapytał Illylle:

-Osadnicy używają zapewne komunikatorów, aby kontaktować się z portem?

-Skądże, w ich pojęciu są one częścią zdemoralizowanego świata zewnętrznego - padła błyskawicznie odpowiedź Illylle,

dawnej mieszkanki osady. - Cos takiego znajdziesz tylko w porcie.

-Lub moze w tamtym obozie - poprawil ja Ayyar.

Rizak kontynuowal poprzednie rozwazania:

-Kazdy oboz bedzie teraz doskonale strzezony, gdyz na pewno spodziewaja sie ataku w odwecie za pacyfikacje Lasu.

Ayyar niewiele pamietal ze swego pobytu w porcie; wyladowal w nim z transportem robotnikow, oglupialy po wyjsciu ze stanu hibernacji. Przypominal sobie jedynie stojacy szeregami ludzki towar, poddany krytycznej ocenie brodatego olbrzymia Kosberga. Potem pomagat przeladowac peki kory z wozow na platformy. Nigdy tez wiecej nie ujrzal portu na Janusie.

-Czy znasz port? - zapytal Rizaka.

-Port? Nie, wcale tam nie ladowalem. Wydostalem sie z kapsuly ratunkowej, ktora opadla na powierzchnie planety gleboko w Lesie. Kiedy przelatylismy przez ten ukklad planetarny, czesc zalogi, w tym i ja, zapadla na tajemnicza chorobe zakazna. Rozpaczliwie poszukiwalismy pomocy, ale zanim nadeszla, reszta zalogi wsadzila nas do kapsuly i pospiesznie wyslala na dol. Ledwie zywy wyladowalem, i okazalo sie, ze bylem jedynym, ktory przezytl.

Znalazlem jedna z pulapek i stalem sie lftem. Tak wiec zupełnie nie znam portu na Janusie.

-Lokatath byl osadnikiem. - Ayyar ocenial mozliwosci towarzyszy po kolei. - Ale Kelemark pracowal w sluzbach medycznych portu.

-Byl, ale w czasach Konsorcjum Karbon. - przypomniat mu Rizak - W ciagu ponad piecdziesieciu lat wiele musialo sie zmienic. A Jarvas zostal przyslany w oddziale Pierwszych Zwiadowcow, jeszcze przed wybudowaniem portu.

-Za to ja spedzilam tam dwadziescia dni - powiedziala llylle. - i bylo to niezbyt dawno. Znam port. Ayyar, czy ty zastanawiasz sie nad wyprawa do portu?

-Tak, dobrze byloby zdobyc jakis komunikator, chocby najprostszy model o malym zasiegu.

-Portu wprawdzie nie znam - odparl Rizak - ale to dobry pomysl, aby porozmawiac z nimi przez komunikator. Najpierw jednak musimy znalezc wyjscie z tej nory.

I mial racje, Ayyar zaczal sie bowiem wlasnie obawiac, czy wybrane przezen schronienie nie okaze sie ich grobowcem. W miare jak plomienie na zewnatrz zuzywaly tlen, bylo im coraz trudniej oddychac, zapadali w stan polodretwienia podobny do hibernacji. Gdy po jakimis czasie ockneli sie ponownie, mozna bylo swobodniej oddychac, mimo przenikliwego swadu.

llylle rozkaszlala sie, a Ayyar poczul jak dlawiace wyziewy gryza go w nosie i gardle. Nalezalo wyruszyć natychmiast, nawet gdyby to oznaczalo koniecznosc przejścia przez ogien. Zdecydowal sie wczolgać do tunelu.

-Sluchajcie!

Ayyar nie potrzebował ostrzeżenia Rizaka; uslyszal szum padajacego na zewnatrz deszczu. Nie oczekiwat az takiej ulewy; moze do wiosny bylo blizej, niz przypuszczali. [jamy zmienilo sie w kaluze pelna sciekajacej wody. Zaczal sie czolgać, pozostali podazyli za nim.

Wylot okazal sie zawalony masa na pol zweglonej roslinnosci, lecz bez trudu wyrabal przejście mieczem. Wychyneli w polmrok, wywolany przez gruba warstwe chmur. Dookola szalala lodowata burza. Wiazki promieniowania z blastera dosiegly krzewow i koron drzew, ale ogromne pnie, opalone i zweglone, wciaz staly niewzruszenie. Torujac sobie droge miedzy nimi przedostali sie na brzeg rzeki.

Cialo znalezli miedzy dwoma glazami, lezace na prowizorycznym, kamiennieo-drewnianym moscie. Ayyar ujrzal najpierw odrzucone na bok ramie ze sflaczala dlonia, zwrocona do gory, jakby chciala nalapac ulewnie padajacego deszczu. Odwrocil sie szybko i probowal odcignac llylle, jednak na prozno. Przecisnela sie obok niego i spojrzala w dol.

Przerazenie zniknelo, pochylila sie bardziej, niz Ayyar i Rizak jej pozwalali. Ujrzeli ludzka twarz, pozbawiona wszelkiego wyrazu, w sposob nie kojarzacy sie ze spokojem smierci. Gardlo i gorna czesc klatki piersiowej zostaly rozszarpane na strzepy przez psy, co obnazylo metal, kable i inne czesci mechanizmu.

-Robot! - pamiec podsunela Naillowi wlasciwe slowo.

Rizak przykucnal i przesunal badawczo palce wzdluz ramlerna.

-Tu tez, dotknijcie!

Pelen obrzydzenia Ayyar poszedl za jego przykladem.

"Cialo" bylo zimne i mokre od deszczu, ale na pierwszy rzut oka wydawalo sie prawdziwe. Poszarpana tkanka nie byla jednak zakrwawiona, a pod nia bez watpienia dawal sie wyczuc metal.

-To jest sztuczne! - zawyrokowala Illylle. - Jesli jednak ktos tego nie wie...

-Ich klucz. - przytaknal Rizak. - Poslij ja, wyjaca jak nieboskie stworzenie, a bramy osady stana otworem.

Tyle ze tym razem cos im nie wyszlo, bo psy, nieszczesne bestie, wyczuly prawde. Zginely broniac swych nic nie rozumiejacych panow. Falszywi lftowie, dbajac o zachowanie tajemnicy, musieli odciagnac ja jak najdalej, bo byla wazna w ich planach. Potem dla jakiegos powodu, porzucili cialo tutaj. Moim zdaniem to niedopatrzzenie moze sie okazac ich najbardziej brzemienna w skutki pomyłka!

-Jak to? - zaciekawila sie Illylle.

-Potrzebowalismy dowodu i oto mamy tu cos, co zadziwi kazdego, gdyz nie przypomina zadnego robota, jakiego widzialem do tej pory, lecz to jest robot. Polozmy ja w widocznym miejscu. Przypuszczam, ze niedlugo przysla tu kilku zwiadowcow i jesli ja znajda, to dopiero beda mieli nad czym sie zastanawiac! Ayyar wiedzial, ze Rizak mial racje. Jesli podsunie sie wladzom portu tego robota, to latwiej uwierza w istnienie prawdziwych lftow oraz ich imitacji - lftow falszywych.

Illylle zastanowila sie na glos:

-Czy wszyscy falszywi lftowie sa podobni do tego?

-Byc moze, tylko kto i gdzie ich skonstruowal?

Illylle nadal stala pochylona nad zmaltretowanym robotem, oddychajac gleboko.

-Nie ma potrzeby pytac, bracie. Deszcz nie zdolal zmyc odrazajacego zapachu; to z pewnoscia pochodzi z Bialego Lasu.

-To niemozliwe - zaprotestowal Ayyar. Chociaz... tak naprawde to co wiedzial o Wrogu? Kiedys zostal wziety do niewoli przez chodzacy, przedpotopowy skafander kosmiczny, który przepedzil jego i Illylle przez Kryształowy Las i uwiezil w otchłani. Lecz ten robot - jesli to byl robot - mogl byc wytworem tylko bardzo wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej, nie majacej sobie rownej na Janusie.

-Czy nie widzisz, ze wiemy za malo o Nienazwanym - zwrocila sie don Illylle. - Pamietaj o tym statku kosmicznym, który wyladowal na piaskach pustyni. Kto wie, moze byly i inne, które zaginely na Pustkowiu, Nienazwane moglo je wykorzystac wedle swego zyczenia!

Mozliwe, lecz szkoda bylo tracic czas na prozne spekulacje. Ayyar pomogl Rizakowi uwolnic kobiete-robota spomiedzy glazow. Polozyli ja w widocznym miejscu, twarza do gory. Jesli Riazak mial racje co do zwiadowcow, to powinna ona niezadlugo znalezc sie w ich rekach. Tymczasem oni powinni przedostac przez rzeke i odnalezc reszte oddzialu.

-Miejmy nadzieje, ze zdazyli przekroczyć rzeke. Rizak spojrzal w kierunku, z ktorego przybyli. - Most nie utrzyma sie dlugo przy takiej pogodzie.

-Gdzie ich bedziemy szukac? Przy Zwierciadle?

-Nie - Ayyar odpowiedzial, kierujac sie przeczuciem.

-Na poludniu.

Lezalo tam waskie morze, ktorego piaszczyste wydmy zapewnilyby im bezpieczenstwo; w Lesie ludzie z portu z pewnoscia poluja na uciekinierow. Reszta grupy zgadzala sie z jego sugestia, gdyz nikt nie oponowal.

Wokol nie bylo drzew, skorzystali wiec z ochrony zarosli i skal, caly czas nasluchujac odglosow flitera. Gdy przedzierali sie w dol strumienia, uslyszeli jakis warkot i zapadli pomiedzy kamienie.

-Cos przylecialo - mruknal Rizak. - Mysle, ze natkneli sie na nasza znajoma.

-Ach!

Blask płomieni prawie oslepił ich przywykłe do ciemności oczy. Wiązka z filtra przemiała okolice wokół ciała, na wypadek gdyby było ono przynęta w pułapce.

-Ruszajmy!

Ze względu na promieniowanie z filtra musieli odsunąć się na większą odległość. Ayyar okrzyknął skalną polkę na czworakach, zatrzymał się i spojrzał w dół. Na zwirze nie było tropów, a zapach fałszywych lftów bardzo wyraźny, więc dopiero z bliska wyczuł, że jacyś prawdziwi pobratymcy przeszli tu niedawno. Cześć, jeśli nie cała reszta ich oddziału, przedostała się na tę stronę rzeki i wyprzedziła ich.

Kiedy już oddalili się dostatecznie od filtra, Ayyar zagwizdał. Dla niewprawnego ucha zabrzmiał tryl nadrzeczny ptaka. Powtarzał frazę z przerwami, aż doczekał się odpowiedzi. Odzew zawiodł ich do labiryntu splecionych krzaków, wprawdzie zimowa pora nieco przerzedzonych, ale i tak ciasno zbitych w nieprzebyte żywopłoty. Przedarli się przez nie z wielkim trudem, aby w rozległym gnieździe z błotnych traw i ściętych trzciny, ongiś legowisku finkanga, znaleźć Jarvasa i Kelemarka.

-Ktoś jest ranny!

Trzeci osobnik w ubraniu lfta leżał na boku i Ayyar rzucił się ku niemu. To mógłby być tylko Lokatath. Lecz dlaczego leżał tak niedbale rzucony? Co obcego zastanawiało w wyglądzie jego ciała... Wytracony z równowagi Ayyar przyglądał mu się dłużej, by wreszcie skonstatować, iż uczucie obcości wynika z faktu, że leżącemu brakuje połowy czaszki!

Rizak podszedł i również mu się przyjrzał.

-A więc mamy następnego robota! - Wykrzywił usta, jakby miał ochotę splunąć na ciało.

-Następnego? A więc znaleźliście ich więcej? - Zainteresował się Jarvas.

-Tak, kobiecie przypominająca mieszkańkę osady. Miała służyć do otwarcia bramy, ale psy rozprawiły się z nią od razu. Nie widzieliście?

-Owszem, a co z nią zrobiliście?

Rizak uśmiechnął się:

-Zostawiliśmy w widocznym miejscu. Już ja znaleźli i mają nad czym się głowić. - Ukląkł i dokładniej zbadał imitację lfta. - Niezłe! Gdybym spotkał takiego oko w oko, powiedziałbym, że to lft. Tak długo, aż ujrzałbym to... - Wskazał palcem na stopioną w jedno metalową zawartość czaszki.

-Nie, mogłbyś się pomylić! - poprawiła go szorstko llylle. - On jest zły i wech by ci sam to podpowiedział.

-Ci spoza planety nie mają tak wyostrzonych zmysłów jak my - przypomniał Jarvas. - W ten sposób na obcych fałszywi lftowie mogliby sprawić wrażenie autentycznych. Bardzo sprytne, a nawet diabelnie przebiegłe! Nienazwane stworzyło barierę wrogości między nami a którymkolwiek z osadników czy przybyszów spoza planety.

Rizak przytaknął.

-Ayyar proponuje abysmy spróbowali porozumieć się z nimi przez komunikator... - dodał.

-Komunikator! - Kelemark obrócił się i popatrzył na młodszego lfta. - A gdzie go zdobędziemy?

-W porcie - odparł Ayyar. - Wystarczy zdobyć choć jeden z osobistych komów i... - Zwrócił się do Jarvasa: - Byles Pierwszym Zwiadowcą, więc znasz oficjalne kody. Czy wysłuchaliby cię, gdybyś nadal do nich komunikat?

-Może. Gdybyśmy mieli kom. Lecz zdobycie go w porcie... - Jarvas urwał w połowie zdania. Wyraz jego twarzy z irytacji przeszedł w głębokie zamyslenie.

-Gdzie jest Lokatath? - zapytała llylle. - Czy go...

Czy się zgubił?

Kelemark potrasnął głową:

-Nie, poszedl na skaly sygnalizacyjne na wybrzezu. Musi tam znajdowac sie swiatlo ostrzegawcze dla naszych braci.

Uśmiechnela sie.

-Bardzo mdrze. Nie mozemy planowac wczesnego siewu; zreszta moze oni nie przybeda w najblizszym czasie?

-Masz racje, nie mamy pojecia, o ile za wczesnie zostalismy obudzeni; lepiej nie kusic losu. i Jarvas usiadl, skrzyzowawszy nogi, w opuszczonym gniezdzie i odsuwajac trawy i trzciny, z ktorych bylo zrobione, oczyscil kawalek ziemi. Polozyl na nim male kamyki.

-Przyjmijmy, ze to port; zgadza sie, Kelemark?

Zapytany spojrzal ponad jego ramieniem.

-Nie widzialem go od wielu lat...

-Ale Illylle go widziala. Pojechala tam kilka lat temu po pomoc medyczna dla umierajacej matki - przerwal mu Ayyar. - Illylle?

-Tak. - Usiadla, zwrocona twarza do Jarvasa, nad oczyszczona powierzchnia. - To tu laduja statki kosmiczne i nie bywa ich zwykle zbyt wiele naraz. Raz na dziesiec lat przybywa kurier rzadowy. W miedzyczasie, w sezonie zbiorow - kupcy.

-Nie zapominaj - wtracil Rizak - ze mogli juz wyslac wezwanie o pozaplanetarna pomoc.

-Do rzeczy. Zakladajac, ze pojdziemy na takie ryzyko... - Jarvas wrocil do swego pomyslu. - Wiemy, ze statki stacjonuja po zachodniej stronie portu. Co jeszcze?

-Tutaj - polozyla wiekszy kamien - jest budynek, w ktorym znajduja sie komory celne i inne biura rzadowe.

Dalej stoi szpital, koszary policji i kwatery pracownikow.

Tu przechowalnie kory lattamusa czekajacej na zaladunek - i to wszystko. Aha, jeszcze budynek, w ktorym parkuja maszyny robocze.

-Lezy on dalej na polnoc i teraz powinien byc pusty - zauwazyl Ayyar.

-Polnoc jest tutaj - Jarvas studiowal plan. - Sytuacja przedstawia sie tak: atak na Iftcan przypuszczono z tego kierunku - ruchem reki wskazal wschod. - Patroluja wybrzeze rzeki. Na polnocnym zachodzie lezy Pustkowie, bedace ostoja Nienazwanego. A na dodatek mamy malo czasu.

-Wszystkie osady zostaly juz z pewnoscia zaalarmowane - zauwazyla Illylle. - Mogli takze zaproponowac bezpieczne schronienie w porcie kazdemu osadnikowi, ktory zechce tam sie schronic.

-A byliby chetni? - zapytal Ayyar.

-Nie wiem. Wprawdzie ich poglady na to w zasadzie nie pozwalaja, ale przy skrajnym zagrozeniu moze znalezliby sie desperaci. Osada Himmer lezy tu... - Gestem wskazala swe poprzednie miejsce zamieszkania na polnocnym wschodzie.

Czekali cierpliwie na ciag dalszy, zauwazywszy, ze intensywnie sie nad czyms zastanawia.

-Znam dobrze Himmer i tamtejsze zwierzeta. Sa tam dwa dobrze ujezdzone fasy, ktore na pewno podejda na moje wezwanie. Moglibysmy dosiasc ich i...

-To zbyt ryzykowne - ocenil Jarvas. - Kazda osada przygotowuje sie na atak i wypusci psy na zewnatrz ostrokolu.

-A jak ta zaatakowana osada wezwala flitera? - zapytal nagle Ayyar. - Przybyli gotowi do walki, uprzedzeni o sytuacji.

-Mysle, ze ze wzgledu na zaistniala niebezpieczenstwo osadnicy zgodzili sie na tymczasowe uzywanie komunikatorow. - Rizak zamyslil sie.

-A jesli je maja... - zaczal Ayyar.

-Nie. Zdobycie komu bez jednoczesnego zdemaskowania jest absolutnie niewykonalne! To jak pojście z golymi rekami na skalca i liczenie na to, ze nie uzyje jadowych zebow! - zaprotestowal Kelemark.

-Zwiadowczy fliter lata tu gdzieś w pobliżu, a więc...

-Rizak wskazał na robota. - Umieścmy go na otwartej przestrzeni, jak poprzedniego, i pozwolmy, aby go znaleźli. .

-Zanim wylądują, doloża staran aby spalić wszystko dookoła, a na dodatek każdy członek załogi będzie uzbrojony w blaster - zwrócił uwagę Kelemark.

Lecz Illylle wyglądała na zamysloną.

-Zalozmy, że wiem jak sobie z nimi poradzić?

-Jak? - chciał wiedzieć Ayyar.

-Kora sal...

Odwolala się do prastarej wiedzy i znajomości Lasu. Kora ściagnięta z czerwono-brązowego drzewka o małych liściach - roztrąta i wrzucona do ognia - wydzielala oszalamiący dym. Używano go w czasie polowań do oglupienia skalca i uniemożliwienia mu ucieczki długimi tunelami do gniazda.

-Na pewno będą spodziewać się pułapki, ale my przygotowujemy coś zupełnie nieoczekiwanego... - Ayyar podjął jej pomysł i rozwinał.

-Wyberzmy otwarte miejsce otoczone rosnącymi nieopodal zarosłami. Spala je przed wylądowaniem, więc w nich właśnie schowamy kore sal. Jeśli dopisze nam szczęście, to zdobędziemy komunikator filtra lub któryś z osobistych komów.

-A jak my przedostaniemy się przez opary sal i ogień? - sucho zapytał Rizak.

-Znajdźmy miejsce w pobliżu rzeki - wtracił Kelemarko - Jedno z nas wejdzie do wody i poczeka. Dym z sal rozwieje się szybko... zresztą będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle znajdziemy choć trochę kory.

Jarvas zaśmiał się:

-Nigdy dotąd nie słyszałem podobnego planu, ale...

-O czymś zapominacie. Czy nie jesteście bardziej ludźmi niż Iftami? - zmarszczyła brwi Illylle. - Ludzie są skazani na swoje dwie ręce, oczy i uszy. Te same zmysły można rozwinąć daleko poza granice widzialnego i dotykającego. Wiele wprawdzie utraciłam, ale przecież w poprzednim wcieleniu byłam Wybierającą Nasioną i Siewczynią, a z mojego wyboru wszystko rosło ponad wszelkie oczekiwania. To był nasz dar, który teraz musimy właściwie wykorzystać, tak jak umieliśmy to robić dawniej!

Ayyar poczuł podziw dla Illylle, jak wówczas gdy przy Zwierciadle Thanth ta drobna dziewczyna przywołała moce niedostępne dla byleśmiertelnika. Illylle wydawała się tak pewna siebie, że z łatwością przekonała wszystkich.

W poszukiwaniu drzewa sal rozdzielili się między skalami, nie zbliżając się jednak do kranców Pustkowie. Tak wartościowa roślina nie mogła przecież rosnąć w ogrodach zła. Okazało się, że Kelemark miał rację, mówiąc, że niewiele znajda; Ayyar wrócił z dwoma zaledwie garściami zebranych z jednego drzewka. Najlepiej powiodło się Illylle; z peleryny zrobiła torbę, w jednej czwartej wypełnioną aromatycznymi galazkami.

Jarvas przepadł gdzieś w gorze rzeki w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na wystawienie przynęty, a reszta użyła jednej z peleryn do przykrycia stosu bezcennej kory przed siąpiącym deszczem. Gdy skończyli, Illylle przesunęła nad nią ręce, szepcząc zaklęcia. Ayyar nie próbował rozróżnić jej słów - słyszał już ten rodzaj melorecytacji. Nie było to wszechmocne zaklęcie - zbyt silne w tej sytuacji, lecz jedno z pomniejszych, wystarczające, by nadać specjalne działanie korze.

Rizak rozdzielił zapasy, głównie płaski chlebek orzechowy z magazynów Iftsigi. Ożywiający sok drzewa wystarczył im na długo, teraz przyszedł czas by wrócić do zwykłego pożywienia.

-Z nadejściem nocy stracimy szansę na udaną akcję - Kelemark oparł się o skałę.

-Po nocy znowu wstanie słońce. - Illylle strzasnęła resztki kory z palców.

Tak, pomyślał Ayyar, słońce znowu wstanie. Jednak czas nie zwolni swego biegu ani dla człowieka, ani dla Ifta. Gdzieś

tam czai sie Nienazwane. Podczas gdy oni zapadli w zimowy sen, wierzac, ze zostalo zwyciezone i ujarzmione. Ujarzmione? Ono tylko wyszlo z Pustkowia. Wyglada na to, ze gdy Zwierciadlo przelalo sie ze swych brzegow, byli swiadkami ledwie pierwszej potyczki, a nie decydujacej bitwy. Mozna przypuszczac, ze Nienazwane dysponuje zasobami mocy przekraczajacymi ich wyobrazenia.

Wiedza uzyta do zbudowania imitacji lfta nie wydala sie Ayyarowi adekwatna do jego wyobrazenia umiejetnosci Nienazwanego Ktore Czyha. Byla znacznie blizej spokrewniona z technologia z obcego swiata niz z czymkolwiek, czego by oczekiwal na tej planecie.

Jak to powiedziala Illyle? Na Pustkowiui ladowały statki kosmiczne, a Nienazwane moglo korzystac z ich wyposazenia? Kobieta-robot mogla pochodzic z takiego statku. Ktos lub cos zaprojektowalo go specjalnie, by uczynic ze wszystkich lftow banitow wyjetych spod prawa i cel polowan.

A wiec moze to w calosci intryga uknuta bez udziału Nienazwanego przez kogos z innego swiata? Nie, to raczej nieprawdopodobne, gdyz rozpoznawali charakterystyczny smrod wydzielany przez imitacje.

Musza jak najszybciej poznac nature Nienazwanego Ktore Czyha. Jesli nie jest Ono moca wymykajaca sie wszelkim opisom, jak ta bijaca ze Zwierciadla, to tym bardziej nalezy dolozyc staran, by Je przejrzec.

Ayyar zwrocil glowe na zachod i wpatrzyl sie w Pustkowie. Nie napotkali, z wyjatkiem falszywych lftow, innych sladow czyjejkolwiek dzialalnosci. Nie pojawila sie dziwaczna maszyna latajaca, ktora pewnego dnia szpiegowala jego i Illyle, ani ruchomy skafander kosmiczny. Pas ziemi wzdluz rzeki byl zwyczajna zdrowa ziemia, gdzieś jednak pozostawal w ciemnosci Bialy Las, otchlan i prawdziwa kryjowka Nienazwanego.

Uslyszeli gwizd i Jarvas zeslizgnal sie po skalach, prosto miedzy nich.

-Niedaleko stad jest odpowiednie miejsce. Fliter nadal patroluje okolice, ale i tak musimy poczekac do poznego rana.

-Do rana! - mruknal Rizak. - Doskonale, poczekajmy.

Musieli odwrocic calkowicie swój naturalny rytm zycia.

Z trudem przyszlo im przespac zimno wczesnego poranka, swit, przeczekac, az slabe slonce zaswieci jasno w pelni dnia.

Nie bylo wyjścia; jesli mieli wykonac zadanie, to musieli przystosowac sie ponownie do ludzkiego rozkladu doby.

Ayyar pelnil ostatnia warte, pilnie wpatrujac sie w strone' zachodu. W Lesie spotkaliby zycie w zrozumialej, pokrewnej im postaci. Tam - tam prawdopodobnie nie napotkaja ani jednej przyjaznej istoty. Ani najlzejszego powiewu wiatru, a deszcz i ciezkie masy chmur tez wydawaly sie jakies obce, wrecz wrogie. Musza przygotowac sie najlepiej jak tylko potrafia, gdyz na Pustkowiui nie znajda ni ucieczki, ni kryjowki.

Rozdzial czwarty

Mroz pokryl lodem slady wyzlobione w piasku przez i strumienie wody splywajace miedzy skalami. Ayyar spogladal na okolice bez entuzjazmu. Na domiar zlego przestalo padac i przejasniajace sie niebo obiecywalo sloneczny dzien - zbyt jasny jak dla nich. Zastawiali pulapke jeszcze w przyjaznym polmroku switu. Ciało robota rozciagneli na skale w sposob nie budzacy podejrzen. Aby bardziej rzucalo sie w oczy, zdarli zen peleryne w barwach ochronnych. Wiekszosc kory sal umiescili, zgodnie z kierunkiem wiatru, w uschlych zimowych krzewach i trzcinach otaczajacych ciało od polnocy; reszte wplekli w zarosla dookola. Jarvas dokonal ostatnich poprawek w wygladzie przynety i wycofal sie. Ciagneli losy, na kogo wypadnie oczekiwanie w lodowatej wodzie. Ayyar nie wiedzial, czy cieszc sie, czy tez martwic, ze to wlasnie jemu przypadl w udziale oznaczony kamien.

Lezal teraz nie uzbrojony, na brzegu wody, gotow wslizgnac sie w glab strumienia, gdy tylko uslyszy nadlatujacy fliter. Pulapka byla niewyrafinowana, ale i tak nie bylo ich stac na nic lepszego.

Ayyar wyciagnal ramie i pozwolil, aby ziab rzeki przeniknal dlon do szpiku kosci. Nabral wody, a gdy podniosl reke, krople sciekly z powrotem w dol. Illyle nie byla jedyna osoba pamietajaca stare inwokacje. Dawno, dawno temu Ayyar z Ky-Kyc trzymal ozdobione nie zwyklym wzorem naczynie, wylal jego zawartosc na ziemie, wypowiadajac te same slowa, ktore Naill-Ayyar wyszeptal teraz:

-Tak jak z mojej woli leje sie ta woda, tak niech polegnie moj wrog, niech u mych stop lezy bez nadziei, niech pod ziemia szczezna jego szczatki!

Modlftwa ta nie miała wpływu na przeznaczenie Larshow, a prawdopodobnie nie pomogłaby również w walce przeciw osadnikom, przybyszom spoza planety czy też przeciw Nienazwanemu. Jednakże w takiej chwili tak ludzie, jak i lftowie trzymają się kurczowo nadziei na istnienie czegoś potężniejszego od nich.

Opuszczył gogle na oczy; dzień zapowiadał się bardzo jasny. W powietrzu wyczuwano wiosnę, zupełnie jakby ulewa otworzyła na oścież drzwi przed nową porą roku.

Ze zblakłych i zamglonych strzepów pamięci Ayyara wypłynęło wspomnienie wiosny w lftcie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, zupełnie jak soki żywotne w Wielkich Koronach i innych roślinach w Lesie o tej porze roku.

Wiosna to czas siewu, a nie umierania. Nad Ayyarem nie pierwszy raz zawisła śmierć; stawiał jej czoła z mieczem w ręce, tak jak zawsze robili to lftowie!

Jego zmysły zarejestrowały obecność bzyka, który wcześniej niż zwykle o tej porze roku poszukiwał rzeki. Zapadł w bezruch, by nie spowodować uzadlenia krwiozerczego owada.

Nagle jego uszu dobiegł dźwięk głośniejszy niż brzęczenie bzyka - fliter! Nie czekając na ostrzegawczy gwizd Jarvasa, schronił się w rzece i ukrył między zwalonym przez burzę drzewem a skalami. Warkot narastał... teraz pewnie nadlatujący dojrza przynęta! A jeśli jeszcze poprzednio odnaleziona kobieta-robot wzbudziła ich zainteresowanie...

Już! Ayyar zanurkował chwilę wcześniej, nim płomień zasyczał smagnawszy zwalone drzewo, omiótł skały i dopadł krzewów znajdujących się między nim a robotem. Jeśli będzie miał szczęście, to wiatr i wysoki brzeg rzeki osłonią go przed oparami sal.

Fliter wylądował, wprawiając w ruch powietrze wokół.

Należało teraz przeslizgnąć się wokół skały i znowu przykucnąć w ukryciu. Ayyar raptownie wzdrygnął się i prawie krzyknął z bólu od niespodziewanego uzadlenia bzyka - zupełnie zapomniał o jego obecności. Zawstydzony swym brakiem uwagi, pacnął się w ramię, rozgniatając żarłocznie ssącego owada. A jeśli ten ruch zdradził jego obecność?

-Tam leży, osłaniajcie mnie!

Słowa wypowiedziane we Wspólnej Mowie zabrzmiały dziwnie, jakby w języku ongiś dobrze mu znanym, a dziś prawie zapomnianym. Powyżej wcisniętego między głazy Ayyara snuł się dym. Czy wytworzy się go dostatecznie dużo, by dotrzeć do ludzi, z których jeden już wspinał się na głazy, a drugi wciąż pozostawał w kabinie? Ayyar obserwował, jak przybysz podchodzi do robota z pewnością siebie i wyciąga rękę, aby dotknąć jego wykreconych ramion. Nagle rozkaszlał się, potraszał gwałtownie głową i ruchem ręki odegnął od twarzy dym. Jedną ręką z pomrukiem rozdrażnienia szarpnął imitację lfta, wycelował i dwukrotnie używając blastera oddzielił tę samą nogę robota, którą Jarvas i Kelemark tak pieczołowicie przymocowali, od reszty ciała.

-To następny robot - zawołał przez ramię. - Szybko go znaleźliśmy... - zatoczył się na skałę, odwrócił i zdążył zrobić krok lub dwa w stronę maszyny, zanim osunął się na ziemię.

-Rashon! - Leżący podniósł głowę na głos z flitera, ale nie był w stanie doczłapać się do drzwi kabiny i znieruchomiał twarzą w dół.

-Rashon!

W polu widzenia Ayyara pojawiła się ręka uzbrojona w blaster. Opary sal na razie zwały się z nog tylko jednego z przybyszów, lecz drugi wciąż pozostawał w kabinie - nie wiadomo, ile dymu tam dotarło. Nagle Ayyar ujrzał przykucniętą postać wylaniającą się z kabiny; pilot bacznie wodził wzrokiem po dymiących zarosłach dookoła. Jedną ręką złapał Rashona za tunikę, próbując wciągnąć go do kabiny.

Szamotał się tak bez większego powodzenia, jako że jego towarzysz był znacznie większy i cięższy. Nie ustawał jednak w wysiłkach, trzymając bron całą czas w pogotowiu.

Gnany wiatrem dym dotarł do pilota i Ayyar usłyszał rozpaczliwy wybuch kaszlu. Niedoszły wybawiciel osunął się na drzwi kabiny, a w końcu legł w poprzek wejścia. Ayyar zagwizdał. Nie mieli pojęcia, jak długo utrzyma się narkotyczny sen, trzeba było więc działać szybko. Musiał jak najprędzej znaleźć to, czego potrzebowali. W tym czasie inni czuwali, by w razie potrzeby wyciągnąć oszłomionego towarzysza ze strefy oddziaływania oparów. Ayyar zbliżył się do flitera, zasłaniając nos i usta mokrym rekawem. Prawdopodobnie cała kora splonęła już, gdyż nie wyczuwał w dymie nic prócz zapachu płonących zarosli.

Zmusił się, aby podejść do filitera; ludzka maszyna odstreczała go. Znalazł jedynie wbudowany komunikator, który mógłby wysłać pojedynczą wiadomość, lecz przecież ktoryś z leżących mógł dysponować komunikatorem osobistym.

Czuł odrazę przed dalszym działaniem, ale nie osmielił się jej poddać. Drżącymi rękami odwrócił mezczyźnie leżącego u wejścia do kabiny. Znalazł to, czego szukał, przypięte do nadgarstka bezwładnie spoczywającej ręki. Niezdarnie odpiął zatrzask, szarpnął pasek i wyjął dysk. Ledwie mógł znieść dotyk małego, metalowego krzakka i paska, jeszcze ciepłego od ręki obcego.

Rozpaczliwie walczył z samym sobą, zanurzył się w rzece i wypłynął poza zasięg oszalamiającego dymu, dając na miejsce, gdzie czekali pozostali. Położył kom na skale, nie mogąc znieść ani chwili dłużej jego dotyku, i powłókł się na bok targany raz po raz nudnościami.

Kiedy wreszcie powrócił, drżący i spocony, zastał tylko Jarvasa i dziewczynę. Jarvas oglądał w skupieniu komunikator, a na jego bezwłosej głowie gromadziły się kropelki potu.

-Gdzie są...? - rozpoczął ochryplym głosem.

Illylle skinęła w stronę dogasającego ognia:

-Odesłali obcych z powrotem do portu; Rizak nastawił autopilota. Załadowaliśmy im fałszywego Ifta.

-Dlaczego?

-On twierdzi - wskazała na Jarvasa, który wciąż był pochłonięty zdobytym komem - że ich bezpieczny powrót dowiedzie naszej dobrej woli. Teraz, jeśli otrzymają od nas wiadomość, będą skłonniejsi w nią uwierzyć.

Ujrzeni wznoszący się filiter, który zawrócił i odleciał w stronę portu. Do grupy chwiejnym krokiem dołączyło dwóch pozostałych Iftów. Oddychając z trudem, Rizak osunął się z odrzuconą w tył głową, z zamkniętymi oczami i do połowy otwartymi ustami. Ayyar był pewien, że nie znalazłby w sobie dość siły, by wejść do kabiny i nastawić autopilota.

Dlaczego przemiana zaszczerpała w nich aż tak głęboką awersję do tych, którzy jeszcze niedawno byli ich własnym gatunkiem, ich krewnymi ciałem i krwią? Według Jarvasa stanowiło to, wprowadzone przez Iftów-biologów, zabezpieczenie odrębności gatunku, w celu utrzymania pol-Iftów wśród nowego gatunku na tak długo, dopóki nie będzie ich dostatecznie wielu, by nie groziło im powtórne wchłonięcie przez rasę, z której pochodzili. Jak jednak miałby porozumiewać się z ludźmi, do których nie mogli się nawet zbliżyć, by nie odczuć zaburzeń - zarówno fizycznych, jak i psychicznych? Być może kontakt byłby możliwy jedynie za pomocą urządzeń takich jak to, nad którego uruchomieniem trzymał się teraz Jarvas.

-Czy to będzie działać? - Illylle osmieliła się w końcu zadać pytanie.

Twarz Jarvasa wydłużyła się i pobraźla ze zmeczenia.

Nie opuścił swego miejsca przy skale i nie zaprzestał upartych prób.

-Jedyne, co możemy zrobić, to próbować - wymamrotał pod nosem.

Podniósł osłone komu i miał przemówić do małego mikrofonu, trzymając nad jego powierzchnią dwie galazki. Potem uderzył jedną galazką o drugą, wydając dźwięk nic nie znaczący dla Ayyara.

Dwukrotnie powtórzył próbę, po czym nasłuchiwał, ale nie było odzewu. Przez chwilę zdawał się zdziwiony, jakby zawiodła go jakaś część głęboko zakorzenionej pamięci. Uparcie, choć już z mniejszą pewnością siebie, spróbował raz jeszcze. Nagle kom przerwał mu, odzywając się niespodziewanie ciekawym, metalicznym głosem:

-Vorcors! Vorcors! Co ty robisz? - ton pytania był zdecydowanie apodyktyczny, zadający natychmiastowej odpowiedzi.

Jarvas powoli, nieco wolniej, stukanie.

-Vocors! Na Siodmego Weza, co się dzieje?

Potem zapadła zupełna cisza, uwalniając Jarvasa od konieczności dalszego wystukiwania kodu, który niegdyś pamiętał równie dobrze jak własne imię - Pate Sissions. Kiedy to było, i gdzie? A Pate Sissions nie był Iftem.

-Z pewnością to nagrali - zwrócił uwagę Kelemark.

-A gdy tylko rozkodują...

-Jesli tylko beda w stanie - wyszeptal Rizak.

Wskazal na Jarvasa. Teraz stukanie stalo sie wolniejsze, a chwile niepewnosci przedluzaly sie i stawaly coraz czestsze. Wydawalo sie, ze im dluzej wysila swa pozaplanetarna czesc pamieci, tym wiekszy stawia ona opor.

W koncu odwrocil sie z kwasna mina.

-Obawiam sie, ze lepiej juz nie potrafie. Miejmy nadzieje, ze zrobilem to lepiej, niz mysle!

Przygotowal galazki, ale ubiegl go metaliczny glos dobiegajacy z komu:

-Hej, ty, kimkolwiek jestes - namierzylismy cie!

Rizak rzucil spojrzenie w gore, jakby obawial sie ujrzec ladujacych zwiadowcow.

-Dlaczego nas ostrzegli? - zdziwil sie Ayyar.

-Mozliwe - odpowiedziala mu Illylle - ze Jarvas wcale nie jest tak nieudolny, jak sie obawia. Moze juz znalezli kogos, kto zna jego kod. Czy mamy poczekac na spotkanie?

Jarvas potrzasnal glowa:

-Nie, dopoki nie dowiemy sie wiecej. Chociaz...

Galazki, uzyte poprzednio do nawiązania kontaktu, posluzily mu teraz do innego celu. Mokre i oblepione popiolem ze spalonych krzewow stanowily prymitywne narzedzie pisarskie. Symbole, jakie rozmiescil na skale wokol komu, nie pochodzily z zadnego ze znanych Ayyarowi pozaplanetarnych jezykow, lecz Jarvas widocznie musial gleboko wierzyc w ich moc i skutecznosc.

Odziani w peleryny, niosac swe zawiniatka przewieszzone przez ramie skierowali sie na poludnie. Ayyar oslabl tak bardzo, ze w czasie przerw w marszu krecil sie w kolko calkiem oglupialy i zastanawial sie jak dlugo wytrzyma tempo narzucone przez Kelemarka. Gdzies daleko przed nimi znajdowalo sie morze, a w glebi Pustkowia caly czas cos zlego snulo swe plany i roslo w sile; byl tego tak pewny, jakby to widzial na wlasne oczy.

Odetchneli swobodniej dopiero w zagajniku; nawet tak maly skrawek zieleni dawal wytchnienie. Ayyar spoczal na suchych, zeszluszczonych lisciach, choc nie odwazyl sie zmruzyc oka. Sen czail sie tuz, tuz - powieki ciazyly, nie chcialo sie ruszyc ani reka, ani noga.

-Co oni teraz zrobia? Czy przyleca, by nas odszukac? - zapytala Illylle.

-Nie mam pojecia. - Jarvas bezmyslnie skrecal w palcach kawalek wyskubanego mchu. - Nie mam zadnych watpliwosci, ze nas namierzyli. Musieli takze rozpoznać kod, w innym razie zaatakowaliby bez uprzedzenia. Niedlugo zapewne nadleci fliter z uzbrojona zaloga i robotem do zadan specjalnych. Kiedy przyleca, przeczytaja, co napisalem o komie, i to dowiedzie naszej dobrej woli. Nawet po uplywie stulecia znaki wywolawcze zwiadu nie mogly sie az tak zmienic; beda mogli wyslac poza planete wiadomosc, ze odnaleziono niejakiego Pate Sissionsa.

-Alez to zajmie mnostwo czasu! - zaprotestowala illylle.

-Niestety tak, ale nie widze lepszego sposobu. A moze ktos z was?

Nawet Illylle musiala przyznac mu racje, ale Ayyar zauwazyl, ze odwrocila glowe i powiodla wzrokiem wpatrujac sie w Pustkowie. Byl ciekaw, czy i ona miala uczucie, ze sa obserwowani przez kogos wyczekujacego na odpowiedni moment, by ich dopasc.

Nasluchiwali, lecz kom sie nie odzywal, a fliter nie nadlatywal. Ayyar czul sie zawiedziony, chociaz oczywiscie naiwnoscia byloby liczyc na blyskawiczna reakcje. Tak jak to ujal Jarvas - wladze portu potrzebowaly troche czasu, aby wszystko solidnie sprawdzic.

Ledwie lftowie dotarli na skraj wydm, dolaczyl do nich Lokatath. Jego policzek znaczylo swieze i wciaz krwawiace zadrasniecie, wygladajace jak smagniecie batem. Dyszal ciezko, jakby po dlugim biegu.

-Gromadza sie! - zahamowal raptownie, lapiac za krzak.

-Ci spoza planety?

Lokatath potrzasnal przeczaco glowa w odpowiedzi na pytanie Jarvasa. Wskazal podbrodkiem na zachod.

-Mam na mysli przybyszy stamtad.

-Ilu ich jest?

Lokatath wzruszyl ramionami:

-Ktoz to wie? Nieustannie zmieniaja miejsce pobytu, a teren wydaje sie zmieniac ukszaltowanie, aby ich ukryc lub nas zmylic...

-To niewyklucone - przytaknela Illylle. - Nienazwane uzywa wielu niezwyklych sposobow. Tylko dlaczego przemieszczaja sie w dzien?

-Poniewaz czas dziala na nasza niekorzysc; czy moze byc lepsze wytлумaczenie? - stwierdzil Rizak. - Nienazwane jest swiadome faktu, ze jestesmy gdzies w poblizu i ze ostatniej jesieni nie bylismy w stanie podazyc sladem naszych wspolplemiencow zza morza. Zatakowalo wiec teraz, tak aby nasi pobratymcy po wyladowaniu trafili na dzialania wojenne w toku. Moga nawet zostac zywcem spaleni, zanim w ogole dowiedza sie, ze maja wrogow!

-A co z nasza wiadomoscia nadana przez kom? Ayyar, zgodnie ze swym starym zwyczajem, snul rozwazania na glos. - Jesli ci z portu zastaliby oczekujacych nan falszywych lftow, to niewatpliwie uznaliby nasze dzialanie za pulapke.

-Oczywiscie - przyznal Jarvas. - Wlasnie dlatego musimy dowiedziec sie, ktoredy ta horda wedruje i czy ma zamiar opuscic granice Pustkowia. - Uderzyl prawa piescia w druga dlon dla podkreslenia wagi swoich slow. - Gdyby tylko nasze wspomnienia byly dokladniejsze! Myslalem, ze sludzy Nienazwanego nie opuszczaja Pustkowia, a tu masz, imitacje lftow przekraczaja rzeke.

-Nie zapominaj o Larshach, ktorzy pod rozkazami Nienazwanego przelamali Klatwe. Co dowodzi jedynie, ze wykonuja wszystkie rozkazy swego pana - odparla Illylle. - Wszystko tak sie zmienilo... Jedno z moich ostatnich wspomnien to walka z bielcem, ktorego rozplatalem u stop Wielkiej Korony. Kiedys nie osmielilyby sie nawet wyc do ksiezycy na najdalszym skraju cienia lftcanu - dodal Ayyar.

-Pytam jeszcze raz, co sie stanie z ludzmi, ktorzy zbliza sie do komu? Nasza pulapka moze nieoczekiwanie posluzyc realizacji planow wroga!

Jarvas zerwal sie na rowne nogi.

-I dlatego musimy ja czym predzej zlikwidowac! Jesli teraz stracimy szanse powiedzenia im prawdy, staniemy sie liscmi unoszonymi bezwolnie przez wiatr, a nie posianym ziarnem. Musimy sie rozproszyc. Mysle, ze to Illylle jest najbardziej narazona na zainteresowanie ze strony Nienazwanego. Czegoz by Nienazwane nie dalo za to, by miec wplyw na Siewce. Dlatego lepiej wracaj na brzeg morza, Illylle.

-Z tego samego powodu - wstala i popatrzyła na Jarvasa - takze i ty musisz byc ostrozny. Wprawdzie obecnie znasz mniej Slow i masz mniej Darow niz ja, ale przeciez kiedys byles w ich posiadaniu. Kto wie, czy Nienazwane nie zna sposobow na pobudzenie twojej pamieci. abys nie wpadl w zastawione sieci.

Uśmiechnal sie ponuro.

-Wszystko to prawda, ale jednocześnie rowniez ja moglbym najskuteczniej dogadac sie z ludzmi z portu. Tak wiec nie mam wyboru, musze wrocic na miejsce planowanego ladowania i zrobic, co w mojej mocy. A teraz - zwrocil sie ku pozostalym. - Rizak idzie ze mna, a Kelemark na brzeg morza z Illylle. Wy dwaj - spojrzal na Lokatatha i Ayyara - pojdziecie na zwiad; sami zdecydujcie, ktory z was na polnoc, a ktory wzdluz rzeki.

-A na zachod? - zapytal Lokatath.

-Na razie odpuscmy sobie zachod. Sledzenie nieprzyjaciela na jego wlasnym terytorium jest zbyt ryzykowne.

Uwazam, ze najpierw nalezy zorientowac sie, co planuja ludzie z portu i osadnicy.

Odpieli zawiniatka, ale dla zamaskowania pozostali w pelerynach. Illylle i Kelemark obladowani zapasami wyruszyli na poludnie, reszta zas na polnoc.

-Bracia, czujecie ten zapach? - Lokatath uniosl glowe i rozdjal nozdrza, wciagajac powietrze naplywajace z zachodu.

-Falszywi Iftowie i jeszcze ktos nieznany... - identyfikowal zapachy Ayyar.

-Jesli sie zgodzicie, to ja przeprowie sie przez rzeke - oznajmil Lokatath. - Znam tamte tereny.

Propozycja brzmiala sensownie.

Tak wiec raz jeszcze Ayyar podazyl na polnoc. Na poczatku mial wedrowac wraz z Jarvasem i Rizakiem, by pozniej, juz na wlasna reke, skierowac sie prosto przed siebie, kto wie, moze az do pozostalosci Iftcanu?

Jasne slonce stalo wysoko i przysparzalo im dotkliwych cierpien, nawet jesli caly czas pozostawali w goglach ochronnych z lisci. Nie zaobserwowali najlzejszego ruchu, tylko od czasu do czasu przelatujacego ptaka lub przebiegajace droge zwierzatko zajete wlasnymi sprawami. W dol strumienia splywaly spalone kawalki drewna, niosac ze soba cuchnacy odor smierci. Ayyar nie watpil, ze niszczyciele lasu nie zaprzestali swej morderczej dzialalnosci. Czyz Iftowie mogli miec jakakolwiek nadzieje, ze przewycieza nienawisc i histerie osadnikow? Albo determinacje mieszkancow portu?

-Na poludniowym wschodzie fliter!

Na ostrzezenie Rizaka padli na ziemie, by sie ukryc. Warkot wyprzedzil sama maszyne o okolo dwoch sekund, tak wiec dopiero po chwili dojrzeli fliter na zbyt jaskrawym tle nieba.

-Juz za pozno, abysmy zdazyli dotrzec na miejsce zanim wyladuja - wymruczal Jarvas.

-Po stokroc za pozno! - dodal Ayyar. I Dostal gesiej skorki na dzwiek przerazliwego ujadania, jakie dalo sie slyszec od strony Pustkowia. Zanim uswiadomil sobie cokolwiek, juz trzymal dlon zacisnieta na rekojesci i wysunal miecz do polowy z pochwy. To bielce szly z nagonka.

Osadnicy mieli swoje psy goncze, a Nienazwane mialo swoje. Jednakze bielce nie byly psami w zwyklym rozumieniu tego slowa. Dawno temu musial stawic im czola, gdy osaczyly llylle i jego na ziemi Wroga. Osaczaly i polowaly calym stadem, a zabic je mozna bylo tylko pojedynczo.

-Zblizaja sie! - krzyknal Ayyar.

-Sa na tropie... Spojrz! - Okrzyk Rizaka zabrzmial znacznie glosniej.

Nadlatujacy fliter byl okazalszy niz ten, ktory zwabili na ziemie, by zdobyc kom; zblizal sie bardzo szybko. Lecz oto z samego serca Pustkowia zablysnal promien, przecial niebo, namierzyl fliter i rozzarzyl go w jednej chwili do bialosci.

Wszyscy trzej Iftowie padli na kolana, zaslaniajac oslepione na moment oczy. Ayyar uczul nagle uklucie strachu.

Moze naprawde oslepli? Spod kurczowo zacisnietych powiek plynely bolesne lzy. Widzial jedynie krwista czerwien wypelniajaca swiat dookola.

-Czy... czy to juz po wszystkim? - dobieglo go pytanie Rizaka. Niechetnie otworzyl oczy - nic tylko szkarlat. Ale poprzez niego jak przez mgle majaczyła mu skala i zarosla. A wiec nie oslepl!

Nie bylo slychac warkotu flitera; maszyna musiala splonac w wiazce promieniowania bez sladu. Lecz nagle czyjas reka spoczela ciezko na jego ramieniu i zacisnela sie kurczowo i odcignela go na bok.

-Leci! Ciagle jeszcze leci... laduje!

Wzrok Ayyara byl nadal zamglony, ale i tak zorientowal sie, ze Jarvas mial racje. Oslepiajace swiatlo zniknelo i mogli wreszcie dojrzec ladujacy fliter. Chociaz silnik zamilkł, to wydawalo sie, ze pilot panuje nad maszyna. Do bolu podraznionych oczu dolaczyl sie nieznosne dla uszu, przeszywajace przenikliwym skowytym i coraz glosniejsze ujadanie bielcow. Bol dzialal jak ostroga. Ayyar zerwal sie na rowne nogi - biegł, zataczajac sie, rozpaczliwie probujac dotrzec na miejsce ladowania flitera. W chwilach ciszy miedzy przewiercajacym mozg na wylot halasem slyszal tupot stop biegnacych towarzyszy.

Nie mial pojecia ani dlaczego biegnie, ani co ma zamiar uczynic, gdy juz dotrze na miejsce. Wypadł na otwarta przestrzen akurat w chwili, gdy fliter dotykł ziemi; nie pomyslal nawet, ze moze dostac sie w zasieg blastera. Kiedy to do niego dotarło, zatrzymal sie raptownie. Drzwi kabiny pozostawaly zamkniete.

-Czy oni nie zyja? - Z prawej doslyszal pytanie Rizaka.

-To możliwe. - Jarvas zaczął zbliżać się do maszyny; siedział niechętnie, na sztywnych nogach, walczył z opornym ciałem.

Lecz zanim zdolał dotknąć filitera, drzwi kabiny odsunęły się. Z wnętrza wypelzł na czworakach człowiek i z wysokości kilku stop spadł na ziemię. Macając na oślep, natrafił na bok maszyny i wstał. Nosił mundur służby bezpieczeństwa portu i gwiazdę oficerską na ramieniu. Wzrok miał utkwiony przed siebie; z pewnością nic nie widział, jak Ayyar kilka chwil wcześniej.

W ten sam bezradny sposób ukazał się następny człowiek, starszy cywil. Jęcząc zwałił się twarzą w dół, blokując przejście trzeciemu - młodemu człowiekowi w mundurze pilota.

-Z pewnością są w szoku - wyraził przypuszczenie I Rizak. - posłuchajcie!

Ujadanie bielców rozbrzmiewało teraz bardzo głośno i wyraźnie. Dla myśliwych z Pustkowie przybysze z portu stanowiły łatwą zdobycz. Jarvas złapał mocno młodemu pilota za ramię.

-Bierzcie ich... musimy zabrać ich stąd... - rozkazał, ciężko oddychając.

Niesłychanie trudno było przemoc się i zbliżyć do ludzi.

Ayyar wzdrygał się przed tym każdą cząstką ciała. Lecz musiał, koniecznie musiał przezwyciężyć swoją odrazę; nie można było zostawić ich na pastwę bielców.

Złapał bezwładnie leżącą rękę starszego mężczyzny i pociągnął. Ku jego niezmiernemu zdziwieniu, mężczyzna wstał i posłusznie dał się wprowadzić lftowi między skały, gdzie mogli mieć szansę obrony. Pozostali dwaj równie łatwo podążyli za Rizakiem i Jarvasem. Cały czas jednak zdawali się trwać w transie, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń jak roboty.

Z chwila gdy wszyscy znaleźli się bezpiecznie między skalami, lftowie ulokowali przybyłych w niszy i z wciągniętymi mieczami stanęli w pogotowiu u jej wylotu.

Rozdział piąty

Wybrali swe schronienie w pośpiechu, ale do tej pory wszystko wskazywało, że był to trafny wybór. Nic nie zagrażało im z tyłu, gdyż za plecami mieli tylko lfta skalę. Z kolei wylot niszy był tak wąski, że na broniących mieczem dostępu lftów nie mogłyby nacierać więcej niż dwa bielce na raz. Nie byłyby w stanie osaczyć ich całą sforą i sciągnąć w dół; chyba... że wysłano je z łowcami. Może nadszedł już czas, by stawic czoła fałszywym lftom?

Ayyar cały zamienił się w słuch. Przez długą chwilę bielce nie dały znaku życia. Słyszał tylko szum rzeki i inne zwykłe dźwięki. Dlaczego Wrogowie nagle zamilkli?

Z zaskoczenia omal nie zachłysnął się powietrzem. Ze swego miejsca mógł dojrzec filiter - coś białego i wysmukłego, o wąskiej głowie i długich koscistych nogach, pojawiło się w polu widzenia. Okrzykiło maszynę wysuwając przed siebie głowę i barki, weszac w kierunku otwartej kabiny. Bieliec zbliżył nos do śladów pozostawionych przez ludzi. Teraz odwrócił głowę, aby spojrzeć na skały, i ujrzał czekającego lfta. Otworzył pysk i wywiesił cienki, błydy ozór. Odrzuciwszy łeb do tyłu zawył wysoko i przerazliwie, przyprowadzając lfta o ból uszu i wwiercając się w jego umysł.

Wysławszy swoje wezwanie, potruchtal nieco do przodu i przysiadł na zadzie, daleko poza zasięgiem miecza. Uwagę Ayyara przyciągnął ruch z tyłu. Rizak niezgrabnie gmerał przy pasku człowieka, którego ocalił. Drżące palce, zmuszone siłą woli, zacisnęły się na kolbie blastera. Nienaturalnie i niezgrabnie unosił rękę, jakby bron w jego dłoni wazyła z tonę.

Oparł łufę na szczycie skały celując w bielca i wypalił.

Ogień oslepił i poraził ich oczy bólem, którego gogle nie były w stanie dostatecznie osłabić. Wiązka promieniowania zabiła bielca natychmiast, tak że nie zdążył nawet wydać głosu. To, co po nim pozostało, przypominało powykręcane korzenie uschłego drzewa. Ayyar podciągnął gogle i potarł piekące oczy. Naciągnawszy z powrotem osłonę, czekał w napięciu na odpowiedź kompanów wezwanych przez bielca.

Rizak wykonał zwiadowcę stada, ale był on zaledwie jednym z wielu. Kto wie, czy blaster poradziłby sobie równie skutecznie z robotem?

-Ruszamy na brzeg rzeki, na południe - niespodziewanie rozkazał Jarvas.

Ayyar, przerażony i skonsternowany, pomyślał, że opuszczenie nawet tak mizernego schronienia dla otwartej przestrzeni

zakrawalo na szalenstwo. Z drugiej jednak strony biernie oczekiwanie na nieznanie niebezpieczeństwo groziło zbyt wielkim ryzykiem.

-Chodź! - Jarvas przemówił do policjanta we Wspólnej Mowie, a następnie unosił jego rękę i położył sobie na ramieniu. Teraz jednak Ayyar zauważył, że oczy tej pozornie nieruchomej twarzy skupiają się na Jarvasie; zasnęło w nich coś jakby przeblask inteligencji i zrozumienia sytuacji.

Prowadząc obcych zeszli po stromym zboczu na pokryty lodem żwir na brzegu wody.

-Uwaga! - Ayyar padł, pociągając swego podopiecznego na ziemię.

Rizak nie potrzebował ostrzeżenia; przemiotał promieniem blastera po sylwetkach zachodzących ich od południa, aż skreciły się w ogień. Trzy bielce zamilkły na zawsze.

-Czym... czym... kim jesteście?

Głos przemawiający z wahaniem we Wspólnej Mowie wstrząsnął Ayyarem. Nawet w krótkim czasie przywykł myśleć o obcych jako o istotach na polu ożywionych, nie roszczeniowych do udziału w decydowaniu. Spojrzał na człowieka, którego zwał właśnie z nog. Był starszy od pozostałych dwóch towarzyszy i patrzył całkiem przytomnie. Unosił rękę i wyciągnął ją po broń. Jarvas uprzedził go:

-Wstan, jeśli możesz. Zaraz nadciągnie reszta sfory!

Ani jednego ostrzegającego szczeknięcia bielca, tylko migniecie sylwetki między skalami. Rizak wrzasnął z bólu, w jego ramieniu drżała wbita strzała. Upuścił blaster, w tej samej chwili Ayyar złapał go i wysłał wiązkę wprost w zielono odzianą postać stojącą na skalach, która nie upadła nawet gdy ogień skrecił na niej ubranie.

-W głowę! - krzyczał Jarvas. - Celuj w głowę!

Celowac? Problemy stwarzało samo utrzymanie broni obcych w dłoni. Próbując opanować się, oparł drżącą łufę na przedramieniu. Drugie uderzenie wiązki przeszło przez głowę lucznika, ale nie stracił on równowagi, tylko począł poruszać się w przód i w tył małymi, podrygującymi krokami.

Na koniec niezborne ruchy zawiodły go na szczyt klifu, gdzie runął w dół i roztrzaskał się, niknąc im z pola widzenia.

Wówczas następna strzała uderzyła w głaz tuż obok ramienia Ayyara. Nie było sensu narazić się i maszerować dalej na południe.

-Z powrotem, w górę strumienia!

Człowiek, który przemówił, zerwał się na równe nogi i wykonał rozkaz Jarvasa, jakby był jednym z nich. Wyciągnął blaster i wycelował w cicho skradające się w dół zbocza bielce. Dłoń Ayyara drżała tak, że nie był w stanie prawidłowo celować, więc po prostu posłał wiązkę przemiatając w poprzek przez skały.

Atak skończył się równie nagle jak się zaczął. Między skalami nic więcej się nie poruszało, a charakterystyczna przygnębiona atmosfera, znamionująca nadzór Nienazwanego nad swymi sługami, minęła.

-Kim jesteście? - Kolejny raz człowiek z portu zazałał odpowiedzi. Tym razem wszyscy trzej stali w zasięgu jego blastera.

-Jesteśmy łtami z Lasu - odparł Jarvas.

-Następne roboty... - Pilot wytracił blaster z ręki Ayyara.

-Nieprawda. Wasze roboty są tam - Jarvas wskazał na zachód. - Właśnie widzieliście je i ich psy goncze w akcji.

Pozostawiliśmy wam jednego, abyście poznali prawdę...

-Jak moglibyśmy wam uwierzyć!

-Hanfors! - przerwał ostro trzeci z przybyszów, oficer. - Kto nadawał te sygnały? - i powtórzył długą sekwencję cyfr.

-Dwa, siedem, dziewięć - dodał Jarvas. - Pate Sissions. Pierwszy Zwiadowca.

-Gdzie on jest? - zazadał odpowiedzi pilot.

-Jest z nami; przesłał tę wiadomość - odparł Jarvas.

-My nie jesteśmy robotami, ani też nie mamy przymierza z ich władcą, Nienazwanym. Stworzył je, aby popsuć stosunki między nami a wami, przybyszami spoza planety.

Mężczyzna, który powstrzymał wybuch Hanforsa, opuścił swój blaster o cal lub dwa. Spojrzał pytająco na najstarszego z ich grupy, który odezwał się w te słowa: I - Sciagnieliscie nas na dół, by nam to powiedzieć?

-Nie. To Nienazwane sprowadziło was na ziemię, jako łatwy łup dla Jego sług.

-A czymże jest to Nienazwane?

-Nie potrafię dać wam odpowiedzi. Wiemy tylko, że Nienazwane jest prastara mocą, która od wieków powstaje przeciw naszemu narodowi. Tym razem posługuje się wami przeciw nam.

-Nami?

-To przecież wy palicie Las, wydzieracie z ziemi jego korzenie! Dlaczego?

Hanfors prychnął pogardliwie.

-Dlaczego? Wypędzamy z nor robactwo, które najechało na osady, was... Iftow, czy jak tam siebie nazywacie.

-To nie Iftowie napadli na was.

Hanfors zwrócił się do pozostałych:

-Bądź co bądź mamy jenców. Weźmy ich ze sobą, a po przesłuchaniu dowiemy się prawdy. Przygotujcie filiter do lotu, a wy przyprowadźcie więźniów.

Schowal blaster do kabury i zbiegł po stoku do maszyny.

-Złóżcie teraz swoje miecze na ziemi - powiedział starszy mężczyzna.

Rizak podtrzymywał zranione ramię drugą ręką, wokół beltu strzały rosła ciemna plama. Jarvas odpiął biegnący przez ramię pas i opuścił broń na ziemię.

Zapytał:

-Czy pozwolisz, że obejrze jego rane?

-W porządku, najpierw jednak odbierz mu broń.

Miecz Rizaka dołączył do poprzednika. Wówczas Jarvas położył rękę na sterczącym drzewcu strzały.

-Ty też! - Pilot patrzył na Ayyara. - Połóż swój miecz obok.

Ayyar właśnie niechętnie unosił rękę, aby zdjąć broń, gdy z filitera dobiegło ich wołanie. Hanfors opuścił kabine filitera i przybiegł na pedał.

-Nie mamy rady wystartować, instrumenty pokładowe nie działają.

-Wyslij wezwanie - zasugerował starszy mężczyzna.

Hanfors pokręcił przecząco głową. - Nic nie działa; ani napęd, ani łączność, nic...

-Możesz to naprawić?

-Niby co naprawić? - zapytał opryskliwie Hanfors.

-Nie ma tam żadnej widocznej usterki.

-Zadnej usterki poza ta, ze nic nie dziala - skwitowal trzeci mezczyzna. - Jesli tak, to rowniez wiazka naprowadzajaca portu nas nie widzi, a wiec przyleca nas szukac.

-Ba, ale kiedy, Steffney? - starszy mezczyzna rzucil . czujne spojrzenie na Jarvasa, ktory probowal wyciagnac strzale z ramienia Rizaka. - Nie wydaje mi sie, aby bylo to szczegolnie dobre miejsce do ladowania. Bylbym za wyruszeniem na polnoc. Brygada karczujaca po tej stronie rzeki musiala nas namierzyc gdy przelatywalismy opodal. Oni beda nas szukac pierwsi. - Mamy takze to - stuknal palcem w blaster. - Wydaje sie, ze bron uzywana przeciw nam rzucil sarkastyczne spojrzenie na miecze i zlamana strzale jest malo skuteczna. No, i teraz, mamy trzech zakladnikow.

-Trzech wiezniow. Ty, rzuc ten miecz! - rozkazal Steffney Ayyarowi. - Nie mamy przed soba zbyt dlugiego marszu, a i to caly czas wzdluz rzeki.

Starszy mezczyzna popatrzy w gore strumienia, a potem na resztki bielcow. Ayyar wiedzial, co tamten mysli, zupełnie jakby mogl czytac w jego umysle. Dotad nie zaznali strachu, szybujac wysoko ponad ziemia: ani unoszac sie nad Lasem noszacy slady woli i determinacji ludzi, ani nad nic nie znaczacym dla nich Pustkowiem. Teraz zostali sciagnieci na ziemie i wciagnieci w utarczke z nieznanym wrogiem, a to juz cos calkiem innego. Nagle dotarl do nich ogrom Pustkowia, a Las nie byl juz tylko drobna przeszkoda, stojaca im na drodze - zostali poskromieni w swej pysze.

Nie w smak im bylo wedrowac na polnoc poprzez dzikie tereny, prowadzac wiezniow, nie majac pewnosci, czy cos zlego nie podaza za nimi trop w trop.

-Ten teren nie jest wcale tak opustoszalony, jak wam sie wydaje; przebywa tam Nienazwane i jego sludzy.

Jarvas, ktory musial chyba tez czytac w myslach ludzi, mial najwidoczniej zamiar wykorzystac je dla zbudowania plaszczyny wzajemnego zrozumienia.

-Mamy was, i to wystarczy, nikt nas nie zaatakuje... - wyszczerzyl zeby w usmiechu Hanfors.

-Jesli tak, to skad wziala sie ta strzala? - zapytal Ayyar. - Czyzby to nasi towarzysze strzelali do nas? Jezeli tak, to w jakim celu?

Starszy mezczyzna usmiechnal pod nosem:

-Na te pytania dosc latwo odpowiedziec. Mogliscie byc tu przyslani, aby sciagnac nas na dol, pomoc w ucieczce i zyskac nasze zaufanie.

-Odpowiedz jest prosta, popatrzcie na rannego - wtracil sie Steffney. - Jesli to robot, to zaden problem ranic go. Mogli poswiecic robota dla uprawdopodobnienia historii.

To skaleczenie na jego ramieniu to drobiazg nie wart wiekszej uwagi. Inspektorze Brash, moze pan miec racje.

Jarvas wzruszyl ramionami.

-Nie ma sposobu, by przekonac kogos, kto nie chce sluchac argumentow. Powtarzam, ze dla kazdego stamtad nie jestesmy zakladnikami, lecz wrogami, a wiec nie mozecie uzyc nas jako oslony.

-Byc moze, ale z pewnoscia i tak bedzie z was jakis pozytek - oswiadczył Steffney. - Teraz ruszajmy w droge!

Ayyar z ociaganiem oddal miecz, obserwujac, jak Hanfors zebrał je wszystkie razem i przewiesil przez ramie. Poganiani niecierpliwym ruchem blastera w dloni Steffneya rozpoczeli wedrowke wzdluz rzeki. Od czasu do czasu docieral do nich slaby zapach tlącego sie drewna, przypominajac o zagladzie Lasu.

Jeszcze nie stracili z oczu flitera, gdy Ayyar poczul, ze Nienazwane ponownie skupilo na nich swoja uwage. Nie zauwazyl najlezszego ruchu, nie bylo slychac ujadania bielcow. Wprawdzie przybysze spoza planety nie byli ani zwiadowcami, ani mieszkancami lasow, lecz zachowywali najwyzsza ostroznosc.

Jarvas docieral juz do rzeki, Rizak podazal tuz za nim, a Ayyar szedl najblizej obcych. Zaczal rozwazac mozliwosci ucieczki. Zalozmy, ze opoznilby marsz, skupiajac uwage Steffneya na sobie... Czy Jarvas wykorzystalby moment nieuwagi i skoczyl do rzeki? No, i czy woda zapewnilaby mu dostateczna ochrone przed ogniem blastera? Nie bo w tej samej chwili z prawej wyprzedzil go Hanfors; szedl teraz o krok za Jarvasem. Rizak wprawdzie nie narzekal glosno, lecz musial chyba byc powazniej ranny niz przypuszczali, gdyz utykal od czasu do czasu, wspierajac sie na Jarvasie. Gdyby mieli choc cien szansy na zaplanowanie jakiejś akcji...

Musieli znajdować się dalej niż o dzień marszu od zdewastowanych obszarów Lasu. Gdy nadejdzie noc, zdobeda pewna przewagę, widząc w ciemności. Wątpliwe jednak, aby Nienazwane zaprzestało dalszych napadów i pozwoliło im poruszać się cały czas swobodnie. Z drugiej strony, nawet jeśli byli pod stałą obserwacją, to droga do Zwierciadła biegła tak niedaleko...

Nie! Umysł jego przeszył rozkaz nie mniej stanowczy, niż gdyby został wykrzyuczany na głos. Nie sprowadza się wroga wprost do źródła swej siły. Zwierciadło służyło im w walce przeciw Nienazwanemu, ale jeśli zjawia się z obcymi, odmówi im swej opieki. Odraza do niegdyśszych pobratymców wzrosła tysiąckrotnie.

Słońce powoli zachodziło, a Jarvas podpierający Rizaka szedł coraz wolniej, mimo ponaglen poganiających ich strażników. Na czoło wysunął się Brash, który raptem zatrzymał się i spojrział ku zachodowi.

-Słyszycie to?

Czy dobiegli ich dźwięki, czy też coś innego, trudnego do określenia? Jedynie Ayyar zdążył zidentyfikować niebezpieczeństwo, a i to tylko dlatego, że już niegdyś stawiał mu czoła. Skrzydlaty cień w powietrzu, jeden z posłanców Nienazwanego. Gdy tylko zniżył swój lot, Brash zakrył uszy rękami potraszając gwałtownie głową. Gdzieś z tyłu nadbiegł krzyk Hanforsa.

Ayyar szarpnął się w tył, wpadł na pilota i obaj runeli na ziemię. Staral się powstrzymać towarzysza od nieprzemysłanych działań, ale uderzył głową o skałę i pochłonęła go czarna noc, nieprzenikniona nawet dla oczu Ifta.

Świadomość powracała powoli. Wleczono go i czuł się chory, bardzo chory! Zaprotestował głośno lub tylko mu się wydawało, że to zrobił. Tak czy owak nic się nie zmieniło.

Nadal ciągnięto go w tym samym kierunku. Walczył ze słabością próbując uporządkować doznania, zrozumieć co się dzieje.

W końcu z wielkim wysiłkiem otworzył oczy. Wisiał między Hanforsem a Steffneyem; przed nim poruszał się Brash. Wokół cienia i światła pulsowały w niezrozumiałym rytmie; kreciło mu się w głowie.

Nigdzie nie dostrzegali Jarvasa ani Rizaka. Schronili się w wodzie czy zostali porażeni przez blasty? Nadal maszerowali wzdłuż rzeki, lecz gdy jego myśli się nieco rozjaśniały, uderzyła go zmiana, która zaszła w towarzyszach. Poruszali się wprawdzie z łatwością, ale wyglądali jakos dziwnie. Brash nie rzucał już oczami na lewo i prawo, nie okazywał ani śladu uprzedniej czujności. Szedł, nie zwracając uwagi na ziemię pod stopami, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, jakby pochłonięty myślą o oczekującym celu.

Przypominał sobie chwile przed nadejściem latającego stworzenia będącego przedłużeniem oczu Nienazwanego. Znal je, gdyż kiedyś wraz z Illylle musieli stoczyć z nim potyczkę.

Stwor oddziaływał na psychikę swych potencjalnych ofiar - a to, co nie najlepiej udało mu się z Iftami, podziało bezbłędnie na ludzi z portu. Znaleźli się oni całkowicie pod wpływem Nienazwanego!

Nie robili przerw na odpoczynek; cały czas szli równym krokiem jak nieznające zmęczenia roboty. Ayyar nie walczył z tym, co go pochwyliło; jedyne na co mógł się zdobyć, to nie zapominać o nienawiści do Nienazwanego i starać się utrzymywać umysł w równowadze.

Nie było słychać wyjących bielców, jedynie z północy dudniący loskot ciężkich maszyn. Musiało to coś oznaczać dla tych, z którymi wędrował, gdyż nagle jak na dany rozkaz wszyscy się zatrzymali, twarzami zwrócenymi na północ, skąd dobiegał dźwięk. Stawał się on coraz głośniejszy i przeraźliwszy.

Z drugiej strony rzeki dochodziły słabe krzyki ludzkie.

Z rzadko zalesionego obszaru dało się słyszeć trzeszczenie drzewek i zarosli miażdżonych przez potężną maszynę, niszczącą wszystko na swej drodze. Co najdziwniejsze, Ayyar nie wyczuwał ani zapachu karczownika, ani płomieni, lecz coś wyjątkowo nie na swoim miejscu w tych dzikich ostępach. Odnosił mianowicie dziwne wrażenie, że jakiś statek kosmiczny wylądował tu przymusowo i zbliża się w jakiś tajemniczy sposób czolgając jak wąż, przez zarosła.

Była to barka towarowa, wystarczająco silna, by udźwignąć ciężko załadowaną ciężarówkę, wyposażona w dźwig i inne urządzenia używane przy przenoszeniu ładunków na pokład. Maszt, na pol obdarty z lin, sterczał krzywo osadzony, a oplatane wokół niego widniały uschłe, zimowe wiatki dzikiego wina. Wyżej zamiast flagi zwisały poszarpane galezie drzewa. Takie same resztki wypełniały każdą szczelinę maszyny, z trudem torującej sobie drogę wśród lodu na brzegu rzeki. Pomimo silnego prądu, który nie wstrząsał i miotał, parla przed siebie z największą determinacją. Prąd zepchnął maszynę

w dol rzeki, lecz nadal posuwala sie ona nieustepliwie naprzod, teraz pod takim katem, ze gdyby udalo jej sie wreszcie wykorzystac cala sile plynacej wody, to powinna niedlugo zblyzyc sie do nich. Ayyar ledwie mogl uwierzyc swoim oczom. Slepa determinacja ladowarki byla zadziwiajaca, tym bardziej ze w resztkach sterowki nikogo nie bylo. Zdalo sie, ze maszyna zyje wlasnym zyciem!

Wrzawa, ktora slyszeli, rosła w miare jak ladowarka walczyla o przeplyniecie rzeki. W koncu poprzez zmiadzona roslinnosc dojrzeli miotacz ognia, z wylotem przykrytym tymi samymi resztkami co ladowarka, wprawdzie nie plujacy plomieniem, ale z lekko zakrzywiona lufa wycelowana wprost w Pustkowie.

Dno ladowarki, obmyte przez prad z wiekszosci zanieczyszczen, osiadło na mieliznie; fala uderzyła o brzeg. Przez cały ten czas towarzysze Ayyara stali, gapiac sie przed siebie. Nie był pewien, czy widza co sie dzieje; nie okazywali zdziwienia ani zdenerwowania z powodu przybycia maszyny.

Miotacz ognia wychynal na otwarta przestrzen i wciaz wycelowany w Pustkowie, poczal niezgrabnie poruszac sie w kierunku zachodnim. Wtedy z wycinki w lesie wylonila sie trzecia maszyna - karczownik z uniesionymi w gore zebatymi lopatami, sluzacymi do rycia w ziemi - i powedrowala w tym samym kierunku. Ladowarka poruszajac sie z wielkim trudem zamknela ten pochod.

Krzyki zza rzeki, podazajac w slad za ladowarka, zblyzily sie i nagle ujrzeli poruszajace sie w ciemnosci plonace pochodnie. W tej chwili Brash i pozostali dwaj prowadzacy Ayyara ruszyli w gore zbocza, za trzema maszynami z trudem torujacymi sobie droge ku Pustkowi. Nie odwrocili nawet glow, by ujrzec, jak pochodnie docieraja do rzeki.

Ayyar uczynil to.

Nie wierzył, aby osadnicy, słabo przecież widzący w nocy, dostrzegli ich z takiej odległości. Poruszali się tam i z powrotem wzdłuż brzegu rzeki. Było ich bardzo wielu i Ayyar widział światło odbijające się od powierzchni metalu. Błyszczące kosy, siekiery i długie maczety używane do torowania sobie drogi wśród zarosli mogły być także bronia w rekach zdesperowanych i zdeterminowanych ludzi.

Możliwe, że dojrzano ich, gdy wdrapali się na wierzchołek wzgorza i przecinali na przelaj koleiny na lewo od ladowarki, gdyż okrzyki wzmogły się. Ayyar jednak, nie mogąc już dłużej opierać się nielitosciwemu przymusowi, który uczynił z niego więźnia, nie widział już, co dzieje się za nim.

Teraz wszakże nie byli już sami; spomiedzy smietniska zmiadzonych przez maszyny roslin wyszli ludzie, ubrani w typowe ubrania noszone w porcie. Szli miarowo, wbijając wzrok przed siebie jak towarzysze Ayyara. Najwidoczniej znaleźli się pod wpływem jakiejś dominującej siły.

Ayyar zeszywniał, wbijając stopy jak tylko mógł najgłębiej w koleiny, starając się wyrwać spod wpływu tego, co ciągnęło go ze sobą. Równie bezsensowne byłyby próby zatrzymania w pojedynkę tamtej barki. Chwył nawet nie zelzał; podawali dalej przed siebie.

Czyżby Nienazwane gromadziło armie posłuszna swej woli?

Krzyki znad rzeki nie wyjaśniły Ayyarowi, czy osadnicy sami zdecydowali się wejść do wody, czy też zostali schwytni w sieć Nienazanego. Jedyne, co mógł, to walczyć ze wszystkich sił o swoją własną wolność, zapierając się nogami i szarpiać, bez większych jednak nadziei na powodzenie.

Dwóch mężczyzn spośród podążających za maszynami, przyłączyło się do grupy Ayyara. Nie wymienili nawet spojrzeń, nikt nie przejawiał najmniejszego zainteresowania nowymi towarzyszami. Obaj nowi nosili policyjne mundury i blastery schowane w kaburach, jakby sytuacja nie budziła ich obaw. Monotonny marsz wpłynął uspakajająco na Ayyara, jakby znalazł się w towarzystwie ludzi niepokonanych i niesmiertelnych.

Nagle jedna z maszyn stoczyła się do rowu i było oczywiste, że sama nie da rady się podnieść. Hanfors i Steffney, pociągając Ayyara za sobą, skrecili ostro w lewo. Inni też podążyli prosto do unieruchomionej maszyny i nie szczedząc sił próbowali ją podnieść, lecz na próżno. Nadeszło jeszcze kilku ludzi z portu o twarzach pozbawionych wyrazu i natychmiast zabrało się do roboty. Po nich zjawili się czterech, pięciu brodatych osadników w szaroburym odzieniu ociekającym wodą, jakby uciekli powodzi.

Nie zamieniwszy ani słowa wszyscy razem wzięli się do uwalniania ladowarki. Rycząc i ryjąc ziemię gasienicami maszyna walczyła o wyzwolenie. Wreszcie znalazła punkt zaczepienia, posunęła się do przodu, jeszcze trochę, podciągnęła się do pionu - i ruszyła, zostawiając ludzi leżących bezsilnie i z trudem lapiących oddech. Kto jednak dał rade powstać, ruszył natychmiast śladami maszyny.

Rozdział szosty

Ayyar i jego dwaj strażnicy znów podawali tym samym mechanicznym krokiem za grupą ludzi, która uwolniła maszynę. Trzymali się końca owego niejednorodnego zbiorowiska ludzkiego dążącego wprost do serca Pustkowie. Na północy wznosił się okryty cieniem stok góry okalającej Zwierciadło. W tej jednak chwili zdawała się ona równie daleka i niedostępna jak księżyc na niebie.

Maszyny wlokły się nierówną drogą powoli, ryjąc w miękkiej glebie głębokie koleiny. Posuwali się przez okolice, która niegdyś zmył i oczyszczył potop wylany przez Zwierciadło. Nadal była to naga pustynia, a panoszące się zło pozostawiło na niej swe ślady jak ogniska tradu.

Dalej naprzód. Stworzenie będące sługą Nienazwanego polatywało to tu, to tam nad bezładnym zbiorowiskiem ludzi i maszyn. Jeśli nawet bielce lub fałszywi Iftowie przemierzali te ziemie, to nie dawali znaku życia.

Ayyar zaprzestał walki; starał się gromadzić siły na wypadek jakiegos niespodziewanej szansy ucieczki. Umysł miał już całkiem jasny, czujnie obserwował zarówno okolice, jak i ludzi dookoła.

Musiałoby być blisko północy; Księżyc promieniujący niezdrową białością widniał jakby wyżej niż zwykle. Przybysze spoza planety na dobrą sprawę nie powinni prawie nic widzieć w mroku, a jednak zdawało się, że cel, który zjednoczył jego strażników, uczynił ich nieczułymi na zmiany dnia i nocy. Raz po raz, to tu, to tam ktoś walił się ciężko na ziemię, lecz zaraz wstawał i ruszał przed siebie, nieswiadom upadku.

Przypuszcmy, że jeden lub obaj jego strażnicy stracą równowagę. Czy potrafi wciągnąć ich w jakąś pułapkę? Ayyar zaczął śledzić drogę przed sobą w poszukiwaniu jakiegos dogodnej dziury lub nierówności terenu. Na własnej skorze odczuł, że nie ma sensu próbować zejść ze szlaku dalej niż na szerokość wyciągniętego ramienia.

Nagle znów się zatrzymali; ludzie z przodu zgromadzili się wokół maszyny, jak zaalarmowani jakimś sygnałem. Tym razem karczownik przechylił się i utknął w miękkiej ziemi, podobnie jak poprzednio ładowarka. Osobliwa armia otoczyła maszynę, próbując ze wszystkich sił uwolnić ją z pułapki. Nagle... na widok tego, co się stało, Ayyar aż wstrzymał oddech z przerażenia.

Jeden z pchających ludzi wpadł pod gasienicę karczownika, ale żaden z jego najbliższych towarzyszy nie kiwnął nawet palcem, by mu pomóc. W tej samej chwili maszyna zdolana ruszyć i po prostu przejechała po nim. Ludzie stali wokół ze zwieszonymi beczynnymi rękami, z twarzami bez wyrazu i oczami utkwionymi gdzieś przed siebie, podczas gdy karczownik gramolił się naprzód. Gdy tylko maszyny wyprzedziły ich, podjęli znówu marsz.

Człowiek, który wpadł pod gasienicę, nawet w obliczu śmierci nie wydał z siebie głosu. Jeżeli fałszywi Iftowie byli robotami, to ci tutaj, dawniej ludzie, wydawali się jeszcze bardziej obcy - bo czymże się stali?

Odraza, jaka czuł do przybyszy spoza planety, wzrosła stukrotnie. Czy Larshowie też byli tacy? Ze wszystkich sił starał się zmusić pamięć do posłuszeństwa. W takim otoczeniu Naill zdawał się brnąć nad Ayyarem; spojrzawszy więc na ludzi i maszynę oczami Nailla.

Blokada mentalna! Słowa te wylonily się z pamięci Nailla, ale co oznaczały? Jak glosily plotki, istniały narkotyki pozwalające stworzyć z żyjącego stworzenia bezrozumnego robota. Wylaczały one skutecznie wolną wolę i osobowość, a tak spreparowanej rzeczy trzeba było rozkazywać nawet, by ją dala czy podtrzymywała inne procesy życiowe ciała, niezbędne dla utrzymania ciała przy życiu i w dobrej kondycji. Jednakże ludzie idący wraz z nim nie dostawali narkotyków, a w każdym razie nie dostali ich jego strażnicy.

Lewa, prawa, lewa, prawa... Ayyar nagle zdał sobie sprawę, że maszeruje noga w nogę z innymi. To... prawa... to znaczyło... idź... bądź jednością... z nimi... z Nienazwanym...

Z Larshami - zaprzeczyła druga część jego pamięci, walczyć rozpaczliwie o władzę nad umysłem. Żaden Ift nie dzieli umysłu z Larshami!

Naill-Ayyar był rozdarty pomiędzy dwu, którzy w nim stali się jednością. Naill pragnął zjednoczyć się z resztą ocieplonych maszerujących towarzyszy, podczas gdy Ayyar czuł tylko strach i głębokie obrzydzenie do nich. Gdyby Naill zdobył przewagę, oznaczałoby to porażkę, dlatego musiał trzymać się kurczowo Ayyara, jak człowiek niesiony przez wezbrane wody czepia się pływającej kłody. Był Ayyarem z Ky-Kyc, ongiś Kapitanem Pierwszego Kregu, który mieszkał w Iftanie. Tamto miasto... Iftsiaga...

Bliski ogluszenia, uczepił się kurczowo wspomnienia o Iftsidze, schronieniu i ostoi, odwiecznej sile. Zaledwie kilka dni temu karmila go swoim sokiem. Był przyjacielem Wielkich Koron, Lasu, a nie tych, którzy unicestwiali to piekno.

Jak ktos, kto wychynal z mrocznego dymu na swieze powietrze, tak Ayyar sila woli wydobył sie spod wplywu Nailla, który tak zdradziecko wydal go na pastwe Nienazwanego. Nie osmielil sie zwlekać chwili dluzej, gdyż prowadzony przez swych straznikow z kazdym krokiem, zblizał sie do tego, co nimi zawladowalo.

Celowo zmylił krok; nie osmielil sie ponowić próby wyzwolenia swego ciała spod ich wplywu, lecz znow poczał pilnie przygladac sie ziemi pod stopami. Z braku czegokolwiek lepszego, zdecydowal sie na uschle krzewy. Część ich została zawleczona przez gasienice maszyny wprost na srodek drogi. Na lewo od koleiny sterczał pień akurat na wysokosci lydki maszerujacego człowieka. Powoli, cal po calu, Ayyar kierowal swych straznikow tak, aby pień zahaczyl Hanforsa. Calą jego nadzieja została teraz ulokowana w czymś tak mizernym! Przez chwile zaprzestal walki; niech sie odpreza i zrelaksuja.

Juz prawie... prawie... Wygladalo na to, ze zaplanowal wszystko nawet lepiej, niz przypuszczal. Hanfors szedl teraz w lewej, glebokiej koleinie, a Steffney w prawej. W ten sposob Ayyar znajdowal sie posrodku, nieco ponad nimi, na nie zrytej ziemi, a to utrudnialo ich zadanie. Czekal, czy nie zmienia swych pozycji, co zniweczyloby jego plany, lecz nie uczynili nic. Teraz, jesli tylko Hanfors wejdzie na zlamany krzak... Ayyar czekal gotowy by wykorzystac nadchodzaca sposobnosc...

Trzy kroki... dwa... teraz!

Ulamany kikut drzewa zaczepil o golen Hanforsa. Szczescie sprzyjalo Ayyarowi, gdyż pień okazal sie mocno osadzony w ziemi, nie do wyrwania. Meczczyna potknal sie i runal do przodu, Ayyar zas w tym samym momencie z cala sila szarpnal sie w tyl.

Wyrwal sie mlodemu pilotowi, ale Steffney wciaz trzymal go mocno z prawej. Okrecil sie i wyrznil w bezbronna twarz najmocniej, jak tylko potrafil. Teraz i Steffney padl na ziemie, a Ayyar cofnal sie o krok lub dwa. Odwrocil sie i pogнал przed siebie, oczekujac lada moment odglosow pogoni. Byc moze upadek i cios w twarz zwolnily refleks tamtych, gdyż po kilku chwilach napiecia zrozumial, iz nikt go nie sciga.

Dokad teraz? Przed siebie, nad rzeke, gdzie na drugim brzegu zgromadzili sie osadnicy? Na polnoc, do Zwierciadla? Czy na poludnie, ku morzu? Tam moglby chociaz liczyc na spotkanie wspolplemiencow, a moze i Jarvasa z Rizakiem, jesli tylko udalo sie im uciec.

Przebyl juz szczesliwie jedna trzecia drogi z powrotem, caly czas zbaczajac ku poludniu, gdy jakis ruch z przodu nakazal mu niezwlocznie sie ukryc. Probowal cos dojrzec lub zweszyc. Moze bielce i falszywi lftowie patroluja razem brzeg? Nie bylo slychac ujadania.

Nie! Ledwie sie opanowal, by nie wykrzyknac na glos. Nadchodzila nastepna grupa spoza Pustkowia; osadnicy niosacy siekiery lub inne ostre narzedzia mogace sluzyc za bron. Oni rowniez, jak poprzedni, poruszali sie tym samym glucho brzmiacym, rowno odmierzonym krokiem. A posrod nich... lftowie! Czy byli to falszywi lftowie, prowadzac jencow?

Nagle Ayyar ujrzal twarz najblizszego straznika... Jarvas!

Moze stal sie na powrot Pate Sissionsem i stad wziala sie wieksza podatnosc na wplyw nieznanej sily? Za nim zobaczyl Lokatath, który, jako zwiadowca, powinien byl przeciez byc po drugiej stronie rzeki. Jarvas byl blizej.

Ayyar podkradl sie chylkiem do maszerujacych, przykuczal ukradkiem za uschlymi zaroslami. Wskoczyl lapiac z calych sil wyzszego lfta, pociagnal go w dol i przygniotl d ziemi swym ciezarem. Jesli nawet Jarvas byl pod wplywem Nienazwanego, to teraz musialby oprzytomniec. W pierwszej chwili uniosl sie, na ile pozwalal mu ciezar Ayyara, i obezwladnil go chwytem, znanym Pate'owi, nie Jarvasowi. Ich twarze znalazly sie tuż obok siebie i nagle oczy Jarvasa, do tej chwili zwezone i polprzymkniecie, otworzily sie szeroko. Wyzwolil sie do reszty i usiadl, a Ayyar obok niego. Szybkim krokiem nadszedl Lokatath, i oto lftowie, nie sterowani niczyja wola, szczesliwie byli znow razem. Ayyar wyrazil swa wielka radosc slowami:

-Na szczescie to, co ich zniewalala, nie ma na nas wiekszego wplywu... - Jarvas przytaknal mu.

-Chyba ze - poprawil go Lokatath - pozwoli m sobie pamietac, ze kiedyś byliśmy tacy jak oni. Co tu si w ogole dzieje? Tamci osadnicy byli wlasnie w trakcie dzialan wojennych i nagle ni stad, ni zowad zaczeli maszerowac jak na rozkaz; przeplyneli rzeke, majac na uwadze tylko jedno: osiagniecie przeciwnego brzegu... Do czego dazy Nienazwane?

-Mysle, ze gromadzi i formuje armie. - Ayyar opisal pokrotce, czego byl swiadkiem.

-Maszyny czy ludzie? - zainteresowal sie Lokatath.

-Nienazwane zarzucilo wyrafinowane taktyki, jak na przyklad wykorzystanie falszywych lftow, i teraz wypowiedzialo wojne

otwarcie. - Jarvas zerwał się na nogi i spojrzał w ślad za maszerującymi osadnikami. - Nienazwane gromadzi swe sługi i wszystkie dostępne narzędzia, by przygotować się...

-Do czego? Do wrywania Lasu z korzeniami, drzewo po drzewie? - spytał Ayyar. - Ci z portu i osadnicy robią to już za niego. Do walki z nami? Jest nas zaledwie szesciu po tej stronie morza. Nikt nie ścina zdżbła trawy siekiera. Dlaczego więc?

-No własnie, dlaczego? - Jarvas wpatrywał się tym razem nie w maszerujących, lecz w cień na północy, w miejsce gdzie znajdowało się Zwierciadło.

-Zapomnieliśmy, że istnieje inna siła, inny przeciwnik, o wiele bardziej wart uwagi Nienazwanego niż my. Kilka miesięcy temu siła ta uzyla swej mocy i możliwe, że z kolei to zdarzenie wywołalo desperacki odwet, którego jesteśmy własnie świadkami. Zmieniłem zdanie: ludzie ci wcale nie wyruszyli przeciw nam czy przeciw Lasowi. Tak jak ongiś Nienazwane wysłalo Larshow na podboj Iftcanu, tak i teraz może formuje armie, aby zawiadnac źródłem naszej siły Zwierciadłem Thanth!

Umysl Ayyara wzdral się nawet przed myśla o takim swietokradztwie. Zwierciadło zawsze było źródłem mocy, dzięki której kielkowały nasiona i żyli Iftowie, a Iftcan przez wieki wital porę wiatrow zrzucając wielkie, stare konary. Ostrzegalo przed zagrożeniem ze strony Nienazwanego i nakazywalo czujność. Natomiast teraz, gdy Iftowie byli tak nieliczni, Nienazwane niepomierne wzroslo w sile, gdyż zdolalo zgromadzic tak wiele sług przeciw nim. Być może wyczulo realną szansę na ostateczne zwycięstwo. Sama myśl o takiej możliwości przywodziła umysł na krawędź szaleństwa.

Przeszłość przemowila teraz ustami Ayyara; choć pozbawiony miecza, wzniosl dłoń, jakby celując w górę:

-Oto odpowiedz Ifta - nie składa się holdu mieczem!

Uslyszal nerwowy śmiech Lokatatha:

-Dobrze powiedziane, bracie! Lepiej zginac w walce, niż zlozyc Nienazwanemu hold wiernopoddanczy!

-Najlepiej jednak - ucial surowo Jarvas - żyć i służyć mieczem Thanth. Wchodzimy do walki osłabieni, nie mamy bowiem umiejętności ani wiedzy tych, których zastapiliśmy, podczas gdy Nienazwane korzysta ze swoich bez ograniczeń. Zrobimy jednak, co w naszej mocy. W takiej sytuacji nie wolno nam się rozdzielać. Rizak ukrywa się za rzeką; nie jest jednak tak ciężko ranny, żeby nie mógł się do nas przyłączyć. Przede wszystkim jednak potrzebujemy !!

-Odnajde ja - stwierdzil Lokatath. - Chociaz spojrzal w niebo - dzien juz blisko, a to jest czas Nienazwanego. Lepiej nie bede ryzykowal zbytym pospiechem w porze Jego przewagi.

-Nie wolno ci ryzykowac! - zgodzil się Jarvas. Wprawdzie jestem przekonany, że Nienazwane, nawet przy chwilowej przewadze, nie ma szans, pamietaj jednak, że bielce i falszywi Iftowie wciąż grasują w poszukiwaniu łatwego łupu. Do tej pory Nienazwane zapewne przyciagnelo wiecej osadników. Badz ostrożny i zostawiaj za sobą falszywe ślady.

-Moze lepiej pojedziemy we dwoch... - zaczął Ayyar.

-Nie, w żadnym wypadku nie wolno się nam zbytym rozdzielać. Tobie, mnie i Rizakowi przypadnie obowiazek oczekiwania przy Zwierciadle.

Nie szukali końca rzeki i drogi wiodacej do Zwierciadła. Biegli na przelaj przez z początku spustoszona okolice, aż do miejsca, gdzie roślinność ponownie zapuscila korzenie. Dotarli do drogi, której sciana wznosila się tu na wysokość ramion, a nawet wyzej w pobliżu schodow wiodacych do Zwierciadła. Ongis tworzyła ona skuteczną barierę między złem legnacym się na Pustkowiu a swieta droga. Ayyar wyczul w niej jakas zmianę; szczeliny nie przekazywaly już przesłania pokoju, nie mowily o schronieniu. Zdawaly się wyrazac chęć wycofania się, zupełnie jak gdyby jakis myśliwy obserwowal ich i czekal w ukryciu.

Jarvas nie uczynil kroku ku schodom wiodacym do Zwierciadła. Nie ponaglali go. Bylo ich trzech, Rizak dolaczyl do nich po drodze. Ponad lukiem wiodacym do stopni jarzyla się symbole, które Ayyar widzial tu pare miesięcy temu, kiedy to iskra z jego miecza jak niewidzialny klucz otworzyła im wejście.

Wówczas symbol ten był zielony; teraz ściemnił i pulsował, jakby energia doplywała do niego falami i odplywała.

Patrzeli w napięciu; nikt nie odezwal się nawet słowem.

Ayyar doszedl do wniosku, że jeśli uprzednio pytanie brzmialo: - Czym było Nienazwane? - to teraz nalezalo również

rozwazyc kwestie:

-Co lub kto odpowiada na pytania lftow uzywajac mocy Zwierciadla?

Coz, jesli znajdziesz sie na polu walki pomiedzy dwoma wrogimi potegami, a na dodatek nie masz nawet pojecia o laczacych ich ukkladach, jedyne, co mozesz zrobic, to zachowac czujnosc i bacznie ich obserwowac.

Jarvas siadl ze skrzyzowanymi nogami na drodze, z nieruchomym wzrokiem. Ayyar domyslal sie, ze stara sie ze wszystkich sil odzyskac pelnie pamieci Jarvasa, odzyskac cala wladze dawnego Mistrza Zwierciadla. Mistrza Zwierciadla? Zdawali sobie przeciez sprawe, ze zaden lft nie bylby w stanie kierowac moca wladajaca Thanth.

Rizak oparl sie o kamienna sciane, zamknal oczy, zraniona reke przycisnal do piersi. Ayyar pomimo zmeczenia przechadzal sie czujnie wzdluz sciany, obserwujac Pustkowcie spogladal na przemiany na wschod i na zachod. Swit nadchodzil wielkimi krokami, a goracy dzien bedzie domena Nienazwanego. Cos pojawilo sie w dali na tle szarzejacego nieba.

Nie byl to skrzydlaty poslaniec Nienazwanego, raczej fliter z bazy w porcie, nadlatujacy wprost z zachodu. Czy mozliwe, ze Nienazwane podporzadkowalo sobie wszystkie maszyny? A moze to po prostu jakis niemadry zwiadowca z portu? Kurs wiodl maszyne wprost nad Zwierciadlo. Reka Ayyara instynktownie uniosla sie w gescie ostrzezenia. Wlasnie w chwili, gdy sie poruszyl, fliter skrecil gwaltownie w prawo, zanurkowal, jakby tracac na chwile kontrole nad sterami, wzniosl sie znowu, by lecac pod ostrym katem uniknac zderzenia z gora i jej kraterem. Gdy tylko minal Zwierciadlo, podazyl sladem od dawna niewidocznej armii.

Na zewnatrz ich schronienia nie bylo widac innych oznak zycia. Tu i tam wschodzace slonce oswietlilo jakies blyszczace plamki. Znajdowaly sie one zbyt daleko, aby Ayyar mogl rozpoznac czym sa, lecz byly dostatecznie jaskrawe, by oslepil jego oczy. Jako ochotniczy wartownik ograniczyl sie jedynie do obserwacji przestrzeni po obu stronach drogi.

Stracil rachube czasu i nie mial pojecia, jak dlugo czuwaja, gdy wtem po dlugim okresie zapatrzenia sie we wlasne myśli Jarvas spojrzal na towarzyszy. Slonce zawedrowalo juz wysoko i nekal ich ostry glod, a zapasy ich przepadly, tak samo jak bron. Ayyar wlasnie myslal o tej stracie, gdy Jarvas zapytal:

-Widac cos na zewnatrz?

-Nie.

-Zbieraja sily. - Rizak, mimo zamknietych oczu, nie spal. - I co zrobimy? Wyruszymy, by stawic im czola?

-Jesli to bedzie konieczne, tak.

-Nie bylo sensu dyskutowac z odpowiedzi Jarvasa; dobrze wiedzieli, ze ma racje. Nie bylo juz odwrotu; stracili . wszelka szanse spokojnego i bezpiecznego zycia w chwili gdy kazde z nich wpadlo w pulapke, ktora miala przemienic ich w lftow. Zmagania ich plemienia ze zla moca trwaly od dawien dawna, a oni byli teraz lftami.

-Przespj sie, jesli mozesz - poradzil Ayyarowi Jarvas. - Zmien cie na warcie.

Slonce wprawdzie swiecilo mocno, ale schronili sie w cieniu wzdluz scian drogi. Ayyar z westchnieniem ulgi polozyl sie w mroku i zamknal oczy. Nie liczyl na sen, ale prawie natychmiast zasnal.

Snila mu sie wlasnie uniwersalna odpowiedz na wszystkie pytania, gdy reka potraszajaca jego ramieniem przywrocila go rzeczywistosci. Z otwarciem oczu na orzezwiajacy zmrok wieczoru odpowiedz uleciala w niebyt. Symbol widniejacy na luku nadal plonal, lecz teraz swiatlem stalym, zupełnie jakby zgromadzil juz potrzebną energie. Panowala taka atmosfera oczekiwania, ze obejrzał się za siebie, by sprawdzic, kto lub co przylaczylo sie do ich towarzystwa.

Zbudzil go Rizak, a po Jarvasie nie bylo sladu. W odpowiedzi na nie zadane pytanie Ayyar uslyszal:

-Poszedl na gore.

Ayyar podniosl sie, by podazyc w tym samym kierunku, lecz Rizak potraszal glowa przeczaco:

-Jeszcze nie teraz.

Spojrzenie rzucone na symbol podpowiedzialo Ayyarowi, ze towarzysz ma slusznosc. Ich jeszcze nie wzywano.

Blekitny jest liść, a drzewo potężne,

Korzenie głęboko rosną, gałęzie wysoko,

Słodka jest wolna kraina,

Nadchodzi zmrok...

Wraz z tymi słowami Ayyar poruszył rekoma, czyniąc ruch jak ktoś, kto pragnie dotknąć zasłony, rozsunąć ją na boki...

Mrok nadchodzi - ucisk nocy,

Gwiazdy migocą, a księżyc jasnieje,

Liść jest blekitny - życie powraca.

W końcu miecz nigdy nie chybia...

To nieprawda. Miecze już raz zawiodły; mogą to uczynić znowu. Miecze przeciw blasterom, to nie świadomy wybór, lecz samobójstwo. Myśli Nailla zmaciły jęz Ayyara. Następne wersy posłyszał zza swych pleców:

Blekitny liść rozwija się i rośnie,

Głęboko sięgają stare korzenie.

Gwiazdy migocą, a księżyc jasnieje.

Łft sięje...

Rizak urwał.

-Dalej zapomniałem. - dodał po chwili. - Gdybyśmy mogli razem zaspiewać opowieść o mieczu Kymona, te wszystkie madre słowa, potężne pieśni... moglibyśmy pokusić się o odgadnięcie natury Nienazwanego oraz o wyjaśnienie, w jaki sposób zostało Ono spętane Klatwa Kymona. Niestety, nie potrafimy; fragmenty i urywki wyrwane z kontekstu, które wylaniają się z otchłani zapomnienia to prawie nic...

Ayyar dziwił się, dlaczego właściwie zastanawiają się teraz nad madrością, która mogła lub nie, zawierać się w prastarym eposie. Równie dobrze Kymon mógł kiedyś przejść drogę prawdy do Thanth, jak i być jedynie wymyśloną postacią z legendy o herosie. Nie, dziś na nic się zdadza stare pieśni czy strzępy wspomnień. A jednak wciąż w uszach brzmiały mu wielce znaczące dla każdego łfta słowa:

Liść jest blekitny - życie powraca...

Liście były blekitne w dawnych czasach złotej ery łftcanu, gdy łftowie niepodzielnie władali Janusem.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, gdy tak obserwowali i czekali, głodni i spragnieni, starając się zapomnieć o swoich potrzebach. Wpatrywali się w Pustkowie zamarłe w bezruchu i nasłuchiwali, czy coś nie przemyka się na zewnątrz drogi.

Do świtu Jarvas nie powrócił jeszcze znad Zwierciadła.

Ayyar znalazł zagłębienie na powierzchni kamienia, w którym zbierały się krople rosy. Zlizywali je, by usmierzyć pragnienie. Wspominał pełną smaku, odświeżającą słodkich soków łftsigi i zastanawiał się, jak długo jeszcze przyjdzie im ignorować rozpaczliwe sygnały wysyłane przez własne organizmy.

Był sam środek następnej nocy, gdy ze wschodu dały się słyszeć jakieś głosy. Ayyar napędził uzbroił się w kamień, najlepszą bronią, na jaką było go teraz stać, po to tylko, by natychmiast upuścić go na dźwięk dobrze znanego delikatnego gwizdu. Trzy postaci podążyły wzdłuż drogi. Szczęśliwym trafem Lokatath wypełnił swą misję w znacznie skróconym czasie. Za nim Illylle i Kelemark, każde niosąc małe zawiniatko, biegli wprost ku tym, którzy oczekiwali na nich w purpurowym blasku symbolu, zjednoczeni na dobre i na złe.

Rozdział siódmy

Czwarty już raz w życiu, w którym odrodził się jako łft, Ayyar stał na skalnej krawędzi przewieszanej nad Zwierciadłem Tanth. Za każdym razem jezioro wyglądało inaczej - gdy przybyli tu po raz pierwszy z Illylle wzbudziło w nich taką grozę, iż

zapragne odpelznac w ciszy, aby nie zaklocic medytacji czegos niewyobrazalnie wielkiego. Nastepny raz Zwierciadlo stalo sie ich ostatecznym schronieniem na ogarnietym pozoga wojenna swiecie. Rowniez tym razem wzбудzilo w nich lek i oniesmielenie ujawniajac swa nieograniczona moc, lecz rownoczesnie podtrzymalo na duchu w ciezkiej niedoli. Tym razem spogladal w dol - nie na spokojna, niezmacona wode, nie na fantomy przez nia tworzone, lecz prosto w falujaca i wirujaca mgle, ktora nie mogla pochodzic - byl tego pewien - z Janusa czy jakiegokolwiek innego znanego mu swiata. Miejsce to nie witalo ich, nie dawalo poczucia bezpieczenstwa. Strach? Nie, nie czuli go; raczej niepokoju, jakies przedbitewne napiecie.

Nawet llylle, ktora wspiera sie tu, oczekujac porozumienia, na pol swiadomie zatrzymala sie i stala teraz bezradna jak wszyscy. Podczas, gdy wspinali sie na wystep skalny, Jarvas nawet nie odwrocil ku nim glowy. Stal z rekami opuszczonymi wzdluz bokow, nieruchomo jak posag, calym ciałem wyrazajac oczekiwanie...

Pierwsza poruszyla sie llylle, podniosla ramiona i wyciagnela dlonie w proszacych gestach. Ayyarowi przyszlo na mysl, ze albo pamietala ona wiecej z dawnych rytualow, albo . osmielila sie improwizowac w krytycznej sytuacji.

Ayyar znalazl niektore slowa rozpoczetej przez nia melorecytacji, inne nalezaly do Ukrytej Mowy - dzwieki przywolane, by wywolac odzew Niepoznawalnego.

Mgla powstajaca nad Zwierciadłem unosila sie w gore, nie falowala jak zwykle nad przeplywajaca woda. Uformowala jezor, ktory moglby zmiesc arogantow zadajacych odpowiedzi. Przerazenie, jakie odczuwal Ayyar, przewyzszalo nieporownanie sume wszelkich momentow grozy przezytych w obu wcieleniach. Nic nie dorowna bowiem uczuciu jakie cie ogarnie, gdy ktos, kogo zawsze miales za poteznego i godnego zaufania protektora, zwraca sie przeciw tobie, a ty nie masz juz dokad uciec.

Gdy budzacy przerazenie mgielny twor dotarl w ich poblize, zadne jednak nie cofnelo sie i nie ucieklo ze skalnej polki. Prawdopodobnie slowa llylle przypomnialy Jarvasowi o tym, ze byl kaplanem, gdyz przylaczył sie do melorecytacji.

Wbrew obawom Ayyara jezor nie zmiotl ich ze skaly, ale zawisl zakrzywiajac sie nad polka, zawahal sie - ale nie uderzyl. A gdy llylle poczela nasladowac ruchami sianie ziarna, mgielny twor zakolysal sie wtwarzajac jej gestom. Przerazenie opuscilo ich, pozostawiajac tylko pelne respektu zadziwienie. Pomimo rozszalalego gniewu, jaki ja opanowal, sila skupiona w Tanth rozpozнала ich i zaakceptowala.

Jezor mgly wycofal sie i pozostawil ich samych z przenikajacym do szpiku kosci uczuciem mrozu. llylle drzac i nie odrywajac wzroku od Zwierciadla, powiedziala:

-Przekazalam, ze jestesmy gotowi. Musimy czekac na zadanie, ktore zostanie nam powierzone.

Czym jest czas? Ludzie liczylu wschody i zachody slonca, dni, lata, pory roku, pory sadzenia i zniw. Czlowiek porzadkowal czas, dzielac go na coraz mniejsze kawalki, gdyz wymagalogo tego jego coraz bardziej skomplikowane zycie. Naill Renfro nie czul sie nigdy skrepowany czasem jak wiekszosc pozostalych ludzi - urodzil sie bowiem w przestrzeni kosmicznej. Stajac sie Ayyarem poczal odnosic pojecie czasu do por wzrostu i snu zimowego. Teraz natomiast znalazl sie w pulapce zupełnie innego czasu, w ktorym jego cialo nic nie znaczylo, w ktorym nie istnielo nic poza oczekiwaniem. Nie potrafilby opisac swych myslu ani nawet okreslic, jak dlugo to trwalo.

Nadeszla chwila gdy mgla opadla i zostala wchlonieta przez jezioro. Lecz teraz woda nie wygladala jak gladka powierzchnia Zwierciadla. Przesuwaly sie po niej zielone i niebieskie zmarszczki - to zanikajac, to zmieniajac kolor na srebrny. Tworzylu linie i wzory nienaturalne dla tafli wody, oczywiscie jesli Zwierciadlo Tanath kiedykolwiek bylo zwyczajnym jeziorem.

Jarvas i llylle recytowali razem - glos dziewczyny wznosil sie wyzej, a mezczyzny wtwarzal nizszym tonem, jednak brzmialo to tak, jakby oboje byli do tego stworzeni. Nadal nie mozna bylo przetlumaczyc tresci, a slowa zdawaly sie tworzyc jedynie melodie.

Srebrne linie poruszaly sie tam i z powrotem, tworzac fantastyczne obrazy, ktore znikaly, zanim mozna bylo je do konca zrozumiec. Powierzchnia wody podniosla sie wysoko w kraterze, jak ongis, kiedy to przelala sie przez brzegi, by zmiesc zlo i rzucic wyzwanie Nienazwanemu.

Nowy jezor wznosil sie coraz wyzej w powietrze, opasujac krater murem, coraz cienszym, tworzac w koncu obraz winorosli z Lasu. Delikatnie i nie razac oczu lftow srebrzyl sie, skrzyly, wil i falowal, lsniac na calej dlugosci.

Na koniec dotarl do skalnego wystepu na ktorym stali, a jego czubek zajasnil jak gwiazda nad ich glowami. Zadrgal, kolyszac sie w przód i w tył, zatrzymujac sie nad kazdym z nich po kolei, czasem na sekunde, czasem na dluzej. Dwa razy sprawdzil wszystkich, zanim uderzyl w llylle. Skrzace srebro splynelo po jej glowie i calym ciele, perlac sie na ramionach...

Potem podniósł się i ponownie zakolysał się nad resztą ich malej grupy, szukając... szukając...

Tym razem wybrancem został Ayyar. Nie poczuł dotknięcia wody, raczej już laskotanie w mięśniach, kościach i krwi, zupełnie jakby przelal się przezeń srebrny potok.

Uczucie to ustąpiło, gdy jezioro wycofało się i ukryło w jeziorze.

Wszelkie zawirowania w Zwierciadle zanikły, tak że widzieli jedynie gładką tafle wody. Ayyar wiedział, że to, co władało jeziorem, wycofało się do swego schronienia i zatrzasnęło dzielące ich drzwi.

Co było jednak przyczyną tego, co się im przydarzyło?

Spojrzał na swoje omyte przez rzekę srebra ciało. Było mu ciepło i nie odczuwał głodu ani pragnienia. Taka pełnia energii i ochota do działania zyskiwał dotąd tylko pijąc sok drzewa. Do działania? Jakiego? Należało teraz znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Illylle odwróciła się od jeziora i podeszła do niego.

-To zrzadzenie losu; tak było z Kymonem Władcy Debow, tak jest teraz z nami. Zdazamy tam, gdzie czyha Nienazwane, poniesiemy gniew i potęgę tego, co mieszka w Thanth, aby mogło pokonać Wroga.

Pierwszą myślą Ayyara było, że nie ma żadnego wyboru.

Nie była to także cała prawda. Samym tu przybyciem stawiał się do dyspozycji, nie mógł więc protestować, że został wybrany. Lecz dlaczego on? Nie był Mistrzem Zwierciadła; był tylko wojownikiem, który raz stał w przegranej wojnie przeciw temu samemu Wrogowi. Z drugiej jednak strony Kymon był również żołnierzem (jeśli oczywiście w ogóle istniał). Nie można było zaprzeczyć, iż wybór został dokonany.

Zwrócił się ku Illylle:

-Wyruszamy...?

-Tak, zaraz.

-Weź to. - Kelemark ściągnął pas, wydobyl nagi miecz i podał Ayyarowi. Widocznie inni zaakceptowali fakt, że został naznaczony.

Jarvas owinał szczelniej pelerynę wokół ramion:

-Nie mamy tu już nic więcej do roboty. Nie wolno dłużej zwlekać.

-W którą stronę wyruszycie? - zapytała Illylle.

-Do zatoki nad morzem, jeśli los nam pozwoli. Gdyby nasi bracia spoza morza przybyli, to tam ich spotkamy.

Przerwał i przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy, a potem w oczy Ayyara.

-Nie mam pojęcia, czemu stawiacie czoła, poza świadomością, że jesteście wystawieni na wielkie niebezpieczeństwo. Nikt nie może wam pomóc, niezależnie od tego, jak bardzo by pragnął. Nasze życzenia powodzenia podąża wraz z wami, ale czy mogą was uzbroić lub obronić... - wzruszył ramionami. - Tego nie wie nikt. Ten obowiązek nałożono na was jako na najodpowiedniejszych do jego wykonania. Podążyli przez Pustkowie, aż do miejsca, gdzie ściany sięgały im do pasa. Był dzień, a niebo pełne chmur wskazywało, że przynajmniej aura im sprzyja. Lecz - dokąd teraz? Wyprawa bez żadnego planu do warowni Nienazwanego... ?

-Mogłbym odgadnąć dokąd podążamy - rzekł Ayyar - ale co mamy tam zrobić, to już zupełnie coś innego.

-Z pewnością dowiemy się wszystkiego, gdy nadejdzie nasza godzina - odpowiedziała Illylle.

Tak głębokie zaufanie kłóciło się z jego wątpliwościami.

-Jeśli rzucimy się na osłep w łapy Nienazwanego, sami pozbawimy się jakiegokolwiek możliwości obrony!

Illylle spojrzała nań przez ramię:

-Obrony? Zawsze wojownik, nic tylko wojownik, Kapitan Pierwszego Kregu Iftanu, prawda? Procz użycia miecza istnieją jeszcze inne sposoby walki...

-Oczywiście - odrzekł ponuro - są jeszcze blasty i miotacze ognia! Czyżbyś zapomniała, jaka to armia najeżdżała nas na tej ziemi? Powiedziałaś, iż my sami jesteśmy bronią niosącą w sobie wielki potencjał, który możemy przeciwstawić pospolitemu ruszeniu Wroga. Cały czas mam jednak w pamięci słowa piosenki Kymona, że musimy stanąć twarzą w twarz z Nienazwanym i wygrać. To uda się jedynie wówczas, gdy pokonamy wszystkie przygotowane przez Nienazwanego linie obrony. Czy już nie pamiętasz, jak łatwo owi skafander kosmiczny wzięli nas w niewolę? A to może być najmniej groźne z czyhających na nas niebezpieczeństw.

-Co więc proponujesz? Brak nam czasu, by człapać się w ukryciu, szukając jakichś nieznanymi bezpiecznych szlaków...

-Tak? Twierdzę, że w każdym innym sposobie zginemy, zanim jeszcze na dobre zaczniemy walkę. To nie jest polowanie w Lesie, ale na ziemi stworzonej przez Wroga. Jest tylko jeden sposób... - Zdawało mu się, że myśli mu się teraz znacznie szybciej i jasniej niż dawniej.

-Jaki? - zapytała. Gnana niecierpliwością wyprzedziła go znacznie, idąc przez Pustkowie.

-Wrog ma do dyspozycji fałszywych Iftów, prawda?

I są oni na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia od nas?

Udało mu się przykucnąć jej uwadze. Patrzyła na niego, marszcząc brwi.

-Ale jak użyć fałszywych Iftów...?

-Nienazwane wysłał ich na wyprawy z jakiegoś obozu. Wychodzą, potem powracają, a więc gdybyśmy wysłedzili oddział bedacy w drodze powrotnej i przyłapali ich jako maruderzy...

-Przecież oni nie funkcjonują tak jak my, myślisz, że Nienazwane nie wykryje różnicy?

-Musimy wykorzystać tę szansę, bo możemy nie mieć następnej. Nie ma najmniejszego powodu, aby nie spróbować. To i tak mniejsze ryzyko niż działanie na oślep.

-A gdzie ich znajdziesz?

-Wyprawili się za rzekę. Pamiętasz? Lokatath siedział z osadnikami przez nich zagarniętymi. Jeśli więc skierujemy się na południowy zachód, możemy natknąć się na ich ślady

Twarz Illylle wyrażała jeszcze większy sceptycyzm.

-Szkoda marnować czas na coś tak dalece niepewnego. - Cała nasza przyszłość jest jedna wielka niewiadoma!

Tym razem, Siewczynie Nasion, uznaj wyższość doświadczenia wojownika. Przecież nikt z powodu pośpiechu nie skacze na oślep wprost w legowisko skalca. Uważam, że lepiej już odwiedzić warownie Nienazwanego z własnej woli.

Choć niechętnie, Illylle przystąpiła na jego argumenty i podążyli nieco bardziej na wschód. Zachmurzone niebo było po ich stronie. Ayyar cały czas pamiętał o owych migocących punktach widzianych z drogi, nie natknęli się jednak na nic, co mogłoby być ich źródłem. Wreszcie wpadli w głębokie koleiny, ślady niewolników Nienazwanego.

Ayyar obserwował niebo, obawiając się latających slug.

Jak dotąd jednak poruszali się przez całkowicie opustoszałe obszary. W końcu zapytał:

-Czy wiesz, co mamy zrobić, gdy już, jeśli to się uda, dopadniemy Nienazwanego?

-Jedyne, co wiem, to że jesteśmy w służbie Zwierciadła. Mam nadzieję, iż gdy chwila ostateczna nadejdzie, coś pokieruje nami w dobrej sprawie.

Tradycja przekazała, że Kymon świadomie i z własnej woli prowadził bitwę. Jeśli nawet był tylko narzędziem jednej siły skierowanym przeciw drugiej, legenda o tym nie wspominała. Legendy nie są jednak odbiciem prawdy, a jedynie jej cieniem. Mogło być i tak, że heros Białego Lasu wyruszył tak jak oni - niepewny i nieoświecony.

Nos Ayyara zarejestrował nowy zapach, a więc odgadł prawidłowo, że przeszli tedy fałszywi Iftowie. Sami czy z bielcami?

Odpowiedz na to pytanie mogła być bardzo istotna dla tropicieli.

-To oni - szepnęła Illyle.

Ayyar przytaknął, dając znak, by się nie odzywała.

Trochę bardziej na zachód zapach nasilał się, przechodząc w smród. Lecz dokąd wędrowali śledzeni? Na wschód?

To nie wzbudziłoby ich zainteresowania, sarni przecież nadeszli stamtąd. Gdy przeslizgnął się ostrożnie wokół skałki, ujrzał wąskie ślady butów prowadzące... na zachód! Dał znak Illyle i okiem zwiadowcy wpatrzył się przed siebie.

Pustkowie było tu pocięte przez rowki okolone dziwnie uformowanymi kamieniami. Erozja, czas i klimat nie mogłyby uformować ich w demoniczną twarz lub bestię; zdawało się, że musi to być dziełem czyjejs reki. Okolica nie miała nic wspólnego z Lasem, wręcz przeciwnie, widok ten mógłby pochodzić z obcej planety.

Wprawdzie jałowa gleba pod stopami nie była całkiem piaszczysta, ale ledwie gdzieś zachowały się ślady roślinności, jak zaschły pek korzeni wyglądający na kłab zacisniętych kurczowo macek. Tam i owdzie wiatr odsłonił ciemną i twardą powierzchnię, tak zaskorupiała, że uderzona kamieniem wydawała metaliczny dźwięk. Ayyar miał w pamięci blizny stopionego gruntu pozostawione przez startujące i lądujące rakiety. Te ślady były zbyt małe i za rzadko rozrzucone by mogły być pozostałością jakiegos prastarego lądowiska.

Cos pokrytego czerwonymi łuskami przyglądało się im badawczo wybaluszonymi oczami osadzonymi wysoko na wąskiej głowie, a potem ukryło się z powrotem między kamieniami. Ayyar podejrzliwie obserwował stworzenie, obawiał się bowiem, iż wszystkie żyjące tu istoty mogłyby donieść Nienazwanemu o przejściu obcych. Z drugiej strony ptaki, czworonogi i zwierzęta okryte łuskami pochodziły z Lasu i musiały o tym pamiętać, nawet będąc tak daleko od niego.

-To tylko dzięki stworzenie - Illyle musiała chyba słyszeć jego myśli.

-Skąd masz taką pewność?

-Wszystko, co służy Nienazwanemu, nosi jego niezatarte piętno. Choc, oczywiście, lepiej spodziewać się najgorszego. Ciekawa jestem...

-Czego?

-Co proponujesz zrobić, gdy już dościgniemy tych nieszczęśliwców? Falszywi łftowie nie zaakceptują nas i... Ayyar szarpnięciem ściągnął ją w płytki row, unieruchamiając swym ciałem, i zaczął nasłuchiwać, niespokojnie weszac. Smród fałszywych łktów stał się raptownie tak silny, że niemal pozbawił go oddechu. Znaleźli się niespodziewanie blisko śledzonych; lepiej by było czym prędzej znaleźć zadowolającą odpowiedź na pytanie zadane przez Illyle.

Określiła się, by spojrzeć w tym samym kierunku, i najcichszym szeptem powiedziała:

-Za tą osłonę...

Ściana rowu tworzyła tu poszarpaną wyniosłość. Za nią znajdowało się wymarzone miejsce na zasadzkę. Ayyar dojrzał w zasięgu reki kepe suchych korzeni. Z jej pomocą mógłby spróbować dostać się wyżej. Wskazał na górę i Illyle zmrużyła oczy, szacując odległość. Wszystko zależało od tego, czy zdołałby się wspinać nie zauważony. Lepiej nie myśleć, co stałoby się w przeciwnym razie...

Illyle wydobyla swój miecz i gestem nakazała Ayyarowi pozostać tam gdzie był. Niepotrzebnie, gdyż stał on znieruchomiał jak słup soli, wpatrując się w feerie skrzacych się blaskiem, srebrnych jak Thanth rozbłysków, które wydobywały się z reki dzierzacej miecz spływając po ostrzu. Teraz dziewczyna zakolysała mieczem wycelowanym w górę tam i z powrotem i nie odrywając oden oczu, wyszeptala:

-Idź!

Ayyar skoczył i zacisnął reke na korzeniach; szczęśliwie wytrzymały jego ciężar. Wówczas wbił drugą reke głęboko w ziemię i podciągnął się. Człogal się na brzuchu wzdłuż krawędzi, a Illyle pochyliła się do przodu. Od czasu do czasu jej miecz znizal błyszczący czubek i Ayyar widział wyraźnie, jak wiele musiała wkładać wysiłku by unieść go ponownie. Nie miał pojęcia, czemu miało to służyć, ale wykorzystał to jako osłonę przed atakiem.

Po drugiej stronie skarpy ujrzał zieloną, bezwłosą głowę i długie, spiczaste uszy. łft w pelerynie nie miał miecza, a trzymał jedynie baryłkowaty obiekt, nie różniący się zbytnio od blastera, a Ayyar nie wątpił, że równie skuteczny.

Stwor trzymał głowę wysoko wzniesioną, ale nie wpatrywał się w krawędź rowu; miał tego poruszał głową powoli w prawo i w lewo, powtarzając ruchy miecza Illylle. Oczy wlepił bezmyślnie w glaz, przy którym przykucnął.

Ayyar wydobył swój miecz, choć nie miał pojęcia, co może on zdziałać w spotkaniu z pokrytym "ciałem" metalem, z którego zrobiono robota. W chwili gdy ujął rekojesc, z jego palców spłynęły takie same jak u Illylle srebrne rozbłyski. Jakis głęboko ukryty nakaz pchnął go do działania.

Unosił miecz i wycelował jego czubek w głowę fałszywego Ifta; rozbłyski spłynęły na pokrytą zieloną skórą czaszkę i pokryły ją całą. Ayyar poczuł, że jakas wewnętrzna moc ogarnęła go spływając po ostrzu miecza.

Fałszywy Ift wzdrygnął się, unosił na palcach i rznął na twarz z rozrzuconymi bezwładnie kończynami. Leżąc na ziemi od czasu do czasu podrygiwał, lecz nie próbował wstać. Ayyar schował miecz, trochę zaniepokojony nagłym odplywem sił.

W ostatnim spazmie fałszywy Ift podniósł się nieco, ale zaraz ciężko opadł z powrotem. Ayyar ostrożnie opadł na ziemię nieopodal, a gdy tamten się nie poruszał, ostrożnie przysunął się bliżej. Baryłkowata bron wysunęła się z reki Ifta i w chwili, gdy Ayyar miał już zamiar ująć ją w dłoń, gdy dobiegł go rozkaz Illylle:

-Nie ruszaj! - Podeszła powoli, wspierając się jedną ręką o ścianę rowu. Potem dodała: - Nosisz w sobie moc; nie zaprzeczysz temu po tym co się stało! Nie możesz używać cudzej broni!

Przekonało go coś w jej słowach. Podniósł kamień i upuścił go na bron, miażdżąc ją na drobne kawałki. Nie przewidział, że okazała się tak krucha. Spojrzał na nieruchomego Ifta i opuścił na jego głowę większy kawałek skały. Czaszka ze sztucznej substancji pękła. Wewnątrz znajdowały się obwody elektryczne i stopiony metal. Przysiadł na piętach, aby przyjrzeć się uważnie pozostałościom. Było to niewatpliwie dzieło energii, która spłynęła po ostrzu jego miecza! Nie czuł z tego powodu żadnej przykrości.

-Czy jeszcze nie rozumiales? Jesteś naczyniem przenoszącym moc, i nie wolno ci jej roztrwonąć. A więc dokąd ruszamy?

-Dalej tym samym szlakiem, ale ostrożnie.

-Spojrz w górę! Zdaje się, że jeśli tylko nas nie wywieszą, będziemy uprzywilejowani.

Chmury, które przesłaniały słońce, stały się jeszcze ciemniejsze. Nie wiedzieli, czy to Zwierciadło spowodowało ich napływ, ale ta sytuacja była dla nich korzystna.

Wedrowali wyższymi krawędziami rowów, a tam, gdzie nie było osłony przed obserwatorem, czolgali się jak weże.

Jeśli inni fałszywi Iftowie lub ich władca wiedzieli, co stało się z tym wysłanym na poszukiwania, to nie okazali tego.

Ayyar wolał wierzyć, że mogło to być prawda.

Niechętnie wkraczali w doliny; w trzeciej z kolei napotkali pierwszy znak, że jakas wroga Iftom władza rozciąga się nad Pustkowiec. Ocaleli tylko dzięki polmrokowi panującemu pod burzowymi chmurami. Dawno temu, pojmami w niewole maszerowali przez Biały Las, w którym drzewa z kryształu imitowały bujnie rosnącą roślinność - oslepiające odbicie prawdziwego świata. Tu natomiast wznosił się filar z tego samego kryształu, oslepiający oczy Iftów blaskiem odbitego światła słonecznego. Ayyar nachylił się i ostrożnie go okrzył.

Chłód niesiony przez burzę odmienił zapachy; nie był już pewien, czy mogą polegać na swym powonieniu.

Potem rozpetęła się burza, przed jej furia musieli ukryć się szybko, wszystko jedno gdzie. Iftowie mogli stawiać czoła ciemności, ale nie wiatrowi rozszarpującemu na strzępy, nawalniczy bijącego gradu, deszczowi ze śniegiem przeszywającemu do szpiku kości.

Przykucnęli w rozpadlinie, naciągnęli peleryny na głowy, chroniąc oczy przed błyskawicami rozdierającymi niebo. Szalejąca burza zdawała się nie mieć końca, a Ayyar nie potrafił ocenić, czy była ona dziełem tej czy innej niezbadanej mocy.

Illylle poruszyła się i chociaż przysunęła usta tuż do jego ucha, ledwie rozróżnił jej słowa:

-Znikną wszystkie koleiny...

Miała rację - może gdy znów wyruszą, powinni skierować się po prostu na zachód i...

Illylle poruszyła się gwałtownie; jej łokieć stuknął go w bok. Ale Ayyar sam już dojrzał coś w świetle błyskawicy.

Mogłoby przysiąc, że nie było tego przed chwilą, gdy szukali schronienia. Teraz stało na zachodniej ścianie, nieruchome jak kryształowy słup.

Nie człowiek i nie Ift. Miało jednak cztery kończyny i stało wyprostowane na dwu z nich. Pamięć nagle wysłała sygnał - widział lub znalazł to kiedyś dawno temu. Gdzie?!

Kiedy?

Rozdział osmy

To coś stało zwrócone twarzą ku wschodowi, oczywiście jeśli w ogóle miało jakąś twarz. Ayyar poczuł, że jest zmuszony świadomie obudzić pamięć Nailla, aby rozpoznać agenturę Wroga. Mogło to nieść ze sobą pewne niebezpieczeństwo; wyjaśnił Illylle swój plan i jego ewentualne konsekwencje. - Sama przechowuje przecież pamięć Ashli, a nic takiego nawet mi do głowy nie przyszło!

- Pamięć osadnika nie może znać dobrze świata zewnętrznego - zauważył. - Przez lata przebywałem w Glebinie na Korwarze. Było to ciężkie więzienie, ale mieliśmy w zamian kontakt z połową galaktyki. Korwar to planeta dla skazanych bez określenia długości wyroku, bezplanetarnych potępionych żyjących na haldzie odpadów Glebiny. Od czasu do czasu pracowałem za dnia w porcie i napatrzyłem się dziwnych rzeczy. A to-to mi coś przypomina i musimy dowiedzieć się, co. Jeśli jednak obudzenie Nailla wpędzi mnie w pułapkę zastawioną na ludzi, musisz być gotowa, by mi pomóc.

Uśmiechnęła się.

- Doprawdy nie wierzę, aby ktoś, kto był zanurzony w Thanth, mógł czemś ulec. Będzie jednak przygotowana na... na co, Ayyar? Aby przebić cię mieczem?

Wpatrzył się w nią z powagą.

- Jeslibym miał stać się jednym z tych niewolniczo maszerujących, wtedy tak, wolalbym raczej przyjąć śmierć z ręki przyjaciela.

Uśmiech znikł z twarzy Illylle. .

- Nie żartuj, chcesz ze mną przysięść?

- Niekoniecznie. Tylko w razie gdybym miał zamiar oddalić się stąd, musisz zatrzymać mnie za wszelką cenę.

Wlepił wzrok w owo coś. Zdawało się ono nie mieć przezeżenia między głową i ciałem, jeśli można by tak opisać prostopadłościenną pudło z dwoma słupami nóg i parą zwisających po bokach ramion. Z powodu szalejącej burzy nie mógł niczego dojrzeć wyraźnie. Pudło na nogach. Kiedy mu się bacznie przyglądał dostrzegł szereg małych światełek w poprzek piersi. Całość była - był tego pewien - metalowa lub pokryta metalem. A on widział to już dawniej, ale gdzie i kiedy?

Naill Renfro... świadomie zabrał się do przywoływania Nailla. Jakie były najdawniejsze wspomnienia Nailla, pogrzebane tak głęboko, że z wielkim trudem odnajdywał ich fragmenty?

Zmusił się do wyobrażenia sobie statku kosmicznego swego ojca, kabiny i korytarza oraz własnego małego, szczęśliwego pokoju - jedyne go domu, jaki kiedykolwiek posiadał. Kapitan Duan Renfro, Wolny Kupiec, i jego żona Malani, która przywoziła sobie z ciepłej, wesołej planety o płytkich morzach z szeregiem wysp i niekonczącym się, łagodnym lądzie. Odwiedzali jeden świat po drugim, aż pechowo dostali się w sam środek bitwy, która nic ich zresztą nie obchodziła.

Malani i Naill ratowali się ucieczką w kapsule ratunkowej - pojmami i przerzuceni na Korwar, by egzystować na wysypisku w Glebinie, gromadzącym tych, którzy nie mieli dokąd powrócić.

Statek... Naill - Ayyar śmiało powrócił myślą do statku i przejrzał wspomnienia... Bez rezultatu; na światach, które odwiedzili, także nic. Wspomnienia zatary się w przeszłości. Jedyne, co pozostało, to Glebina.

To nie było w zbiorowisku baraków - a więc w mieście lub w porcie... Skupił myśli na porcie. Były tam obszerne ładowiska, na których siadały całe floty różnorodnych statków kupieckich przywozających luksusowe towary z tysiąca światów, liniowce pasażerskie, prywatne jachty władców i bogaczy. Mignęło mu jedno z fragmentarycznych wspomnień i z wysiłkiem przypomniał sobie nieco więcej. Tak!

Ujrzał długi szereg komputerów w samym sercu liniowca, który odbywał kwarantannę z powodu nowej choroby wykrytej na pokładzie. Mimo to przez odblokowane przejście posłano z Głębiny robotników po jakiś bardzo ważny zapieczętowany ładunek. Mijając mostek kapitański zauważył stojącego tam robota do naprawy komputerów wyglądającego zupełnie jak ten tutaj. Więcej go nie zobaczył.

Na co ten robot oczekiwał, co tu robił? Najlepiej byłoby pojsć za nim i nie opóźnić jego powrotu. Ayyar poczuł, że musi koniecznie jak najszybciej dołączyć do pozostałych, gdyż jest im bardzo potrzebny. Coż właściwie jeszcze tu robi, mknąc na deszczu, podczas gdy jest tak bardzo, bardzo potrzebny? Musi natychmiast ruszyć w drogę...

-Ayyar!

Zakaz powstrzymał go od powstania i odejścia. Gniewnie wydierał się z uchwytu - był przecież Nailem Renfro i miał coś do zrobienia, natychmiast!

Patrzcie! Robot odwracał się... odchodził... Jeśli nie podąży za nim będzie zgubiony! Przenigdy nie zdoła połączyć się z resztą, nie stanie się z nimi jednością, tak jak powinien!

-Ayyar!

Desperacko walczył z zakazem. Wtem oslepił go jakiś piekący błysk przed oczami. Znalazł się w kompletnej ciemności, w której nie było ani Nailla, ani niczego...

-Ayyar!

Słabutki głos przyzywał go z oddali. Dlaczego miałby odpowiadać? To wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

-Ayyar!

Wolanie scigało go i zawracało z drogi, raz jeszcze z powrotem na świat. Z ogromną niechęcią otworzył oczy i ujrzał zieloną twarz i zatroskane skosne oczy. Malani? Nie, Illylle!

Powoli i bolesnie umysł dopasował imię do twarzy.

To była Illylle, a on nazywał się Ayyar - Ayyar z Iftów. Ukrywali się między skalami wrogiego Pustkowiec wśród szalejącej burzy...

Walczył, by usiąść prosto, podczas gdy ręce dziewczyny wsparte na jego ramionach przyciskały go do ziemi z niewiarygodną siłą.

-W porządku. Jestem Ayyar...

Musiała widocznie wyczytać prawdę w jego oczach, gdyż uwolniła go. Spojrzał w kierunku, w którym odszedł robot.

Czy ich szpiegował? Jakie usługi wykonywał dla Wroga?

To bowiem, że robot służył Nienazwanemu, nie ulegało dłużej wątpliwości.

-Odeszło w tamtym kierunku. - Illylle wskazała na zachód. - Czy już wiesz, co to jest?

-Niewiele. Widziałem coś takiego zaledwie raz, dawno temu i na innej planecie, w sterowni statku kosmicznego. To jakiś rodzaj robota naprawczego, ale nie znam szczegółów.

-Ale co to robi tutaj?

-Możesz być pewna, że nic dobrego dla nas.

Bedac Nailem miał zamiar użyć robota jako przewodnika. Jako Ayyar musiał uczynić to samo, ale nielatwo było to sobie wyobrazić.

-Chodźmy! - burza nareszcie słabła i poczuł, że nie mogą sobie pozwolić na zgubienie śladów robota.

Wydobyli się ze szczeliny i owineli peleryny wokół ramion i głowy. Rowkami w ziemi płynęły strumienie i rzeki, ale robot, jakby specjalnie zaprogramowany, trzymał się wyższych rejonów.

Calkiem mozliwe, ze wiecej niz jeden statek kosmiczny z zawartoscia dostal sie kiedys we wladanie Nienazwanego.

Znalezli ongi jeden z pierwszych modeli kapsul ratunkowych nalezacych do starszego typu statku kupieckiego, takiego jak ten, ktory nalezal do rodzicow Nailla. A co, jesli znajdowaly sie tu rowniez bardziej zlozone typy kutrow albo liniowiec?

Rozlegl sie oguszajacy trzask i rozblysko oslepiajace swiatlo. Illyle krzyknela i wsparla sie na towarzyszu. Ayyar przetarl oczy walczac z chwilowa slepota, nie mogac ruszyc sie w kompletnej ciemnosci. Przez jego cialo przebiegl znowu goracy dreszcz, taki sam, jaki poczul gdy dotknal go jezor Zwierciadla.

Na wpol oslepiony, Ayyar wspieral dziewczynę, zerkajac jednoczesnie wokol. Jaskrawe swiatlo bijace z tylu nie pozwalalo mu nawet odwrocic sie. Instykt samozachowawczy nakazal ukryc sie miedzy skalami, wiec pokustykal tam, ciagnac ze soba Illyle.

-Co to bylo? Nic nie widze! Jestem slepa! - Jej pewnosc siebie znikla; przywarla calym cialem do niego i dla zapewnienia sobie poczucia bezpieczenstwa kurczowo chwycila go obiema rekami.

-Zapewne to zaraz ustapi - uspokajal ja. - Zamknij oczy, czekaj. Nie wiem co to, ale z tylu cos bardzo mocno swieci. Gdy ruszymy naprzod, bedziemy musieli trzymac sie w ukryciu.

-Nie moge isc, nic nie widzac - odparla Illyle. Jesli odzyskasz wzrok, musisz mnie zostawic, musisz!

-Ja tez niewiele widze - powiedzial Ayyar i nie bylo to calkowitym klamstwem. Ta slabosc lftow mogla przysporzyc im jeszcze wielu zmartwien. - Musimy czekac, majac nadzieje, ze to niebawem minie.

Siedzieli obezwladnieni strachem i czekali, a Illyle caly czas bolesnie sciskala jego ramie. Nie odezwała sie ani slowem po wybuchu, a on nie osmielil sie zapytac, czy wzrok jej powraca. Jego wzrok poprawial sie, chociaz bardzo wolno. Nie mogli powazyc sie na ucieczke po tak nierownym podlozu, obawiajac sie przy tym, ze moga byc zauwazeni przez straz Wroga.

Burza ucichla, ale czy byla jeszcze noc, czy dzien, tego Ayyar nie moglby powiedziec. Jednakze skale, za ktora przycupneli, wciaz oplywalo swiatlo ze wschodu, tworzac jakby wachlarz, przeciety cieniem sciany rowu i skaly. Widzac to Ayyar zrozumial, ze odzyskal wzrok. Zapytal miekko Illyle:

-Co teraz widzisz?

Otworzyła zacisniete dotad powieki i zamrugala. Wbijajac palce w jego cialo, powiedziala: - Troche... niewiele... ale wszystko niewyraźnie. Ayyar, a co jesli...

-Jesli troche widzisz, to znaczy, ze wzrok powraca, - pospieszyl uspokoic ja, majac nadzieje, ze mowi prawde.

-Czy widzisz dosyc aby mozna bylo wyruszyć?

Jesli jej wzrok nie poprawi sie bardziej, to musi znalezc lepsza kryjowke dla nich obojga, i to szybko. Kto wie co moze polowac w okolicy? Pieczara, jakies miejsce w wawozie, gdzie jeden czlowiek z mieczem moglby bronic dostepu - oto czego potrzebowali. Nie osmielil sie jednak wyruszyć na poszukiwanie sam; na razie musza pozostac razem.

-Poprowadz mnie - powiedziala z determinacja, w pelni panujac nad soba. - Ruszajmy.

I tak rozpoczela sie najgorsza czesc ich podrozy, wielokrotnie przerywana, gdyz z kazdego ocienionego miejsca I Ayyar wpatrywal sie w droge przed nimi i planowal drobiazgowo nastepny ruch. Zrezygnowal juz z nadziei sledzenia robota. Posuwali sie zygzakiem i zakosami na zachod.

-Jest jakas poprawa? - zapytal po okolo dziesieciu skokach.

-Niewielka, bardzo niewielka. - Mial nadzieje, ze powiedziala prawde, a nie zeby go tylko pocieszyc... Jak dotad nie znalazl zadnego dogodnego miejsca na schronienie. Okrazyli kamienna sciane i teraz Ayyar ujrzal blyski wprost przed nimi. Nie byly wprawdzie tak jasne jak swiatlo za ich plecami, ale rowniez nie wrozily nic dobrego. Wlozyl gogle z lisci i pomogl Illyle zrobic to samo. Oslabilo to sile swiatla, ale Illyle potykala sie jeszcze czesciej.

-Co to moze byc?

-Tylko jedno: Bialy Las.

Rozblyski byly wysylane przez krysztalowe drzewa odbijajace swiatlo ze wschodu. Bialy Las, jesli nawet nie bronil dostepu do samego serca domeny Nienazwanego, musial lezec w jego poblizu. Czy bylaby w stanie spenetrowac go bez przewodnika? Przeszli go kiedyś jako wiezniowie poruszajacego sie skafandra kosmicznego, odnajdujac z latwoscia kierunek, gdz galezie odstajace zawsze pod katem prostym swym ukladem wskazywaly droge.

-Las... - powiedziala llylle tesknie.

Tak, las - ta oaza zieleni na ziemi Wroga, ktora utrzymywala wzietych do niewoli lftow przy zyciu. Lezala ona jednak na dnie rozpadliny, do ktorej wiodla drabina, a tej nie mogliby teraz pokonac.

-Chodz...

Poprowadzil ja dalej. Swiatlo, teraz bardziej intensywne, robilo dziwne wrazenie. Drzewa, ktore Ayyar pamietal, staly . proste i wysokie, ale to swiatlo rozchodzilo sie tuz nad ziemia. Gdy z trudem podpelzli blizej, ujrzeli bariere nie do przebycia. Niedzysiejsze drzewa lezaly w bezladnych stosach w postaci skorup, drzazg i ostrych odlamkow pokrywajac szczelnie ziemie i grozac rozdarciem na strzepy kazdemu, kto osmielilby sie miedzy nie wkroczyc. Musiala dokonac tego furia Zwierciadla podczas nie kontrolowanej burzy miesiace temu, a Nienazwane nie moglo lub nie chialo naprawic zniszczen.

-Wszystko rozbite...- llylle patrzyla na ziemie przed nimi. - My... tedy nie da sie przejsc!

-Nie.

-Gdy robot odszedl i zgubili jego slad, stracili jedyny trop. Teraz nie pozostalo im nic innego jak tylko podazac wokol granicy rozbitego Lasu, poszukujac jakiegos schronienia. Zachodzace slonce spowoduje powstawanie oslepiajacych refleksow swiatla, ktorzych nie beda mogli zniesc, nawet jesli ich zycie zalezaloby od tego.

Na polnoc czy na poludnie? Na polnocy lezalo Zwierciadlo i droga, ktora przybyli. Obszarow na poludniu nie znali i nie mieli pojecia, czy nie sa obserwowani. Ayyar zwrocil sie w tym kierunku wiodac llylle, szukajac sladu schronienia. Nie mogli ciagle zywic nadziei na chmury i burze.

-Ayyar! - Dziewczyna zaczela weszyc z uniesiona glowa.

Zapach przepelniajacy powietrze nie byl odorem falszywych lftow ani zadnego innego tworzywa wyprodukowanego przez Nienazwanego. Chlodny i czysty, mowil o zieleni, o rozwijajacym sie zyciu. Tu, na tej pustyni?

-Tedy! - zwrocila glowe na lewo. - Szybko, szybko!

Ayyar przytrzymal ja za ramiona, gdz przed nimi znajdowaly sie mordercze odlamki krysztalu. Nie byl pewien, czy potrafilby wybrac wolna droge, nie wiedzac jak daleko musza isc i co znajduje sie dalej.

-To niebezpieczna droga... - zaczal.

-Nieprawda! - odparla stanowczo. - Musimy tylko znalezc przejście...

Wybor wymagal od Ayyara takiej ogromnej koncentracji, ze tylko wielkim wysilkiem udalo mu sie tego dokonac.

llylle postepowala za nim, poslusznie stawiajac stopy tam gdzie kazal. Raz po raz musial w najwyzszym skupieniu odkladac nierowne, ostre kawaly, zbyt duze, aby je obejsc.

Towarzyszyla im ozywca won wolnej ziemi i rosnacych zywych organizmow.

-Rosnacych? - Zdziwila sie czesc jego umyslu. Przeciez trwala zima; nie nalezalo spodziewac sie tu czy gdziekolwiek indziej zieleni. Moze to kolejna pulapka Nienazwanego, z przyneta, ktorej nie oprze sie zaden lft, ktory wlasnie przebyl Pustkowice? Nie, jedyna rzecz, ktorej Nienazwane nie stwarzalo wlasna wola byla imitacja prawdziwego zycia na tyle dobra, aby wprowadzic w pole mieszkancow Lasu.

Czy byla to blyskawica, czy mocniejsze swiatlo ze wschodu? Tak czy inaczej krysztal przed nimi zaplonal jaskrawo.

llylle uczepila sie go ze wszystkich sil, a chociaz nie wydala z siebie glosu, Ayyar i tak wiedzial, ze cierpi. Jak dlugo jeszcze to potrwa?

Odlamki pod stopami znikly, staneli niespodziewanie na twardym podlozu. Droga?! Ayyara korcilo, by skrecic w nia, jednakze zapach lasu kusil ich nieodparcie. Popatrzyli w obie strony - pusto. Jak dlugo...

Illylle pociagnęła go:

-Ruszajmy!

Przemknęli przez otwartą przestrzeń, a Ayyar zagroził drogę za nimi kawałami kryształu. Bielce polują, używając węchu, ale inni patrolujący okolice wartownicy mogli kierować się wzrokiem. Szczęśliwie po tej stronie Las był mniej zrujnowany.

Teren obniżał się, tworząc kotline, spojrzeli w dół szukając zieleni. Uchwyt Illylle osłabł, na koniec puściła jego ramię.

-Powiedz prawdę - szepnęła - proszę, powiedz mi prawdę... czy są tam drzewa?

Nie były to olbrzymy, jakie rosły w ich Lesie, w rzeczy samej nie dorównywały tamtym nawet w polowie. Niemniej jednak były to najprawdziwsze drzewa, i to pokryte liśćmi w zimie. Zagadką pozostawało, jakim cudem rosły pośrodku wrogiego terytorium.

Illylle odwróciła głowę i choć gogle osłaniały jej oczy i większa część twarzy, usta jej uśmiechały się pierwszy raz od wielu dni.

-Nie rozumiesz? Nienazwane, aby coś wyhodować musi skądś zaczerpnąć sily wzrostu. Nawet jeśli to, co wyrosnie, jest nienaturalne, to zawsze na początku musiało być ziarno.

Właśnie to miejsce jest nasieniem, z którego Wrog wyhodował Biały Las; energia, która go karmiła z początku stąd pochodziła. Gniew Thanth zniszczył sztuczny twór, jakim był Biały Las, lecz prawdziwe ziarno nadal rosło. Raz używszy go, Nienazwane nie potrafiło go zniszczyć.

Ayyar nie wiedział ani skąd zaczerpnęła te wiadomości, ani czy były one prawdziwe, choć wiedział, że w nie wierzyła. Pragnęli jednak oazy zieleni w samym sercu śmiercionośnej pustyni jak spragniony wędrowiec na pustyni lądnie wody. Zeszli na dół, z niecierpliwością ledwo hamowana resztkami ostrożności, i raptownie zostali pochłonięci przez cienie konarów i liści. Illylle opadła na plecy, z szeroko rozpostartymi ramionami. Palce zanurzyła w żyznej glebie, jakby stały się odżywiający ją korzonkami.

Jesc...? Pic...? Ayyar oparł się plecami o pień drzewa i jedyne co do niego docierało to kojąca szorstkość kory i twardość pnia. Wystarczył krótki kontakt z wonią, dźwiękami i dotknięciem drewna, aby odnowić jego sily i odbudować zaufanie.

-Jency i maszyny - pomyślał na głos - na pewno podążyli tą drogą. Z pewnością zaden lft, z wyjątkiem imitacji, nie zdołałby...

-Ach... - westchnęła Illylle. - Tutaj tak ciężko się myśli. Musisz poddać się uczuciom, po prostu być...

Ayyar nie uległ jednak pokusie; pamiętał o spuszczynie, którą odziedziczył. Świadomość faktu, iż był kiedyś Kapitanem Pierwszego Kregu, wojownikiem, walczącym desperacko w przegranej wojnie, nie pozwalała mu zapomnieć o zadaniu do wykonania. Tak łatwo przyszłoby poddać się uzdrawiającemu działaniu lasu i stać się straconym dla misji. Ayyar wahał się, jego myśli błądziły pozornie bez celu. Ale to właśnie było bezpieczne miejsce, w którym mógł zostawić Illylle! Nie wiedział, w jakim stopniu odzyskała wzrok, lecz podejrzewał, iż nadszedł czas, by zacząć działać w pojedynkę, bez ponoszenia odpowiedzialności za innych. Gdyby miał udać się na zwiad wzdłuż drogi, to musiałby zrobić to sam, spokojny o jej bezpieczeństwo.

Jak jej to powiedzieć? Poruszyła się, zamierzając powstać. Jej twarz okrył cień i opuścił ją wyraz zadowolenia.

-Jak widzisz?

Usiadła wyprostowana; ręce wolno, z wyraźną niechęcią sięgnęły po gogle. Zdjęła je i obróciła głowę w prawo i w lewo, przygryzając dolną wargę jak dziecko.

-Widzę niewyraźnie, wciąż bardzo niewyraźnie.

-Może więc zostaniesz na razie tutaj...

-Oboje zostaliśmy wybrani...

-Nie mówie - poszedł na kompromis - że nie pojedziemy razem do celu. Najpierw jednak muszę rozpoznać drogę przed nami.

-W ciągu dnia? Nawet moje biedne oczy nie mogą nie zauważyć tego - wskazała na promień słoneczny, który wślizgnął się do ich zielonego gniazda. - Pośród roztrzaskanego Lasu wzmacniającego blask stukrotnie?

-Możesz być spokojna, że nie zrobię nic bez głębszego namysłu. Mam zamiar tylko obserwować drogę i zbadać, czy ktokolwiek podróżuje nią za dnia. Jeśli światło słoneczne okaże się zbyt męczące, wróce.

Włożył gogle, wspiął się z powrotem na skarpe - ze świeżej zieleni wprost w oslepiający blask Pustkowie. Słońce stało wysoko nad horyzontem, ale jeszcze nie piekło zbyt dotkliwie. Człogal się, zwyczajając na każdy swój ruch, aby nie rozciąć sobie ręki lub nogi na ostrzach odłamków.

Od strony drogi dobiegł go jakiś zgrzytliwy odgłos, wcisnął się więc pośpiesznie w ciasny przeswit między dwoma stosami kryształu. Zdażył w ostatniej chwili. Nic nie byłoby w stanie go zdziwić; nie zdziwił go także nadchodzący stary znajomy. Skafander kosmiczny z zaparowaną szybką hełmu, nie pozwalającą zobaczyć co (i czy w ogóle coś) jest w środku, stając flegmatycznie podążał na wschód.

Ayyar zamarł w bezruchu. Ongis to coś lub jego bliźniak napotkało jego i Illylle i wzięło ich do niewoli. Czyżby nadchodziło ponownie w tym samym celu? Zrezygnowany czekał na to, że skafander zawróci z drogi i ciężko stając się bliżej. Był tak pewien tego, że aż zamrugał z niedowierzaniem, gdy kombinezon nie zatrzymując się podążył dalej traktem.

Wtem, ku jego zdziwieniu, zjawiała się druga podobna postać. Kombinezon kosmiczny? Tak mu się wydawało, ale jego proporcje wskazywały, że nie był przeznaczony dla humanoida. Niski, przysadzisty, o wiele za szeroki w ramionach. Był wyposażony w cztery kończyny dolne, ale za to nie posiadał ramion, jeśli nie liczyć rury owinionej wokół korpusu. Hełm był kiedyś z pewnością całkowicie przezroczysty, lecz teraz mgielka nie pozwalała dojrzec, co jest w środku.

Podążył za swym poprzednikiem na wschód tym samym równomiernym krokiem.

Chociaż Ayyar leżał spokojnie w ukryciu, a kryształy ostrzegały go o niebezpieczeństwie pojawiającym się na otwartej przestrzeni, nie zauważył ani śladu ludzi z portu, osadników czy fałszywych lftów. Doliczył się za to jeszcze czterech wędrujących skafandrow; dwa starego typu pochodziły z ludzkich statków, jeden był tego samego czteronogiego rodzaju co uprzednio. Ostatni poruszał się na gasienicach jak maszyna. Umieszczony na nim owalny korpus wskazywał na zaawansowaną technikę. Wokół niego rozmieszczono małe otwory, jakby przyłącza, wszystkie jednak teraz zamknięte. Dwie anteny na szczycie korpusu mogły kiedyś być elastyczne i ruchome, teraz jednak zwiślały zwiotczone, i raz po raz objęły się o zewnętrzną jajowatą powłokę.

Wszyscy członkowie tego dziwacznej towarzystwa ciągnęli dwojkami na wschód, z odstępem czasu między każdą parą. Ayyar podejrzewał, iż byli oni na patrolu, ale nie wiedział, czy mogła to być jakaś regularna formacja.

Wrócił do odświeżającej zieleni schronienia i podzielił się obserwacjami z Illylle. Słuchała go z zainteresowaniem.

-Widziałeś kiedykolwiek przedtem skafandry kosmiczne podobne do tych?

Ayyar rozesmiał się.

-Nawet gdy byłem Nailem Renfro nie wiedziałem wszystkiego o kosmosie. Ludzkie kombinezony były bardzo starego typu, być może te obce również.

-No, a ci w środku?

Ayyar zawahał się.

-Jakos nie mogę uwierzyć, że zawierają one życie, nie w postaci, w której je znamy.

-I ja tak sądziłam. Posłuchaj. - Przykryła jego dłoń spoczywającą na ziemi swoją ręką. - Gdy byłam tutaj sama, nadeszła wiadomość. Nie w postaci słów lub chociażby wyraźnie sformułowanych myśli. To miejsce jest osrodkiem mocy, a my niesiemy owoce tej mocy w sobie. Wierze teraz, że jeśli otworzymy nasze umysły, możemy dowiedzieć się więcej o tym, co pragnęło dotrzeć do mnie...

-O Nienazwanym?!

Poderwał się czujnie na wspomnienie tego co się stało, gdy tylko Naill otworzył się na sugestie.

Potrząsnęła głową energicznie:

-Nie Nienazwane! Nie tutaj! Jesteśmy posłani jako narzędzia i być może to, co w nas wstąpiło, próbuje teraz otworzyć pamięć Illylle i pamięć Ayyara, tak ogromnie nam potrzebne w tej chwili.

Wahał się niepewny, ale przekonał go jej entuzjazm i wreszcie zgodził się spróbować.

Rozdział dziewiąty

Leżeli nie na wypalanej słońcem Pustkowie ziemi, lecz na czarnej, bogatej glebie, gotowej pod zasiew. Tak jak uprzednio Illylle, zanurzyli w niej głęboko palce jak korzenie, starając się wtopić w otoczenie. Ayyar wciąż obawiał się otworzyć swój umysł; byłoby to jak otwarcie drzwi na oścież, wystawienie się na atak Nienazwanego. W tym zielonym zakątku trudno było to sobie w ogóle wyobrazić. Żadna z młodych roślinek tu rosnących nie pochodziła z Wielkich Koron. Jeśli Illylle miała rację i Nienazwane zaczerpnęło moc służącą mu do wyhodowania Białego Lasu właśnie stąd, to przecież żadne z ziaren nie wykiełkowałyby tu. Z drugiej jednak strony, nasiona wykiełkowały w miejscu ich dawnego uwięzienia, które również pozostawało pod wpływem Nienazwanego.

Iftsig, Iftcan, rodzinny Las... myśl jego wciąż powracała do tamtej zieleni. Wiosna, wzbierające soki żywotne i przebudzenie Iftów. Lato ze swymi długimi, pięknymi nocami, spędzonymi na polowaniach. Życie pełnia życia. Jesień i ostatnia, obietnica Wielkich Koron, zbliżająca się pora snu. Zima, która, ciała spędzały bezpiecznie we wnętrzu którejs z Wielkich Koron, podczas gdy umysły przemierzały krainy marzeń.

Dokąd właściwie prowadziły ich tamte sny? Wspomnienia blade jak cień, zmaczone obrazy. Zima... zimowe sny, można wówczas dowiedzieć się... dużo...

O czym...?

Jedno z owych niewyraźnych wspomnień nagle stało mu przed oczami jak żywe. Oglądając je jak film, uczeplił się go ze wszystkich sił. Tak... tak... ale czy zdołają tego dokonać? Nie był przecież Mistrzem Zwierciadła; do jakiej mocy mogłby się odwołać?

Jego ciało dało odpór owym wątpliwościom - nagle poczuł wzbierająca falę ciepła, gdy coś wewnątrz niego zażądało dla siebie wolności i czynu. Przywrocony chwili obecnej Ayyar otworzył oczy i ujrzał zielony dach konarów nad głową. Wewnętrzna potrzeba wciąż przynagliła go do działania. Poruszona Illylle wpatrywała się w jego twarz.

-A więc teraz już wiemy - powiedziała miękko teraz wiemy...

-W któryms z kombinezonów... - zdawał się wazyć różne możliwości.

Zmarszczyła brwi:

-One są obce. Czy naprawdę mogą nam się przydać?

-A mamy lepsze rozwiązanie? Myślę, że nie ma innej możliwości...

-To ty musisz pojsć.

Zaakceptował to chętnie Ayyar wojownik, nie Illylle kapłanka. Zgromadził tak wielką energię, że mogłby porazić Illylle gdy spróbuje jej użyć. Jednakże część Illylle podąży wraz z nim, w nim, gdyż Thanh jednocześnie obdarzyło ich oboje. Tak więc rzuci wyzwanie Nienazwanemu uzbrojony w podwójny dar.

Nie był jeszcze pewien, jak tego dokonać. Rozumiał jasno jedynie swoje zadanie przekazane z dziwnego snu z przeszłości, lecz nie był pewien znaczenia części, która dotyczyła humanoidalnego kombinezonu kosmicznego.

Jak pochwycić jenca? Wprowadzić fałszywi Iftowie gineli od energii wysyłanej przy dotknięciu mieczem, czy można jednak w ten sam sposób potraktować skafander? Czy osmieliłby się zmarnować tyle energii?

Odwrocił się do Illylle.

-Czy jeśli będę zmuszony do użycia mocy, aby go pojmować, stanę się słabszy? - zapytał.

-Na pewno czas, tak. Tak jak wtedy, gdy niesliśmy fałszywego Ifta. Potem moc znowu napłynie. Myślę, że nie wysłano nas bez takiej asekuracji.

-A co z tobą?

-Gdy nadejdzie czas, przekaze ci wszystko, co otrzymalam od Thanh, i zasne. Musimy wiec znalezc legowisko, w ktorym bede bezpiecznie oczekiwac na twoj powrot.

Powiedziala te slowa z tak niezachwiana ufnościa, że aż się zdziwił. Nie osmielił się wyrazić głośno wątpliwości co do możliwości swego powrotu, nawet w razie zwycięstwa.

-Nie ma czasu do stracenia - mowila dalej. - Jesli skafander nie zjawi sie, musimy znalezc jakis inny sposob...

Zwiad wzdłuż drogi oznaczal ponowne wyjście na słońce, wprost w oslepiające światło, ale nie było wyboru. Miał tylko nadzieję, że gogle wystarczająco ochronią jego oczy, gdy nadejdzie czas działania. Jak powalić wędrujący kombinezon? Kawalem kryształu? Nie, nawet jeśli da radę zważyć go z nog, to w pełnym słońcu nie mógł być pewien, co widzi. A gdyby w środku coś było? I co by to mogło być?

Liczył, że w ostatniej chwili łatwiej zdecyduje się na metode działania. Illylle bez słowa odprowadziła go wzrokiem, gdy wspinając się opuszczał oazę zieleni, by wyjść na rozpaloną pustynię Pustkowiec. Odwrócił głowę, by spojrzeć na miejsce, w którym leżał przed chwilą, i zamknął oczy. Nasłuchiwał pilnie, gdyż kombinezony, które wypatrzył uprzednio, było słychać na długo zanim się ukazały.

Zar słoneczny dosłownie wciskał go w ziemię - zdawało mu się, że tego nie wytrzyma i umrze, jeśli natychmiast nie cofnie się do schronienia wśród zieleni. Walcząc ze słabością własnego ciała nie przestawał jednak nasłuchiwać, nekany myślą, że cały jego wysiłek zda się na nic, gdyż i tak poniesie porażkę.

Słuch nie zawiodł go; w końcu usłyszał zbliżający się chrzęst. Ocinając oczy spojrzal na wschód. Nadjeżdżał jeden z robotów na gasienicach, a w pewnej odległości za nim pojawiał się następny, człekokształtny.

Czekaj - jeśli wracają w tej samej kolejności, to należy zaatakować ostatniego, czyli poprzednio prowadzącego. Jego zniknięcie nie zaalarmowałoby reszty oddziału.

Trzeci zbliżał się na czterech nogach, potem humanoidalny, i znow czteronogi - Ayyar czekał w gotowości z wyciągniętym mieczem. Jeden za drugim przejeżdżały lub przechodziły koło niego. Teraz! Ten będzie ostatni.

Przykucnął zbierając się do skoku; skafander go właśnie mijał... teraz.

Jednym susem dopadł pobrużdżonej drogi. Wziął zamach i czubkiem miecza dotknął helmu kombinezonu kosmicznego, który wśród sypiacych się iskier zatrzymał się raptownie, podczas gdy jego nie wzruszeni towarzysze maszerowali lub toczyli się dalej.

Ift czekał na jakikolwiek znak z ich strony, świadczący, że zauważyli stratę swego towarzysza. Nic takiego nie nastąpiło. Gdy tylko pozostali znikli za obniżeniem terenu, Ayyar

schował miecz i schwycił jenca za ramie. Pod jego dotknięciem kombinezon runął na ziemię, a Ift zaskoczony czujnie odskoczył. Widząc, że leży bez ruchu wrócił i powłokł nieruchomy obiekt do ich zielonej kryjówki.

Dotyk metalu wywołał w nim fale mdłości i wątpliwości, czy będzie w stanie zrobić to, co zamierzał; nie widział jednak innego wyjścia. Sflaczały skafander wypadł mu z rąk i potoczył się w dół zbocza, podskakując i łamiąc po drodze galezie. Był tak lekki, że nie musiał być wewnątrz pusty.

Ayyar podszedł i rozłożył go płasko na ziemi. Był to model bardzo stary, wręcz archaiczny, o wiele prymitywniejszy od używanych na statku należącym do Renfro, lecz w ogólnych zarysach podobny, tak że nie miał żadnych kłopotów z odpięciem zacisków.

Zamglony helm odpadł, a z pustki wewnątrz wydobył się mały obłoczek pary. Ayyar zakrztusił się i rozkaszał; upuścił helm na ziemię. Wyziewy wydzielaly ostry, metaliczny, gryzący zapach, który aż wiercił w nosie.

Stało się oczywiste, że skafander nie okrywał żadnego żywego ani martwego organizmu. Na ten widok Ayyar odetchnął z ulgą, a czająca się od dawna zmora nareszcie opuściła ciemne zakamarki jego umysłu.

Odłożył helm na bok i rozpiął resztę okrycia. W części przeznaczonyj na klatkę piersiową znajdowały się kable i małe pudełko. Ayyarowi przyszło na myśl niemiłe skojarzenie skafandra wyposażonego w mechaniczne serce z robotem. Pudełko było poczerniałe i jakby nadpalone, a z jego wnętrza wydobywały się smutki dymu. Nie chcąc dotykać czegokolwiek rękami, Ayyar unosił i oderwał kable za pomocą ułamanych galezi, a następnie schwycił nimi pudełko i wyrzucił poza teren doliny.

Reszta skafandra była pusta. Illylle zerwała całe narecza liści z krzaków i młodych drzewek, po czym wybrała niektóre, podeszła do kombinezonu i podała je Ayyarowi.

- Rozetrzyj je na wewnętrznej stronie ubioru - zaproponowała. - Oczyszcza go i może ułatwia ci przebywanie w nim.

Wybrane przez nią liście były aromatyczne, więc posłuchał jej chętnie. Upewnił się, że całe wnętrze zostało natarte.

Na stronie wewnętrznej pozostało mnóstwo zielonych plam, ale gdy skończył, nie czuł już obcego, pozaplanetarnego odoru.

Przypuszczał, że kombinezon będzie na niego pasował, chociaż był znacznie szczuplejszy niż dawny jego właściciel. Problemem mogło okazać się chodzenie w tak ciężkim ubiorze; zapewne będzie poruszał się powoli i niezgrabnie. Mogł tylko mieć nadzieję, że nie zdradzi go to przed tymi, którzy wysłali ten bezzalogowy patrol.

Przednia szybka helmu była zamglona i nie pozwalała nic dojrzec. Podniósł go i pocierając łosciami oczyścił dość miejsca, by coś nieco zobaczyć. Wprowadził pole widzenia i tak będzie mocno ograniczone, ale miał nadzieję, że będzie widział nie gorzej niż w południe w goglach.

Nie śmiał dłużej zwlekać. Zwrócił się do Illylle.

-Gotowe.

-Zanim go włożysz, chodź ze mną.

Zaprowadziła go przez las do przeciwległego końca wąskiej doliny.

-Popatrz tam - wskazała.

Była tam pusta wnęką w ścianie, a w zasięgu ręki stos kamieni, świeżo zgromadzonych, sadzając z otartego mchu i śladów ziemi.

-Gdy będziemy gotowi do działania, zamaskuj dostęp do mnie kamieniami, tak abym mogła spać niepokojona, aż do czasu gdy po mnie przyjdiesz.

-A jeśli nie wróce...? - Nadszedł czas na wypowiedzenie tego pytania.

-Nigdy nie myśleliśmy, że zadanie na nas nałożone będzie łatwe lub przyjemne. Robimy to co niezbędne, aby ziarno przetrwało, i służymy temu, co przywróciło nas do życia po upływie stuleci. Czyż nie tak?

Skinal głową, gdyż była to prawda.

-Masz rację.

-A więc - wzięła głęboki oddech - podaj mi ręce i czekaj.

Illylle stanęła plecami do ściany doliny trzymając jego ręce w swoich i cichutko, prawie mrucząc, zaśpiewała. Słowa nie były skierowane do niego i wyrażały poddanie, odejście, rezygnację z mocy i wolnej woli.

-Wokół jej głowy, ramion, tułowia ukazały się srebrne strumyczki spływające do Ayyara za pośrednictwem jej rąk; przekazała mu w ten sposób swój dar od Thanth. Mrowienie, które odczuwał zrazu w rękach, rozprzestrzeniło się na całe ciało. Trwali tak, dopóki ostatni strumyczek nie odpłynął z Illylle. Zamknęła oczy i z poblądła twarzą osunęła się bezsilnie w objęcia Ayyara.

Zdawała się prawie nic nie wazyć, tak krucha i delikatna spoczywała w jego ramionach. Łagodnie ułożył ją w niszy, otulając obu pelerynami. Sprawnie zbudował ścianę z kamienia, zacierając przed nieprzyjaznym wzrokiem wszelkie ślady swej pracy.

Skonczywszy powrócił do kombinezonu i zaczął się w niego odziewać. Illylle miała rację; po przetarciu listwami można było w nim wytrzymać, chociaż, nadal zapiecie helmu wymagało od niego nie lada determinacji.

Dla Ifta, przywykłego do luznego i nie krepującego ruchów w czasie polowań ubioru, była to bardzo ciężka próba.

Podniósł z ziemi miecz i zdołał jakos przymocować jego pochwę do pasa. Miał nadzieję, że bron może być uznana za trofeum i nie wzbudzi podejrzeń. Wygramolił się niezgrabnie z doliny i wkroczył na drogę. Pozostał daleko za resztą patrolu, ale na to nie mógł nic poradzić.

Było mu teraz znacznie łatwiej poruszać się i na szczęście widział dostatecznie dobrze, aby unikać nierówności szlaku.

Droga opadła cała seria obniżen terenu, tworząc jakby olbrzymie schody. Po obu jej stronach zalegały sterty skorup Białego Lasu. Ayyar wypatrywał wielkiej przepaści, która była kresem ich dawniejszej wędrowki. Lecz szlak, którym podążał, skręcał na południe i wiodł dalej nad krawędzią rozpadliny. Opary klebiące się poniżej skrywały przed jego oczami przedziwne kryształowe ściany, na których onegdaj szukali z Illylle drogi ucieczki. Nie wiadomo, co też mogło leżeć w owej głębinie.

Teraz droga znowu opadła, biegnąc po łagodnym stoku w głąb, podczas gdy ściana po lewej rosła coraz wyżej, pietrząc się nad nimi jak wieża. Po obu stronach szlaku widniały obszary tego samego kryształu, z którego utworzone były drzewa Białego Lasu.

Na tle jednego z nich widniało coś ciemnego. Ayyar podszedł bliżej i stwierdził, że spoczywa tam osadnik z rozczochraną brodą i w strzępach odzieży. Leżał skulony, z odrzuconą w tył głową i Ayyar domyslił się, że nie żyje. Zatrzymał się przy owym milczącym świadku i spojrzał na drogę przed sobą. Znajdował się w rozległej dolinie. Od jej czerwonożółtego piaszczystego podłoża odcinały się matowoczarne kopce o nienaturalnych, geometrycznych kształtach. Część z nich widział całkiem dokładnie z miejsca, w którym się znajdował. Z pewnością musiały być bardzo wyraźne dla obserwatora umieszczonego wysoko na niebie.

Trudno było sobie wyobrazić ogrom pracy włożony w ich usypanie.

Między haldami snuły się bez żadnego celu niewyraźne sylwetki; być może osadnicy lub ludzie z portu, a może inne skafandry ożywione wola Nienazwanego. Maszyny zachowywały się podobnie. Ujrzał karczownik dudniący wzdłuż podnoża haldy, skarlały przy jej ogromie.

Nie miał pojęcia, czym było to miejsce i do czego było przeznaczone. Z pewnością bezpiecznie chroniło sługi Nienazwanego w czasie, gdy nie byli mu potrzebni. Bardzo prawdopodobne, że jako jeden wśród tak wielu miał szansę, by nie zostać odkrytym. Musiał jednak odnaleźć drogę do schronienia Nienazwanego, gdziekolwiek się ono znajdowało, lecz nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Dokona tego, nawet jeśli wymagałoby to

przeszukania całego Pustkowie! Zdecydował się zejść w dół ku haldom.

Stapając ostrożnie, zastanawiał się, jak to możliwe, by żaden z wczesnych odkrywców Janusa nie napomknął o czymś tak doskonale widocznym z wysokości? Dlaczego nie widniało to na żadnym ze zdjęć dokonanych przed wpuszczeniem osadników na planetę? Takie ślady miejscowej inteligencji nie pozwoliłyby na wystawienie planety na pierwszej aukcji, na której Konsorcjum uzyskało swe prawa przed prawie stu laty. Drzewa będące pozostałością Iftcanu mogły pozostać, tak jak to się w rzeczy samej stało, niewidoczne dla odkrywców, ale to, co znajdowało się tutaj - na pewno nie!

Im bliżej Ayyar podchodził do hald, tym bardziej go zadziwiała. O ile mógł to ocenić, nie były one budynkami, ale masywnymi kopcami ziemi. Może to miejsce pochowku jakiegoś dawno zaginionej rasy? Pamięć Iftów odnotowała, poza własnym rodzajem, istnienie jedynie Nienazwanego i Larshow. A na dodatek ci ostatni byli istotami pierwotnymi, które dopiero wyodrębniły się spośród zwierząt w ostatnich dniach istnienia Iftcanu. Możliwe jednak, że tysiąc lub nieco więcej lat istnienia pozwoliło im na rozwinięcie cywilizacji pod dominacją Nienazwanego, a owe monumenty wzniesiono ku pamięci przodków lub w holdzie potędy, która miała ich poprowadzić przeciw Lasowi.

Wokół butów narastała coraz grubsza warstwa piasku, gdyż był teraz zmuszony posuwać się ciężko szurając nogami. Przystanął na krótko, gdy minął go człowiek w uniformie służby bezpieczeństwa portu. Oczy w zapadłej twarzy miał martwo i bezmyślnie utkwione w jakimś nieokreślonym punkcie przed sobą. Jak mechaniczna zabawka, nakrecona, a potem pozostawiona samej sobie, ślizgał się po piasku, nieustannie zmieniając kierunek marszu, jakby miał zamiar tak chodzić dopóki śmierć nie uwolni go od tego obowiązku.

Wszyscy, których Ayyar mógł wyraźniej dojrzeć w pobliżu, zachowywali się podobnie. To skrecali, to zawracali z drogi, dreptali bez celu to tu, to tam, byle tylko utrzymać się na nogach i nie ustawać w ruchu. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu chodzących skafandrow, ale nie było ich w zasięgu wzroku. Nie dostrzegł również żadnych śladów na piasku, za którymi mogłby podążać. Pomyslał sobie, że jeśliby okrażył dolinę tuż przy jej ścianach, to nie wchodziłby w drogę nieustrudzonym wędrowcom.

Ściany wokół wznosiły się pionowo, a z ich powierzchni wystawały kryształy, tworząc nieregularne formy. Dwukrotnie w ciągu okazywania ścian Ayyar natknął się na ciała leżące z rozrzuconymi bezwładnie rękami, jakby po prostu bez uprzedzenia osunęły się na ziemię. Obaj mężczyźni byli osadnikami, nie pracownikami portu. Dookoła wciąż snuli się inni, a maszyny nadal toczyły się i pelzały bez celu.

Ayyar z trudem posuwał się naprzód; kombinezon ciążył mu coraz bardziej, a każdy następny krok wymagał coraz większego wysiłku. Obawiał się jednak zatrzymać, by nie zwrócić uwagi jakiegoś obserwatora swym bezruchem na tle innych. W końcu zmęczenie zmusiło go, by oparł się plecami o ścianę i odpoczął, obserwując jednocześnie dolinę.

Słońce wyznaczało popołudnie, a Ayyar teskniał do nastania nocy. Nie zauważył tu ani jednego fałszywego Ifta.

Może i oni, i skafandry mieli dla siebie jakieś specjalne, osobne miejsce. Nie poddając się, ruszył ponownie.

Na szczycie mijanego właśnie kopca zauważył coś dziwnego. Z wysiłkiem unosił głowę próbując dojrzec cokolwiek.

Stał tam nieruchomy i cichy fliter; zapewne odpoczywał.

Zmiana nastąpiła zniemacka - gdyby nie to, że właśnie odpoczywał, niczego by nie zauważył. O krok od niego osadnik zachwiał się niepewnie. Zatrzymał się raptownie z jedną stopą wciąż uniesioną. Przez moment trwał tak nieporuszony, aż runął na ziemię. I nie on jeden; wszyscy momentalnie padli tam, gdzie stali. Ayyar był jedynym stojącym na otwartej przestrzeni, na której ruch zamarł w jednej chwili.

Wyczuwał coś... Czyjaś penetrująca myśl? Poszukiwanie jego? Lub czegośkolwiek obcego w dolinie? Niepokój skłonił go do ukrycia głęboko wszelkich myśli, wymazania Ayyara najlepiej jak było można. Być może ocaliła go moc Zwierciadła, która nań spłynęła tamtego dnia. Był świadom obecności czegoś krazącego dookoła, zupełnie jakby jakaś wielka reka o zakrzywionych szponach gotowych go schwytać znajdowała się wysoko nad jego głową.

Czas mijał; cienie kopców rosły i ciemniały, polykając nieruchome ciała leżących na piasku ludzi. Obca myśl wciąż szukała, penetrowała... Ayyar nie osmielił się nawet mieć nadziei, że mógłby uciec temu poszukiwaniu.

Nagle zniknęła - równie raptownie, jak się pojawiła.

Jednak nikt z leżących nie podniósł się ani nie poruszył; dolina była jak wymarła. Czy osmielił się poruszyć? Czy ruch nie zdradzi go? Nie mógł spojrzeć w innym kierunku bez obrocenia całego ciała. Czy musi udawać posąg przez dalsze długie godziny? W nocy, oczywiście w nocy gdy ciemność otuli go jak peleryna - wtedy zdobędzie się na odwagę i odejdzie!

Nie musiał czekać aż tak długo. Spomiędzy dwu kopców wyłoniła się para kombinezonów, jeden człekokształtny, a drugi czteronogi. Przystawały to tu, to tam przy leżących nieruchomo postaciach, i, o ile mógł dojrzec, nie robiły nic, tylko tak stały. Na koniec ten o ludzkich kształtach podniósł jednego z bezwolnych ludzi i potrzymał w pionie, dopóki nie został on uchwycony linopodobną kończyną drugiego. Pomaszcerowali razem w kierunku końca doliny, podtrzymując ciało między sobą. Ayyar zaryzykował i ruszył w ślad za nimi.

Mezycyzna przez nich ciągnięty nosił uniform z oficerskimi insygniami na kołnierzu. Być może Nienazwane sciągnęło tu cały personel portu. Skafandry skreśliły w lewo i wtedy przesłonił je jeden z mniejszych kopców. Ayyar pospieszył wzdłuż ściany, chcąc je dogonić przy końcu haldy, gdy jednak tam dotarł nie ujrzał nikogo!

Czekał, lecz nie pojawili się, oderwał się więc od ściany i poszedł przez piasek ku tamtemu kopcowi. Idąc wzdłuż jego krawędzi planował podążać w ślad za tamtymi gdy tylko ich ujrzy. Wyjrzał zza narożnika - nikogo, wrócił, się do tyłu - to samo. Zadrzał z obawy, iż mogli obrócić inny kierunek marszu.

Nie było tu nic, zupełnie nic! Jakby skafandry i ich więzienia były całkowitą iluzją. Ayyar ruszył wzdłuż ściany po lewej na spotkanie śladów. Nie dając znaków życia leżało tu kilku osadników i dwaj ludzie z portu. Zdawało mu się, że w pewnym oddaleniu widzi wyryte w piachu ślady pochodzące od stop na polu wleczonego, na polu niesionego człowieka.

Ślady urywały się pośrodku krawędzi kopca; albo ulecieli stąd albo zapadli się pod ziemię. Z braku lepszego pomysłu wyciągnął ramię w sztywnym rękawie i dłoń w rękawicy uderzył z całej siły w ścianę kopca. Wyrwana gruda odpadła, kontrastując z jasniejszym kolorem piasku. Teraz dojrzał inne takie grudki przy końcu śladów.

Czyżby wspieł się na górę? Odwrócił się twarzą do ściany kopca i posuwał wzdłuż niej z wysiłkiem, mrużąc oczy by dojrzec cokolwiek przez zabrudzoną szybkę. Dopiero przy bardziej uważnej obserwacji dostrzegł wgłębienie, prawie na poziomie oczu. Podniósł rękę i wsunął ją do otworu.

Nagle poczuł, że piasek pod jego stopami zapada się.

Zanurzył się już po kolana, zanim zdołał wyciągnąć rękę z otworu. Piasek sypał się na boki, podczas gdy on zanurzył się już aż po pas. Wokół roślina piasku, który na koniec powstrzymał ten suchy potop. Pod stopami poczuł platformę opuszczającą się równomiernie, prawdopodobnie wewnątrz jakiegoś szybu.

W tym niezgrabnym kombinezonie nie miał najmniejszej szansy by wspinać się dostatecznie szybko i uciec z pułapki.

Stał się takim samym więźniem jak człowiek, którego tu zawleczono przed nim.

Rozdział dziesiąty

Nie było tu ścian, dlatego Ayyar uznał, że nie zjeżdża szybem. Stał nieporuszenie na środku opuszczającej się platformy, nie czując się zbyt pewnie. Było ciemno, zbyt ciemno, nawet dla Ifta. Nie mógł unieść głowy uwieszonej w hełmie, by popatrzeć na świat znikający w górze. Gdy się wreszcie zatrzymali, Ayyar przez długą chwilę nie poruszał się, w nadziei, że może ruszyć znów w górę.

Kiedy to jednak nie nastąpiło, wysunął ostrożnie prawą stopę do przodu, nie odrywając jej od podłoża. Piasek zachrzescił pod jego ciężarem gdy wreszcie but napotkał inną powierzchnię, podłogę owej tajemniczej jamy.

Ayyar zaryzykował, odpisał zamki hełmu i zwiesił go na plecach. Z głową uwolnioną od

skafandra jego wzrok dzialal jak nalezy. Mogl odchylic sie do tyłu i zobaczyc prostokat swiatla wysoko w gorze. Nagle platforma, sypiac piasek dookola, ruszyla i chociaz uwiesiwszy sie na niej calym ciezarem, nie zdolal jej zatrzymac.

Sturlal sie wiec z nie ogrodzonej powierzchni i odsunawszy sie, by uniknac zasypania piaskiem, odprowadzil ja zrezygnowanym wzrokiem. Wprawdzie nie widzial teraz wiele wiecej, ale przynajmniej nie byl uwiezony w helmie. Zanim zrodlo swiatla nad glowa zostalo przesloniete przez platforme, zdazyl jeszcze rozejrzec sie pospiesznie dookola.

Na wyciagniecie reki do przodu i z tyłu mial sciane.

Z lewej i z prawej - ciemnosc. W ktora strone powinien sie udac, zeby dogonic swoich poprzednikow? Dotarlo do niego cos w rodzaju brzczenia dochodzacego ze scian. To miejsce zylo i czuwalo, ale z pewnoscia nie byla to emanacja umyslu czlowieka czy lfta.

Otwor nad nim zamknal sie, pozostawiajac go w ciemnosci, ktora nie trwala jednak dlugo. Dla ludzkich oczu, pomyslal, moglo byc zbyt ciemno, ale on wylapal pulsowanie biegnace wzdluz scian. Gdyby ciemnosc posiadala cien, to wlasnie obserwowal, jak przeplywa jeden za drugim, czarniejszy od ciemnosci. Czy mozna zobaczyc energie? Nabral powietrza; nioslo jakis slaby, dziwny odor. Alez tak, to zapach czlowieka! Czyz w tych warunkach mogli jednak polegac na swoim nosie jako tropicielu?

Weszac uparcie Ayyar zaglebil sie w lewa odnoge. Zapach utrzymywal sie na stalym poziomie. Piach chrzeszczac usuwal sie pod jego butami. Po kilku krokach wkroczyl na gladka powierzchnie, tu i owdzie wydajaca glosniejsze dzwieki, pomimo wysilkow, jakie czynil, by poruszac sie jak najciszej. Wzor cieni na scianie nie ulegal zmianie i jesli zaalarmowal kogos wchodzac, to nie zauwazyl zadnych ostrzegawczych znakow.

W murze nie bylo zadnych przerw i w chwile pozniej ogladajac sie wstecz, nie byl juz pewien, ktoredy tu wszedl.

Jesli to pulapka, to w sposob oczywisty dal sie zlapac.

Wiedzial, ze nie tylko nos, uszy i oczy sa mu pomoca, ale gdzies w srodku jakis nienazwany zmysl czuwa, czekajac na cos, czego on nie umialby opisac slowami. Na co tak oczekival?

Dalej i dalej - tylko wech upewnial go, ze jest na dobrym tropie. Teraz, gdy marszu nie opoznial grzaski piach, szlo mu sie latwiej. Ayyar zdecydowany zachowac ostroznosc zwiadowcy, nie dawal poniesc sie rosnacej checi, by przyspieszyc kroku korzystajac z latwiejszej nawierzchni. Juz myslal, ze korytarz ciagnie sie chyba bez konca, gdy ujrzal slaby odblysk przed soba. Po chwili dotarl do okraglych hermetycznych drzwi, ktore mialy w zamysle zamykac przejście, podczas gdy teraz kolysaly sie lekko uchylone. Byl to dobrze mu znany rodzaj wlazu, stosowany w wejsciach do komory prozniowej na statkach kosmicznych. Zatrzymal sie, wyciagnal ostroznie reke - poddaly sie lekkiemu naciskowi z latwoscia. Rozplaszczyl sie na scianie korytarza i z calej sily poslal skrzydlo drzwi ku

przeciwnej scianie.

Mdle, szare swiatlo. Czekal czujnie; wszystko to wygladalo na typowa pulapke. Czlowiek, maszyna czy cokolwiek innego polujacego tutaj, mogloby czyhac w zasadzce, lecz nie byloby w stanie ukryc sie przed jego powonieniem. W ciagnal powietrze gleboko w nozdrza.

Slabe, gryzace wyziewy podobne do tych, ktore uwolnily sie przy pierwszym otwarciu skafandra, zmieszane z odorem czlowieka. Zbyt nikle, aby sie nimi przejmowac.

Przekroczyl wysoki prog najpierw uwaznie mu sie przyjrzawszy. Slabe swiatlo sprzyjalo oczom Ifta. Stal w pomieszczeniu prawdopodobnie dorownujacym rozmiarami obwodowi Iftsigi. Bylo ono, w odroznieniu od przekroju Wielkiej Korony, idealnie okragle. Dojrzal wyloty jeszcze trzech innych korytarzy, a raczej drzwi do nich prowadzace. Co wiecej, centralny filar okrazaly prymitywne schody - niewiele wiecej niz drabina. Widok dobrze znany ze statkow kosmicznych. Podszedl do stop drabiny i weszyl unioslszy glowe, po czym, schyliwszy sie niezgrabnie, powachal stopnie.

Zapach, za ktorym podazal, byl tu wszechobecny. Z powatpiwaniem zmierzyl wzrokiem drabine. Nie obawialby sie zwyklej wspinaczki w krepujacym ruchy skafandrze, ale poruszanie sie wewnatrz tej klatki schodowej wygladalo na pierwszy rzut oka na niewykonalne. Zdjecie kombinezonu mogloby okazac sie jeszcze bardziej ryzykowne; nawet dalsze pozostawanie bez helmu moglo go narazic na smiertelne niebezpieczenstwo. Musial ryzykowac, jesli chcial cokolwiek zobaczyc.

Tak jak przewidywal, wspinaczka byla trudna, nieustannie musial podciagac sie z pomoca obu poreczy. Drabina byla metalowa i gladka; jesli nie postawil buta bardzo uwaznie - zeslizgiwal sie. Wprawdzie skafandry kosmiczne byly wyposazone w magnesy na podszwach, jednak w jego skafandrze po prostu nie dzialaly.

Poruszal sie teraz wewnatrz pionowego szybu. Nie napotykal ani przerw, ani podestow. Co kilka stopni przystawal i sprawdzal, czy nadal nic sie nie dzieje.

W miare wedrowki otoczenie jasnialo, az do natezenia swiatla ksiezycowego. Sciandy zadziwily go brakiem sladow laczenia plyt; zupełnie jakby caly szyb zostal wykonany w jednym kawalku. Ziab i uczucie kompletnej obcosci wyzwolily w nim dawna odraze. Czul, ze technologie wykorzystywane ongis przez Nailla Renfro nie mialy nic wspolnego z tymi podziemiami.

Wreszcie drabina sie skonczyla. Dotarl do drugiego kolistego pomieszczenia, z ktorego znow odchodzily korytarze; zadne z wejsc nie bylo zamkniete. Tu dokonat zniechecajacego odkrycia, ze nie bedzie juz dluzej mogl polegac na swym nosie jako przewodniku. Zbyt wiele zapachow dla Ifta odrazajacych, walczylo o pierwszenstwo. Ktorakolwiek droge wybralby, nie bylby pewien slusznosci dokonanego wyboru. Ktoredy wiec?

-Sprubuj...

Pod Ayyarem ugiely sie nogi - zlupal odruchowo za rekojesc miecza. Przez pierwsza przerazajaca chwile myslal, ze slowa te uslyszal wypowiedziane za swymi plecami, ale natychmiast sie zorientowal, ze pochodza z wnetrza jego wlasnego umyslu.

-Nienazwane?!!

-Sprobuj... miecza...

Bardzo slabo widoczny, ledwie cien polprzezrystej twarzy Ifta - zamkniete oczy znamionowaly sen lub nawet letarg, lekko zapadniete policzki - Illylle! Nieco odmieniona od ostatniego widzenia, niemniej jednak to ona.

Nie zawolal jej imienia glosno, lecz wysilil w tym celu swe mysli pragnac upewnic sie, ze to na pewno glos Illylle dotarl don z oddali.

-Sprobuj...miecza... - Blade wargi tej widmowej twarzy widzianej wewnatrz umyslu poruszyly sie.

Wyciagnal miecz i skierowal go ku najblizszemu wylotowi. Nie wiedzial, czego oczekiwac, ale i tak nic sie nie wydarzylo. Powoli zwrocil go ku nastepnemu - i znow nic... Przy trzecim...

Zaledwie iskierka zielonego swiatla, zablysla i momentalnie zgasla. Ostrzezenie czy wskazowka? Byl sklonny uwierzyc tej drugiej interpretacji.

Szurajac nogami w ciezkim skafandrze wszedl w trzeci korytarz. Miecz skierowany ku podlozu nie dawal znaku zycia. i Ten szyb nie byl okragly w przekroju, a sufit znajdowal sie tu znacznie wyzej. Miejscami na scianach widnialy rysy, zupełnie jakby cos wielkiego przepychalo sie tedy z trudem.

-Illylle? - zawolal ponownie w mysli.

-Obserwuj... miecz. Tym razem doszly go tylko slowa i tchnienie niebezpieczenstwa, tak jakby ich porozumiewanie sie moglo wzbudzić jakies zagrozenie. Kontakt zostal zerwany, ale Ayyar poczul sie podniesiony na duchu; nie szedl juz zupełnie sam.

Brzeczzenie w scianach stalo sie mocniejsze i odczul jakby pulsowanie powietrza. Silny smrod maszyn trwal tu zakorzeniony od dawien dawna. Na lewo ujrzal zarys drzwi i nad nimi nie zaslonieta szczelina; zatrzymal sie, by przez nia zajrzec do srodka.

Wielkie ciemne obiekty, ktorzych nie mogl zidentyfikowac - maszyny? Pomruk wydobywajacy sie stamtad wydawal sie przytlumionym grzmotem, raczej niska vibracja niz dzwiekiem. Trudno bylo o porownanie tego miejsca, Bialego Lasu z Nienazwanym jako moca kierujaca ludzkimi zabawkami, takimi jak te tutaj - ze Zwierciadlem Thanth i tym, co nim wladalo, gdyz przekraczaloby to znacznie wiedze i doswiadczenie zyciowe Iftow.

Czym było Nienazwane? Był bliski zrewidowania swoich poglądów. Kto i dlaczego zbudował to wszystko? Czy to wszystko używane było tylko przez jego sługi?

Po ominięciu miejsca, w którym znajdowały się maszyny, Ayyar nie zauważył żadnych innych drzwi. Wkrótce przechodząc między dwiema kryształowymi płytami znajdującymi się naprzeciw siebie zauważył iskrzenie miecza.

Podejrzliwie zwrócił się w prawo i czubkiem miecza dotknął błyszczącej płaszczyzny. Lekkie dotknięcie nie mogące zarysować powierzchni, spowodowało, że z tego punktu pęknięcia rozprzestrzeniły się łącząc się w sieć, aż w jednej chwili cały blok zmatowiał. Natychmiast odwrócił się i w ten sam sposób potraktował drugą płytę. Jeśli, jak się tego spodziewał, stanowiły one jakąś formę ostrzeżenia lub kontroli, to właśnie przestały działać. Nie wiadomo jednak, czy nie zdążyły już wysłać informacji o jego obecności. Możliwe, że rzucił wyzwanie temu, co zamieszkiwało podziemia.

Rozejrzał się w poszukiwaniu następnych płyt, zdecydowany zniszczyć je, zanim zdążą zdradzić jego ruchy, i odkrył jeszcze dwie.

Być może drobne powodzenia napelniły go zbytnią pewnością siebie. Nie był przygotowany na to, co się stało, gdy przystanął, by nieco odpocząć przy ostatnim bloku. Nagle ruszył, a raczej to skafander ruszył, niosąc go ze sobą, i na nic zdążył się wysiłki, by zmienić kierunek marszu lub chociaż rzucić się na ziemię.

Ayyar skoncentrował całą swoją siłę woli i wielkim wysiłkiem udało mu się zmusić rękę trzymającą miecz do schowania go do pochwy. Obawiał się, że to, co kontrolowało teraz kombinezon, mogłoby upuścić lub odrzucić bronię, wokół której skupiła się cała nadzieja na ujście stąd żywcem.

Uważał dotąd, iż skafander był kierowany za pomocą "serca", które wyrzucił, jednakże wyglądało na to, że cały ubiór reagował na rozkazy z zewnątrz. Teraz poruszał się szybciej i łatwiej niż wtedy, gdy sam stawiał kroki. Był po prostu transportowany - jeniec bez widoków na ratunek, w nie lepszej sytuacji niż człowiek, którego śladem wkroczył do tego labiryntu.

Skafander unosił go maszerując równym krokiem, mijając kolejne drzwi, nie pozwalając mu na dokładniejsze przyjrzenie się wnętrzu sal. Jeszcze więcej maszyn - lecz mniejszych i kompletnie obcych. Znajdowały się tu następne krecone schody, na które kombinezon wspinał się z wielką pewnością siebie.

Czuł wielką tęsknotę za Illylle - nie żeby oczekiwał od niej jakiegось rady w zaistniałej sytuacji, ale dlatego, że potrzebował - ach, jak bardzo - kontaktu z rzeczywistością. To, z czym miał do czynienia, nie było życiem, jakie znał dotąd, lecz raczej czymś zupełnie obcym jego gatunkowi od wieków.

Nie miał pewności skąd czerpał to przekonanie. Jego ręce spoczywały bezradnie w

rekawicach, niechętne stopy stapaly rownomiernie. Coraz wyzej - ale dokad?

Gdy opuscil schody okazalo sie, ze nie jest juz sam; obok przetoczył sie jeden z owych owalnych kombinezonow. Ayyar sadzil, ze zostal rozpoznany i dopiero, gdy skafander oddalil sie na pewna odleglosc, skonstatowal, ze nie wyslano go po niego. Lecz jego wlasny kombinezon pociagnal go i w slad za poprzednikiem.

W glebi jego duszy wojownik szykowal sie do ostatecznego, na smierc i zycie, starcia z wrogiem. Warknal. Wokol poczul dlawiacy smrod; ukryl swoj strach i poddal sie gniewowi. Pojal juz, ze dotarl do samego Nienazwanego.

Nastepny skafander wychynal z drzwi i przesunal sie przez korytarz, a Ayyar az zachlysnal sie, widzac, co niesie metalowe monstrum. Przewieszona przez jego ramie zwisalo, z kolyszacymi sie bezwladnie glowa i rekami, nagie, zielone cialo Ifta!

Illylle! Jak, skad mogli...

Nie mogl zmusic swego skafandra do przyspieszenia kroku, by zrownac sie z niosacym ciezkie brzemie, zanim wejdzie on w kolejne drzwi, ale mijajac je po chwili wykrecil glowe na tyle, by dostrzec zielone cialo lezace tam na stole twarza do gory i stwierdzic, ze to nie Illylle!

Nie byl to zreszta nikt z ich malej kompanii. Zdazyl spostrzec szczeline ziejaca w poprzek szyi, metalowe ramiona podnoszace sie i opuszczajace nad kamienna plyta stolu, pracujace nad... imitacja Ifta!

Nie udalo mu sie zobaczyc wiecej, gdyz skafander poniosl go dalej przez hol, z ktorego prowadzily wejscia do wielu pokoi. Mijajac je obserwowal ich zawartosc, ale jej nie rozumial, dopoki na koniec nie znalazl sie w jednym z nich. Oslepiony swiatlem zacisnal powieki; kombinezon wykonal szereg rowno odmierzonych krokow i zatrzymal sie. Ayyar sprobował ostrożnie wierzyc sie w swojej skorupie, ale to bylo wszystko. Nie mogl nawet uniesc reki; jak wiezien przykuty do sciany w celi.

Przez uchylone szparki powiek sprobował rozejrzec sie dookola. Swiatlo odbijalo sie od szeregu slacych refleksy powierzchni, ale szczerliwie kombinezon nie zatrzymal sie naprzeciw zadnej z nich. Rozejrzawszy sie na boki zobaczyl, ze stoi w rzedzie robotow i skafandrow. Przed nim znajdowal sie owalny model na rolnkach, za nim robot naprawczy niewiele rozniacy sie od widzianych w porcie, dalej znow czlekokształtny. Reszty nie byl w stanie dokladnie zobaczyc.

Na prawej scianie znajdowala sie linia luster czy tez innych odbijajacych swiatlo powierzchni. Naprzeciw owej linii umieszczono ruchomy stol, ktorego blat podniesiono z pozycji poziomej do pionu. Przypięty do niego byl ow czlowiek, ktorego sladem Ayyar dotarl tu az z doliny. Otwartymi oczami wpatrywal sie w lustro odbijajace kazdy szczegol. Nie walczył z wiezami, ktore go krepowaly, i nie mozna bylo nawet miec pewnosc, czy zyje. Ayyar nie dostrzegl,

by klatka piersiowa wieznia podnosiła się i opadała.

Stał tu tylko jeden stół z przywiązany człowiekiem. Lecz lustro po jego prawej stronie ukazywało jasno i wyraźnie odbicie osadnika - krzaczasta broda, nie strzyżone włosy, szarobury ubiór... jedyne, czego brakowało, to osoba, która widac było w zwierciadle!

Skafander Ayyara wystąpił z szeregu pod ścianą, a drugi czelakowski podał w jego ślady. Staneli naprzeciw lustro i Ayyar musiał zamknąć oczy przed jaskrawym blaskiem. Poza tym miejscem nie było żadnego innego źródła silnego światła w całym pomieszczeniu.

Kombinezon podniósł jego ramiona, a palce w rękawiczkach poruszyły się. Uczuł, że schwycił i przekrecił coś wystającego. Ayyar zerknął ukradkiem spod półprzymkniętych powiek i pojął, że jego skafander wraz z tym drugim zdejmują ze ściany lustro z odbiciem osadnika.

Płyta była o głowę wyższa od nich i niezbyt łatwa do odłączenia. Pracując powoli wyciągnęli ją z ramy i obrócili do pozycji poziomej. Wyobrazenie osadnika na powierzchni lustro nie poruszało się. Stosownie do wiedzy Nailla Renfro, mógł to być obraz trójwymiarowy. Zachowując wielką ostrożność, ruszyli trzymając płytę między sobą. Po chwili odwrócili się i wyszli z pokoju, nie zwracając uwagi na człowieka leżące na stole.

Drugi kombinezon prowadził korytarzem, którym Ayyar dopiero co nadszedł. Po kilkunastu krokach weszli do pokoju, w którym stał rząd stołów. Dwa z nich były zajęte. Na jednym, leżała karykatura ciała Ifta; zamiast rąk - białe galaretowatej substancji, głowa - nie ukształtowana do końca; w miejsce i długich, spiczastych uszu - sflaczane kawałki materii.

Spoczywało to na takiej samej lustrzanej płycie, jaka przydzwigały tu skafandry. Ayyarowi zdało się, że na tym gładkim i lśniącym blacie stołu dostrzegł zarys postaci, zupełnie jakby odbicie stanowiło wzorzec indukujący wzrost tego, co na nim leżało.

Na drugim stole rozlana masa drżące galarety nie pozwalała dostrzec ukrytego pod nią wzorca. Na te mase światła ślasy z góry naprzemian krótkie, ostre błyski lub emitowały ciągle blask.

Między tym wszystkim Ayyar, Ift, zbuntowany i wzdrażający się przed widokiem tego, co znajdowało się w sali.

Umysł, ciało i dusza wily się w tak nie znosnych meczarniach, że z łatwością wyznałby wszystko, czego by oden zadano, nawet swe imię. Odór Nienazwanego był nie do wytrzymania i później pomyślał, że chyba nawet stracił na chwilę przytomność.

Rękawice poruszały się, a więc - z konieczności jego rece również. Po zapieciu zatrząsków wokół brzegu stołu lustro zostało unieruchomione. Wykonawszy zadanie skafandry odmaszerowały z powrotem na swoje miejsce w szeregu sług oczekujących na wezwanie. Z dala od owego odrażającego miejsca wynaturzonej hodowli Ayyarowi przejaśniło się nieco w głowie. Siła woli zmusił się, by przelknąć cierpką sline, i wreszcie na chwilę

opanował wzburzony zółdek. Musi uwolnić się z ubioru - tylko jak?

W czasie ostatnich minut doszedł do przekonania, że ktokolwiek lub cokolwiek, co władało skafandrem, albo nie było świadome jego obecności w środku, albo, będąc przekonane o skuteczności skrepowania, nie dbało o to. Jeśli prawda było to pierwsze, to mogłoby myśleć o ucieczce, chociaż z drugiej strony zostałby pozbawiony w ciągu dalszej wędrowki w podziemiach nawet tak mizernej ochrony, jaką dawał kombinezon.

Jak by się tu wydostać?

Za pierwszym razem energia zmagazynowana w jego ciele za pośrednictwem miecza unieruchomiła kombinezon.

Teraz jednak miecz spoczywał w pochwie przy pasie, a on nie mógł podnieść ręki, aby go wydobyć. Od powrotu na miejsce rekawica zwisała bezwolnie, uczynił więc wysiłek próbując wykrecić przegub. Palce nie były mu posłuszne jak dawniej, jednak walczyć ze wszystkich sił zdołał podnieść trochę rękę i musnąć rekojesc broni.

Tylko tyle - i nic więcej. Miecz musiał dotknąć jego nie osłoniętego ciała, zanim energia zaczęłaby do niego przepływać. Nagie ciało...

Ayyar zaprzestął walki ze sztywnymi palcami. Miecz przewodził energię - ale czy rzeczywiście potrzebuje miecza? Przecież energia jest w nim samym. Przez chwilę ze wszystkich sił próbował wyzwolić ją poprzez którąkolwiek część ciała dotykającą skafandra, ale bez rezultatu.

Kombinezon ożył ponownie. Wystąpił z szeregu, a za nim ruszył model czworonogi. Skierowali się do stołu, na którym przybysz spoza planety pozostawał zwrócony ku swej i replice w lustrze. Ayyar ponownie musiał zamknąć oczy przed blaskiem. Poluznili uchwyty trzymające milczącego jenca. Ayyar uczynił wielki wysiłek i zapewne dlatego, że ruch, który zaplanował, nie kłócił się z wykonywanym zadaniem, osiągnął swój cel. Rekojesc miecza dostała się w jeden z zaczepów stołu i oto gdy skafander się cofnął cały miecz wysunął się z pochwy.

Teraz - jedna jedyna niepowtarzalna szansa! Skafander pochylił się do przodu, by zwolnić zaczepy wokół kostek u nog leżącego. Ayyar rzucił się, by zachwiać równowagę kombinezonu, i w efekcie runął na ziemię. Obroczył głowę i poczuł ustami chłód rekojesci. Zachłannie zacisnął na niej zęby, podczas gdy skafander niezgrabnie gramolił się do pionu. Gdy stanął prosto, miecz opadł i dotknął jego piersi.

To było to! Przedtem wysił się, by energia spłynęła po jego ręce do ostrza, teraz udało mu się wysłać ją z ust. Pojawiły się srebrne strumyczki spływające na skafander.

Czy to zadziała?

Drugi kombinezon trzymał się nadal nad uwolnieniem więźnia z więzów, ale jego własny zamarł bez ruchu. Ayyar niezdecydowanie podniósł rękę i bez trudu wyjął miecz z ust. Uwolnił się od mocy używanej skafandrow jako sług, ale jak długo potrwa ta bezcenna wolność? Zaczął odpinac zapiecia.

W końcu wydostał się z ubioru, który opadł pusty na ziemi. W czasie gdy to robił drugi, czworonogi kombinezon uwolnił więźnia do końca i ruszył z bezwładnym ciałem w kierunku drzwi, pozostawiając za sobą lustro wysyłające jaskrawe refleksy.

Ayyar złapał miecz, nałożył pas leżącego kombinezonu i pospieszył korytarzem, lecz teraz w przeciwną stronę. Czy przetrnie drogę poprzednikowi, czy odważy się wyzwolic tamtego człowieka? Ten ostatni nie poruszał się, oczy bez wyrazu wpatrywały się przed siebie; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie żył.

Skafander wszedł do jednej z sal, a Ayyar przystanął na progu wpatrując się w jej wnętrze. Rzędy wysokich cylindrów; stojące po prawej puste i czyste. Reszta była całkowicie wypełniona ciemną rozowawą cieczą i przykryta ciężkimi kopułami z czerwonego matowego metalu. Wewnątrz unosiły się na wpol widoczne obiekty. Kombinezon zbliżył się do jednego z pustych cylindrów. Jedną z jego macek smignęła i nacisnęła przycisk na jego podstawie. Potezny zbiornik wysunął się z łożyska i przemieścił na bok, a skafander wsunął do niego swoje brzemie. Pojemnik natychmiast powrócił do poprzedniego położenia, został nakryty kopułą, ze szczytu której przez rurkę poczał napływać płyn, powoli podnosząc się wokół ciała.

Ayyar przywarł do ściany gdyż kombinezon zawrócił i zbliżał się do drzwi.

Rozdział jedenasty

Czy mógł zostać odkryty? Był bez szans w razie ataku, mając tylko miecz do obrony. Uspokoił się - gdyby kombinezon zawierał kogos lub coś, miałby się czego obawiać. Jeśli jednak był pusty, to energia zgromadzona w broni poradzi sobie z nim z łatwością. Jego pewność siebie powróciła, mimo to rozważnie wszedł skafandrowi z drogi.

Ten jednak nie wykazał żadnego zainteresowania ani nie zatrzymał się - po prostu odmaszerował korytarzem, pozostawiając Ayyarowi wolne pole do działania. Cylindry wypełnione były płynem tak metnym, że był w stanie dostrzec jedynie niewyraźny kształt unoszącego się w nich obiektu. Sala była ogromna i ilość wypełnionych cylindrów stojących na kształt złowieszczych drzew wprowadziła go w osłupienie. Było ich tu o wiele więcej niż fałszywych Iftów, których widzieli - tworzyli prawdziwą armię. Lecz jeżeli stanowili oni wzory dla wytwarzanych tu imitacji, kimże byli?

Przemienionymi w Iftów ludźmi, takimi jak oni, pojmanymi przez Nienazwane? Serce Ayyara zabiło szybciej a gdyby byli to jency Larshow z czasów dawnej wojny?

Może daloby się przywrócić ich do życia?

Wrocil, aby przyjrzec sie niedawno otwieranemu kontenerowi. Czerwony plyn oplywal juz klatke piersiowa nieruchomego czlowieka splywajac mu po policzkach, on jednakze nie dawal znaku zycia.

Gdzie mial szukac Nienazwanego? Do tej pory nie napotkal niczego ruchomego oprócz kombinezonow. Moze nalezy znalezc wyzsze lub nizsze poziomy? A w ogole to stracil wycucie stron swiata i nie potrafil okreslic, gdzie sie to wszystko znajduje - pod kopcami czy pod skalnymi scianami doliny?

Wyszedl i kierujac sie na lewo ruszyl na spotkanie nieznanego, pilnie szukajac wzrokiem groznych plyt na scianach. Gdy je ujrzal, tym razem nie rozbil ich, ale polozyl sie na podlodze i przeczolgal obok nich, nie odwazajac sie wstac, dopoki nie znalazl sie poza ich ramami.

Juz jakis czas temu przestal polegac na swym nosie, gdyz wszechobecna mieszanina zapachow zupełnie go zablokowala. Teraz znowu poczul zapach przywodzacy na mysl czyste ostrze noza tnace cuchnaca pletwe skalca.

Jesli chodzi o rozpoznanie woni rosnacych zywych rzeczy, Ifta nie da sie oszukac; potrzebowal ich jak wtedy w dolinie, gdzie zostawil Illylle. Ruszyl ochoczo, ale nadal z rozwaga rozgladajac sie w poszukiwaniu pulapek.

W dol korytarza zamiast schodow prowadzila pochylnia.

Wciagnal powietrze w rozszerzone nozdrza - skad tu, i to w zimie, zapach... wiosny. Ostroznosc stlumila jego pierwotny entuzjazm. Zdawalo sie, ze w swojej domenie Nienazwane potrafi zapanowac nawet nad porami roku.

Przecholgal sie pod nastepna para plyt na scianie i wyszedl na otwarta przestrzen. Skads z dolu naplywala slodka, odurzajaca won, jaka moglby wydzielac sam Las Iftcanu!

Swiatlo przypominalo do zludzenia srebrna poswiata ksiezycy. Ayyar westchnal z ulga i przyjemnoscia; dal odpoczac zmeczonym oczom i cialu. Zadowolony, powoli odprezal sie.

Zadowolony? Gleboko w jego umysle zadzwieczal dzwonek alarmowy. Przeciez to nie Iftcan - to pustka, ktora wlada niepodzielnie Nienazwane! Nie mozna dac sie zwiesc zewnetrznym pozorom, tak jak nie dali sie zmylic falszywym Iftom. Czyz nie widzial przed chwila, z jaka latwoscia jedna rzecz przerabia sie tu na inna?

Mimo woli trafil wszelka samokontrola, to co lezalo ponizej kusilo go nieodparcie; tam byl jego dawno nie widziany dom. Zaczal schodzic waska sciezka, tak stroma, ze musial skupic cala uwage na swych krokach. W dole roslo mnostwo drzew, a ich zielone korony tworzyly zbity gestwe. Ayyar wciagnal badawczo powietrze w nozdrza nie znajdujacy zadnego wrogiego zapachu.

Opuscil drozke i poczal stapac po kostki w miekkim, bujnym mchu. Tu i owdzie dostrzegal, zamkniete, noca widmowo blade paczki malych, niebieskich kwiatkow. U stop sciany gdzieniegdzie rosly wysokie lilie, jasnozielone z ciemniejszymi plamkami zanikajacymi na lisciach. Byly bezwonne, podczas gdy nocne lilie z lftcanu byly w stanie nasycic swym zapachem ogromny obszar... Taki drobiazg... to dziwne...

Ayyar stal, przypatrujac sie liliom. Potem schylil sie i dotkнал palcem jednego z aksamitnych platkow. Byl prawdziwy, zywy - ale gdzie podzial sie upojny zapach? Niby drobiazg, ale skutecznie zburzylo to jego spokoj. Przyjrzał sie uwaznie reszcie rosnacych w lesie roslin. Mech, tak mech byl prawdziwy.

Obejrzał drzewko sal. Jego cienkie liscie wydzielaly w nocy wilgoc zbierajaca sie w swietliste krople, jak wodne klejnociki. Jedno po drugim sprawdzal drzewka, krzewy, kwiaty i inne rosliny, szukajac czegos niezwyklego. Tylko te lilie...!

Nie! Ich slodko-mdlacy zapach pojawil sie w jednej chwili, zupełnie jakby ktos wypuscil go ze spryskiwaczy w kepach lillii. Wypuscil? Ayyar jezykiem zwilzyl wargi. Gdy tylko pomyslal o bezwonnym kwiatkach i uznal je za nienaturalne, sklonilo go to dokladniejszego zbadania otoczenia.

I wtedy, jak na zamowienie, pojawil sie zapach - tyle ze zbyt pozno, by rozwiac podejrzenia.

Roztarl miedzy palcami jeden z mokrych lisci - ich aromat wydawal sie calkiem normalny. Teraz jednak juz w niego nie wierzyl, tak samo jak w realnosc calego tego: lasu. To jakies szalenstwo. :

Ayyar wrocil na sciezke, bojac sie tego miejsca, ktore skladalo mu przedtem slodka obietnice spelnienia jego najskrytszych pragnien. Sciana, wzdluz ktorej biegla ta waska drozka, byla naga. To, co wydawalo sie przed chwila masywna skala, pod stopami zniklo jak sen. A wiec Nienazwane wie juz, ze on tu jest. Lecz on byl juz na to przygotowany i czujny, a wszystko za sprawa bezwonnym lillii.

Przyjrzał sie podlozu i drzewom. Nie byly wprawdzie wysokie, ale mogl z latwoscia przejsc wyprostowany pod najnizszymi galeziami. Wygladaly jednak zaledwie jak miniatura Wielkiego Lasu. Mrok pod masa lisci moglby wprawdzie robic na przybyszu spoza planety wrazenie kompletnej ciemnosci, ale dla oczu lfta nie stanowil on problemu. Na pniu i konarach wypatrzył cale grona jajeczek swietlikow jasniece tym samym wewnetrznym blaskiem, ktory mial zdobiec ich delikatne ciala, gdy juz wykluja sie z oslonek.

Stal na jedynej w okolicy otwartej przestrzeni. Nie bylo sposobu, by okrazyc las idac wzdluz sciany doliny, ani mozliwosci wycofania sie do podziemi. Musial pojsc przed siebie, jesli nie chcial zostac w zarosnietej mchem kotlinie na zawsze. Byl wyposazony w zmysly lfta i w swoj miecz, i mial do spenetrowania bardzo przebiegle zastawiona pulapke. Wzruszywszy ramionami nad wlasnym szalenstwem, Ayyar wkroczył pod pierwsze z drzew.

Nawet przy wnikliwej obserwacji nie zauważał żadnej niezgodności z naturalnymi lasami Janusa. Zaczął już wątpić w swoje odkrycie dotyczące lilii. Ostrożnie torując sobie drogę między drzewami dotarł do następnej polanki, na której znajdowało się małe jezioro, płynne srebro w świetle księżycy... Księżycy?

Spojrzał w skrawek otwartego nieba widoczny w gorze.

Był tam księżyc, i owszem, ale... Ayyar zadrzał. Coś było z nim nie w porządku, tak jak z liliami. Mogłoby przysiąc, że czegoś mu brakowało lub coś zostało dodane. Woda w stawie zapraszała, mamila go obietnica głębokiego haustu czystej, zimnej wody. Dotknięcie Zwierciadła zubożeniło go jednak na pokusę, ułatwiło odsuniecie myśli o nekajacym pragnieniu.

Nagle zza skały na brzegu wystrzeliło kosciste odnoże wyposażone w zakrzywiony pazur, zanurzyło się w wodzie i uniosło z powrotem, sciskając wijać się, chude stworzenie - po czym wszystko wróciło do stanu pierwotnego. Rybolow, polujący we właściwym sobie czasie i miejscu. Ayyar wsłuchiwał się w dźwięki. Rozpoznawał łowców - futrzanych i pierzastych, ale w owym zalobnym nocnym chorze nie słyszał głosu zerca.

Ift i zerec, dawni partnerzy z Wielkiego Lasu - nie pan i sługa, lecz równi sobie przedstawiciele różnych gatunków.

Ani śladu zerca... Ciekawe, czy śledzono go, obserwowano, gdy posuwał się przez ten las? Czy wytworzą teraz ptaka, tak jak zapach lilii, gdy tylko zauważył jego nieobecność?

Choć stał i nasłuchiwał, nie zabrzmiało ponure "huuu ruuuruuu".

Okrzyknął jezioro i ponownie wkroczył w las, starając się rozszyfrować cel, w jakim go stworzono. Jak dotąd nie napotkał na żadne niebezpieczeństwo, a przebywali tu naturalni mieszkańcy lasu, którzy, gdyby tylko chcieli, mogliby mu zagrozić. Kto lub co za tym stało? I dlaczego? W podziemnych korytarzach maszyny wykonywały polecenia Nienazwanego, a tu jak wierzył Ayyar, z Jego woli rosił Las w miniaturze. Zesztywniał i instynktownie skoczył, by plecami oprzeć się o pień drzewa. To nie zapach lilii dotarł do jego nozdrzy tym razem, lecz odor fałszywego Ifta!

Czy było możliwe, aby owe roboty karmiły się iluzją lasu, gdyż były zaprojektowane na wzór prawdziwych Iftów? Czekal. Nie doszedł go żaden odgłos kroków, ale zapach nasilił się i Ayyar był pewny, że stwor nadchodzi.

Krzak zadrzał, gdy kragle ramie odsunęło gałąź, a na otwartą przestrzeń wyszła dziewczyna.

Nie znalazł jej, nigdy jej nie widział. Była niepodobna do Illylle, towarzyszkii niebezpiecznych przygod, noszącej ubiór łowcy. Jak dawniej, w czasie wiosennych załotów i Wybierania, dziewczyna ubrana była w pelerynę z żywych kwiatów, rozsiewających won przy każdym

ruchu. Owalna twarz, skosne oczy, idealna pieknosc swej rasy. Wpatrujac sie w Ayyara usmiechala sie i przyzywala go prastarymi, rytualnymi gestami ceremonii Wyboru. W jego pamieci obudzily sie nie przeczuwane wspomnienia i podniecenie mimo woli zwabilo go spoza drzewa na polane; bezwiednie wyciagnal do niej rece.

W glebi duszy ujrzal slabo widoczna twarz, a nastepnie uslyszal szept.

-Klamstwo...

Ledwo doslyszalne ostrzezenie dobiegalo skads z bardzo daleka, a dziewczyna kolysala sie tuz przed nim. Jej stopy stawialy juz pierwsze kroki tanca Wybierania, a rece kuszaco wyciagaly sie w jego strone, lecz jej usmiech byl nieco niepewny, prawie bolesny...

-Vallylle, ja jestem Vallylle... I jestem twoja, tylko twoja, silny wojowniku...

Okrycie z kwiatow zaszelescilo; wydawalo tak ciezka i duszaca won, ze Ayyar oddychal z trudem. Wszystko niby zgadzalo sie - zyla ongis Vallylle, ktorej szukal w czasie Wybierania. Pamiec Ayyara twierdzila, ze to prawda!

-Klamstwo!

Rozpaczliwy szept gleboko w duszy ostrzegal...

-Chodz! - przyzywala go wladczym glosem. - Vallylle nie przywykla czekac na zadnego wojownika, wielu czeka na nia!

Pamietal teraz, ze to nie przechwalki, lecz prawda. Bylo wielu, ktorzy oddaliby wiele, bardzo wiele za taniec Wyboru z Vallylle. Wahac sie teraz byloby...

Ponownie wyciagnela do niego dlon. Nieswiadomie uczynil jeszcze jeden krok do przodu.

-To tylko zludzenie!

Jego reka drgnela. Przez chwile czul sie tak, jak wtedy gdy skafander mial nad nim wladze.

Skafander... labirynt korytarzy, lustra pulapki! Ayyar zamrugal, nagle oprzytomniawszy - i jeszcze ten smrod imitacji Ifta! Dlon jego powedrowala na rekojesc miecza, wydobyła go. Dziewczyna przestala sie usmiechac, a strach zmrozil jej twarz w sztywne maske; cale naturalne piekno zostalo wyparte przez przerazenie. Cofnela sie i uniosla nieco rece, jakby blagala o zachowanie zycia. Jesli byla w calosci produktem Nienazwanego, to grala swa role perfekcyjnie. Ayyar wahal sie - byl pewien, ze to imitacja Vallylle, ale i tak nie mogl zdobyc sie na podniesienie reki uzbrojonej w miecz i sciecie jej. Wyslano przeciw niemu dobrze wybranego przeciwnika.

-Zwariowales! - krzyknela. - Jesteś szalony!

Po raz pierwszy Ayyar przemówił:

-To nie ja jestem szalony, to ty zaprzedałaś się duszą i ciałem Nienazwanemu, Które Czyha.

Wciąż dzierzył miecz, zdając sobie sprawę, że rozważa nakazuje, by zabił, lecz nie był zdolny do zadania ciosu.

Ujrzał, jak dziewczyna przesuwa się koło pnia drzewa i umyka. Niewesoło zdawał sobie sprawę z faktu, że oto nie kupił sobie życia, a wręcz przeciwnie - porażkę i śmierć. Dookoła panował spokój, choć w tle słychać było stłumione, tajemnicze odgłosy. I znowu, tak jak bezwonne lilie, uznał to za drobne, ale demaskujące przeoczenie. W prawdziwym Lesie na dźwięk ich rozmowy i naglej ucieczki Vallylle zapadłaby na chwilę martwa cisza. Poczł nagłą pokusę, aby energia zgromadzona w mieczu potraktować drzewa rosnące dookoła, lecz powstrzymał się od tak głupiego marnotrawstwa.

Jeśli w lesie znajdowali się jacyś obserwatorzy, to Ayyar, wytrawny myśliwy, nie dostrzegł ich.

Choć nie zjawili się więcej zalotnych Vallylles, narastało w nim przekonanie, że był śledzony. Obrót, nagły skret ciała, spojrzenie za siebie - nikogo. W końcu nie mógł już dłużej znieść tego uczucia i raz jeszcze przywarł plecami do drzewa.

Kusiło go, by wrzasnąć pomiędzy rzędy drzew: - Wyjdźcie! - opanował jednak lek na tyle, aby stać w milczeniu.

Wzrok jego przyciągnęło dzikie wino oplatające konar nad głową. Wpijając wazy w kory, wilo się wokół pnia. Do złudzenia przypominało pasożyty widywane w Lesie. Jeśli wcześniej nie umarły, potrafiły osiągnąć wagę wystarczającą, by oderwać gałęzie i powalić swego dawnego gospodarza.

Niby zwyczajne dzikie wino, ale coś w wyglądzie liści budziło niepokój...

Tu i owdzie wzdłuż łodygi gromadziły się kropelki wilgoci, a może tak jak sal, roślina wydzielala nocą soki. Ayyar unosił głowę, by zanalizować mdły, dziwny zapach.

Świetliste krople rosły i rosły, lśniły, fosforyzowały. Widział je nawet tam, gdzie nie docierało światło księżyca.

Kilka małych kuleczek zbiegło się w jedną dużą i spadło z liścia na ziemię. Ayyar wciągnął głęboko powietrze, aromat wzmożł się, lecz nadal był tak nikły, że mógłby go z łatwością nie zauważyć, nie będąc uprzedzonym.

Coraz więcej wielkich kropli, odgłos padającego deszczu.

Ayyar stłumił bolesny okrzyk - zdało mu się, że to ogień liznął wierzch jego ręki. Oleista

kulka, która to sprawiła, nie dała się straszyć i ogień wgrzyzał się w ciało, powodując niewiarygodne cierpienia.

Już miał otrzeć dłoń o udo, gdy zawahał się. A co, jeśli kropla śmiertelnego płynu wsiąknie w ubranie? Ukląkł więc, wytarł grzbiet ręki o ziemię, by już w następnej chwili wyprostować się z jękiem, gdy następna kropla rozbryzła się na jego ramieniu. Deszcz... ognisty deszcz! Na drzewie, pod którym stał, Ayyar spostrzegł całe girlandy kapiące trucizną. Zerwał się do biegu. Przez moment obawiał się, że nie wyrwie się z tej pułapki, ale po chwili, z trudem łapiąc oddech, wypadł na następną polanę i stanął bezpieczny pod gołym niebem.

Raz jeszcze ukląkł, nabrał w lewą rękę garść ziemi zmieszanej z liśćmi i, trzymając wciąż miecz w prawej dłoni, zaczął wycierać miejsca oblepione żrącą substancją. Spod spodu ukazały się czerwone rany.

Nienazwane wykonało drugie posunięcie, pomyślał ponuro. Był całkowicie przekonany, że ktoś lub coś prowadzi z nim rozgrywkę, której zasad nie pojmował. W ciągu wieków rodzaj ludzki prowadził przeróżne gry w przestrzeni kosmicznej, czasem gromadząc wiedzę o przeciwniku, a gdy szczęście sprzyjało - również fortune. Tym razem grał o najwyższą stawkę: o życie, a może nawet i o przetrwanie swojego świata. Jeśli nawet istniały jakieś reguły tej gry - nie miał o nich pojęcia.

Jaki będzie następny ruch? Skąd padnie cios? Jaka rolę przyjdzie mu odegrać? Przykucnął na ściółce i wspierając się na mieczu rozejrzał się wokół jak ścigane zwierzę.

Szum lasu oznajmiał, że jego ukryci mieszkańcy zajęli się swoimi codziennymi sprawami. Codziennymi sprawami...?

Obrocił się gwałtownie i poślizgnął na miękkiej ziemi, której wcześniej użył jako okładu na rany. Stracił równowagę, i to zapewne uratowało mu życie. Lepka lina wycelowana w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa, smignęła obok i, nie dotykając go, opadła na ziemię. Instynktownie odtoczył się na bok, trzymając miecz w pogotowiu. Skalec! Mogł czołgać się w legowisku, wyczekując, co wpadnie do jego cuchnącej jamy, albo co byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne - wędrować swobodnie samopas.

Słyszał prychnięcie i sapanie zwierza, ale nie czuł wcale ostrzegającego smrodu. Następna lepka lina padła na czubek miecza, który spopielił ją jednym błyskiem. Zapomniał, że moc zgromadzona w mieczu może wyzwolić się sama. Określił się dokoła, szukając drzających cieni zdradzających ruch, ale niczego nie dostrzegł. Tak łatwe zaniechanie ataku było sprzeczne z naturą skalca.

Zrozumiał, że nie może po tym lesie spodziewać się tego co znalazł z normalnego życia na Janusie. Mogłby wycofać się pod drzewa, gdzie galezie osłoniłyby go przed siecią. Z drugiej jednak strony, mogły na nich czołgać się jakieś nieprzyjemne stworzenia...

Wahając się między dwiema możliwościami, Ayyar wybrał trzecią. Zaciśniętą mocno ręką chwycił się za gałąź i rzucił się biegiem ku drzewu nie obwieszonemu trującym winem. Złapał za jedną z niższych gałęzi i wprawdzie wspinał się na górę chowając się między liśćmi.

Potem przebiegł po konarze i przeskoczył na następne drzewo, później na następne zwracając bacznie uwagę na trujące wino. Nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go z tyłu jakieś zamieszanie, odgłos czegoś przerażającego stąpającego w ślad za nim...

Jeszcze jedno drzewo, i jeszcze jedno - Ayyar nie był nawet, pewnie w jakim kierunku zmierza. Zdziwiło go, że po jego przejściu w powietrze nie wzbily się żadne ptaki a małe stworzonka żyjące we wnętrzu drzewa ani na chwilę nie zaprzestały swojej krzataniny. Jaka część tego lasu była złudzeniem? Oparzenia boleły, jedno z nich - na ramieniu - znacznie ograniczało mu swobodę ruchu przy przeskakiwaniu z drzewa na drzewo. Nadal nie odczuwał pragnienia głodu czy zmęczenia, ale nie miał pojęcia, jak długo jeszcze potrwa ten stan.

Spoglądając z wysokości drzewa ujrzał, że przed nim grunt stopniowo się obniża. To utrudniałoby mu znacznie dalszą wędrówkę, ale mimo to nie miał najmniejszej ochoty zejść na dół. Przysiadł na konarze, nasłuchując i wieszac. Poniżej rosły wynaturzone peki wysokich paproci. Podobnie jak wino, wyglądały na nieznaną mu gatunek. Nieznane oznaczało podejrzane. Ich karbowane, ciemnozielone przez chodzące w czern liście były mocno poskręcane.

Ayyar zerwał gałązkę, położył się na brzuchu wzdłuż konara i dzgnął przerosnięty zarodnik na liściu najwyższe z paproci. Peki z lekkim pyknięciem i zniknął w chmurce czarnego pyłu. Ayyar skrzywił się; choć starał się dotąd trzymać drzew, to przecież podszycie wyglądało do tej pory co najmniej przyjaźnie.

Być może gdyby wspinał się wyżej, a na dodatek teren nadal by opadał, to zdolałby dojrzec, dokąd podąża. Czwarte z kolei drzewo miało dokładnie to, czego poszukiwał: stosunkowo łatwą drogę wspinania się na górę i konar pozbawiony gałęzi, doskonale nadający się na stanowisko obserwacyjne. Poniżej grunt gwałtownie opadał i Ayyar zobaczył oświetloną światłem księżyca, zbitym gęstym drzewem, do złudzenia przypominającą widok, jaki ujrzał wchodząc tu z podziemia.

Światłem księżyca? Właściwie jak długo już wędruje? Czas zdawał się stac w miejscu, ale księżyc - czy co tam go zastępowało w tym nocnym koszmarze - stał na niebie w tym samym miejscu. Może dzień nie zbudzi się tutaj, słońce nie wszędzie? Mogłaby to być dziwna strefa przeznaczona wyłącznie dla Iftów, choć nie dla tych, których znał.

Promienie księżyca jakby skupiły się, przyciągnięte w jedno miejsce, tworząc świetlisty zarys...

Iftsi! Oczywiście to gorące nad resztą lasu ogromne drzewo nie mogło być prawdziwa

Iftsigą - jednakże bez wątpienia widział jedna z Wielkich Koron! Tu, w samym sercu włosci Nienazwanego, znalazł to, czego każdy Ift potrzebował do życia.

Światło księżyca migotało na zielonych i srebrnych liściach; Ayyar mógłby przysiąc, że słyszy ich zapraszające trzepotanie ze swego siedziska wysoko na gałęzi mniejszego drzewa. Skąd tutaj Wielka Korona?!

Wydawało się, że jest tak blisko, lecz było to tylko złudzenie. Nie mógł sobie nawet wyobrazić mnogosci pulapek leżących po drodze do niej, ale nic nie byłoby w stanie zniechęcić go do próby przejścia.

Zadał sobie pytanie, czy zdoła utrzymać właściwy kierunek jeśli zejdzie na ziemię i niższe drzewa przesłonią mu widok. Wpatrywał się w odległe drzewo próbując zawczasu znaleźć jakieś punkty orientacyjne w terenie, które mogłyby mu służyć pomocą w wędrowce na ziemi.

Ostatecznie zaczął wędrowkę starym sposobem, po gałęziach, unikając kontaktu z najniższym piętrem lasu. W miarę jak posuwał się do przodu, drzewa stawały się niższe i walejsze, aż zastąpiły je krzewy i Ayyar nie mógł już uniknąć powrotu na ziemię.

Potarł poparzoną dłoń o ubranie. Utorowanie sobie drogi przez gęste zarośla nie wyglądało na łatwe zadanie, a nie chciał używać do tego celu miecza, gdyż nie chciał marnować jego mocy. Od tej chwili będzie musiał radzić sobie własnymi siłami - przeciskając się przez gąszcz.

Walczył tak przez jakiś czas, aż dotarł do słabo porosniętego terenu. Zdawało się, że korzenie Wielkiej Korony wyssały wszelkie składniki odżywcze z gleby, pozostawiając niedzne resztki wystarczające jedynie dla skarlalej roślinności. Posuwał się dalej pod jej osłoną, od czasu do czasu wycierając spoza traw, by skorygować kierunek. Pien drzewa zdawał się rozmywać w drzącym świetle księżyca zamazującym jego kontury. Wewnętrzna czujność nieco osłabła i Ayyar prawie uwierzył, że dąży na spotkanie rzeczywistości a nie iluzji.

Grunt pod jego stopami wciąż opadał. Teraz mógł już objąć wzrokiem całe wysokie, srebrne drzewo, do złudzenia przypominające Iftsigę. W dawnych czasach chwały taki jak ten kolosy tworzyły całe miasto, Iftcan.

Ayyar parł naprzód, niepomyślny na smagnięcia gałęzi raniące jego ciało, na liczne upadki. Na drodze mogły czyhać skałce czy trujące wino - nie zwróciłby teraz uwagi na nie. Tak jak nie zauważył głębokiej rozpaczliwej otwierającej się pod jego stopami. Z głową wciąż uniesioną wysoko, by nie stracić z oczu ukochanego drzewa, raptownie zapadł się w ciemność.

Rozdział dwunasty

Znajdował się w jakimś zasnutym mgłą, tajemniczym miejscu. Przed sobą miał zwykłą

plansze do gry z zaznaczonymi polami, na których stały misternej roboty figurki szachowe o znajomych kształtach. Był tam miniaturowy Larsh z zarosniętą twarzą zwróconą ku gorze, zupełnie jakby jego migoczące w mroku oczy mogły go widzieć. Dostrzegł osadnika, przybysza spoza planety w portowym uniformie, oraz małe maszyny, a wszystko to zgromadzone równym szeregiem po przeciwnej stronie planszy, bez wątplenia gotowe do ataku. Po swojej stronie miał nieliczne i mało zróżnicowane figury: Iftow, wspomaganych przez drzewa, Wielkie Korony. Nie wiadomo, skąd wiedział na pewno, że nie mógł uniknąć gry i że chociaż nie pojmował jej zawilosci - bezwarunkowo musi wygrać. Jedyną jego szansą na zwycięstwo było poznanie reguł gry przed ostateczną rozgrywką.

Figurka Larsha pomaszerowała naprzód na swych malenkich nozkach, a na opóźnione miejsce natychmiast podtoczył się jeden z miniaturowych owalnych skafandrow kosmicznych. Gdzieś poza planszą i zasięgiem wzroku Ayyara dało się odczuć głęboką satysfakcję.

To zmusiło Ayyara do działania; wyciągnął rękę i umieścił zielonego wojownika twarzą naprzeciw Larsha. W odróżnieniu od owego pol człowieka - pol bestii jego pionek nie nosił znamion życia; wydawał się zaledwie nieożywiona figurka w jego palcach. Gdy postawił ją na wybranym polu, na tablicy coś błysnęło i między Larshem a Iftem pojawiła się lustrzana bariera, na której przez długi moment trwał odbicie figurki należącej do Ayyara. Kiedy zniknęło, lustro zapadło się w planszę. W szeregach wrogiej armii przybył następny zielony Ift.

I znow, nadal nie mogąc dostrzec przeciwnika po drugiej stronie planszy, odczuł czyjś wyraźne zadowolenie.

Co oznaczał ten ruch? Rzeczywiste zwycięstwo Larshow nad Iftami? Czy użycie zwierciadła, przeniesienie jego pionka w szeregi przeciwnika - były odległym echem czegoś, co się już wydarzyło?

Wyteżył pamięć - jak się tu znalazł? Gdzie się znajdował? Przedzierał się przez las w kierunku Wielkiej Korony.

Potem... nic! Znalazł się tu, z oczami wlepionymi w planszę.

Mysłami był zgola gdzie indziej, próbując znaleźć jakiś sens w tym, w czym przyszło mu brać udział. Musi skupić się na ruchach na planszy i czujnie nań reagować; nie ma zbyt wiele czasu na rozważania.

Kimże jednak był, by grać o taką stawkę? Nie był ani prorokiem, ani Władcą Zwierciadła, tylko Ayyarem, jednym z wielu zbrojnych obrońców Iftcanu. Kimże był, by przemawiać w imieniu...

-Thanth - podszeptwał słaby głos w głębi jego umysłu - moc Thanth, która została przeniesiona aż tu w twoim ciele i w moim...

-Illylle! - błagal myśla o odpowiedź. - Co mam zrobić, Illylle?

-To, co widzisz, że masz do zrobienia. Ale nie daj się oszukać, Ayyarze, niejednokrotnie co innego widzisz swoim sercem, a co innego oczami...

Oczy spoglądają na plansze i pionki... Serce... Nie daj się oszukać? Czuł się zakłopotany, a na dodatek był pewien, że swym nie zdecydowanym zachowaniem daje Wrogowi bron do ręki.

Plansza? W rzeczywistości nie ma żadnej planszy, nie ma watlej linii zielonych pionków zgromadzonych, by stawiać czoła trzykrotnie ich przewyższającym siłom przeciwnika! Musi tylko stanowczo zaprzeczyć iluzji. Ayyar wysunął palec wskazujący, dotknął planszy i skupił na niej swe myśli...

Z punktu, którego dotknął, światło rozprzestrzeniło się między rzędy figur, które nieoczekiwanie wraz z całą planszą obrocily się w nicosc.

Widział jakies białe obiekty wystające z podłoga. Leżał na boku patrząc na skalną ścianę najeżoną kryształami lśniącymi w lodowatym świetle. Unosił rękę i osłonił oslepione oczy. Nawet najmniejszy ruch obolalego, zeszywniałego ciała wywoływał ostry protest, mimo to podciągnął się i usiadł. Ziemię pokrywał czerwony, drobny piasek znany mu z doliny kopców. Palcami drugiej ręki wymacał zimny metal rekojesci miecza i uczył się jej jak tonacy w rzece chwyta się przepływającej kłody.

Wewnętrzny... zewnętrzny... To był obraz zewnętrzny.

Odrzucił głowę do tyłu i wpatrzył się w gore. Ujrzał brzeg rozpadliny i wystająca znad niego ulamana gałąź. Wpadł tu na skutek nieostrożnego marszu ku gigantycznemu drzewu.

Ta myśl spowodowała, że całkowicie oprzytomniał. Jeśli tylko dotrze do drzewa, będzie w stanie stawiać czoła Nienazwanemu w każdej postaci. Coz jednak mogła oznaczać gra na planszy w nieprzeniknionej mgłę? Czy była to arogancka pogrozka? Obietnica pochłonicia i wcielenia we własne szeregi wszystkiego, co poważy się wystąpić przeciw Nienazwanemu? Sednem owej tajemnicy, której nie potrafił rozszyfrować, było lustro.

A teraz - drzewo czekało.

Ayyar utykając bolesnie rozpoczął wspinaczkę. Początkowo posuwał się z pomocą wystających ze ściany kryształów, potem napotkał przewieszki, których nie potrafił sforsować. Pokustykał w poprzek rozpadliny szukając dogodniejszego miejsca. Ściana wciąż rosła i stawała się coraz bardziej stroma. Zniechęcony powędrował w przeciwnym kierunku, lecz tu skały nad głową zbiegaly się w sklepienie ciemnej jaskini.

Próbując wspiąć się to tu, to tam został prawie zasypany przez lawinę poruszonej ziemi. Nie było drogi w gore ściany.

Poddał się więc i ruszył w dół.

Drogi ograniczały rosące coraz wyżej ściany. Opadała ona stromo w dół i w prawo, w stronę, gdzie rosło ogromne drzewo. I wtedy patrzeć w górę, wysoko ponad głową, w pol drogi do nieba - ujrzał potężne konary. Wszedł w cień drzewa.

W miarę jak droga skręcała w prawo, cień gestniał i mroczniał. Dawne przekazy twierdziły, że cień drzewa ma potężną niszczącą moc... To drzewo stało w samym sercu domeny Nienazwanego...

Ayyar przystawał od czasu do czasu, aby popatrzeć na baldachim nad głową, aby znów rozkoszować się przebywaniem w obecności Wielkiej Korony. Dopiero wtedy powoli dotarło doń, że nie była to ta Iftsig, za którą tak tęskniło jego serce.

Nie zaszeleścił ani jeden liść nad jego głową. Oczekiwał, że Wielka Korona przywita go, jak powinna witac Iftę, ale cisza i uczucie nicności nie zmieniły się ani na jotę.

Poznał ongiś martwe wieżycę Iftcanu, białe i okropne jak kości, wzbudzające w mijającym wędrowcu rozdzierające serce uczucie dotkliwej straty. Taka była śmierć Wielkich Koron.

Instykt Iftę podpowiedział mu, że za pustką tu panującą nie ma śladów minionego życia, tylko nicosc czegoś, co nigdy nie było żywe. W tej samej chwili zorientował się, że pietrzace się z obu stron przypory nie były jak dotychczas walami ziemi, a gigantycznymi korzeniami. Stanął u stop drzewa.

Ich potężne sploty wspierały je tak samo jak ongiś w Iftcanie. Do złudzenia przypominało sama Iftsigę - lecz to drzewo było martwe od zarania. Było tak samo nieprawdziwe jak Vallylle - zwierciadlane odbicie prawdy, zawierające nie więcej życia niż powierzchnia, od której się odbijała.

Może to przynęta w pułapce zastawionej na Iftów? W uścisku dłoni Ayyara rekojesc miecza stała się cieplejsza, a z jego czubka trysnęła srebrna iskra. Ta droga była mu bez wątpienia przeznaczona - nie było odwrotu.

W miarę jak zbliżał się do samego pnia drzewa, dostęp światła odcinały wysoko nad jego głową zbiegające się korzenie. Gdy wkroczył w głęboką ciemność między nimi, doświadczył takiego uczucia osamotnienia, oddalenia od przedstawicieli swego gatunku - być może już na zawsze, że pełen obaw i złych przeczuc wydał cichy okrzyk:

-Illylle!

Nie oczekiwał wprawdzie odpowiedzi, lecz mimo to jej brak zmroził mu krew w żyłach. Poczł się jak ktoś, za kim zamykają się drzwi więzienia, kto słyszy zatraskujący się rygiel zamka i doskonale wie, że nigdy już stamtąd nie wyjdzie. Nie mógł się odwrócić - znalazł się pod czyjś wpływem zupełnie jak wtedy, gdy skafander sam ponosił go do podziemi. Tym

razem nakaz pochodził nie od Nienazwanego, lecz z energii zmagazynowanej w nim samym.

Miał zewnętrzna powłoka pnia; słabe czerwone światło wydobywające się z ziemi oświetlało każdy krok, zupełnie jakby stapał po zarzaczach się jeszcze węgielkach gasnącego ogniska. W takim to otoczeniu ponownie spotkał się oko w oko z Iftem. Ten osobnik nie przypominał wodzacej na pokuszenie Vallylle. Jego zniszczona twarz przecinała blizna po szpetnie zagojonym ciele, charakterystyczna dla byłego wojownika, a usta układały się w gorzki grymas. Miast miecza w ręce trzymał złamane drzewce sztandaru, który zwisał pomiędzy drzazg podarty i poplamiony.

Pamięć ocknęła się i odpowiedziała imię:

-Hanfors...

Wyszeptał to imię prawie bezgłośnie. Nazwany trwał nieporuszony jak kamienny posąg. W szeregu obok, jak okiem sięgnąć, stali następni: wszyscy wojownicy, którzy kiedykolwiek prowadzili Iftów ku sławie lub klęsce. Ayyar znalazł tych spośród nich, którzy walczyli za jego czasów, w dniach, kiedy i jego miecz zakosztował krwi Larshow. Ale byli tam również bohaterowie wcześniejszych i jeszcze wcześniejszych czasów...

Nagle w jego myśli zakradł się ślad wątpliwości - to prawda, że Hanfors poprowadził ich na przegrana wojnę, tak samo Vanok i Selmak. Lecz inni? Przecież znajdowali się tu również wojownicy z epoki Zielonego Liścia, kiedy Nienazwane pozostawało skrepowane Klatwa. Żyli oni w czasach chwały i rozkwitu, a nie upadku swej rasy. A więc, jeśli miałoby to być wyrazem triumfu Nienazwanego, to żadna z tych uosabiających zwycięstwa Iftów i upokorzenie ich odwiecznego wroga postaci nie pasowała tu. Ich obecność zadawała kłam mitowi o niemożności wygrania z Nienazwanym. Ayyar nie wiedział dlaczego był przekonany, że to drobne odkrycie jest bardzo ważne.

Nie umiał ani nawet nie próbował rozstrzygnąć, czy stoi naprzeciw żywych Iftów, czy figur gloryfikujących zwycięzców; nie miał też zamiaru dochodzić prawdy. Potem ujrzał po przeciwnej stronie bliźniaczy rząd postaci. Te były uzbrojone - pierwsze dzierżyły miecz i walczyły jak Iftowie, następne inna broń. Lecz ci stojący najbliżej to Larshowie. Ayyar siedł wzdłuż szeregu przyglądając się im z rosnącym zdumieniem, gdyż znacznie różnili się między sobą. Początkowo ledwie czelakowskie stworzenie prostowało się i stawało coraz wyższe, a gesty kudły porastające całe ciało zrzędy i stopniowo zanikły. Ayyar stał między dwoma osobnikami - ostatnimi w swoich szeregach. Ift wyglądał tak samo jak zawsze, choć nosił całkowicie nieznaną odmianę ubrania. Natomiast osobnik w szeregu po prawej z całą pewnością nie był Larshem! A ten ubiór kryjący jego szczupłą sylwetkę - to przecież skafander kosmiczny! Reka owej postaci ścisnęła broń niejasno przypominającą pozaplanetarny blaster!

Kolejność postaci w obu szeregach była odwrotna Iftowie od formy prostszej zmienili się niewiele, chociaż Hanfors stojący na przedzie był z nich najdoskonalszy. Zgola odwrotnie

przebiegala linia Larshow - ukazywala powolna ewolucje od prymitywu do cywilizacji dostatecznie rozwinietej, aby siegac gwiazd.

Ile wiec stuleci minelo, odkad Iftowie znikli z powierzchni Janusa? Jak dlugo trwala ewolucja Larshow i nastepnie ich wymieranie? Mysl o takiej otchlani czasu przerazila Ayyara. Byl ostatnia rozpaczliwa odpowiedzia Iftow na wymieranie ich gatunku. Niosl jako czesc siebie wspomnienia czlowieka maszerujacego ramie w ramie z Hanforsem, w czasach gdy Larshowie byli jeszcze polzwierzetami. Ilez to lat temu...? Poczul zawrot glowy i czym predzej odsunal od siebie rozwazania dotyczace czasu.

Czyzby wiec Larshowie pod przewodnictwem Nienazwanego polecili do gwiazd? Co sie stalo potem, co polozylo kres ich cywilizacji, co tak skutecznie wymazalo jej slady z powierzchni Janusa? Caly ten czas drzewa Iftcanu, lub przynajmniej ich czesc, trwaly, trzymajac straz, czuwajac nad nasionami Iftow. Mogloby sie zdawac, ze na przekor calemu zadufaniu Nienazwanego, ta gleboko ukryta komnata dowodzi niezbicie wyzsosci wiedzy i doswiadczenia Iftow. Larshowie nadeszli i przemineli, a Iftowie znow przemierzali Las.

Jest ich, nowych Iftow, tak niewielu - zaledwie garstka tutaj i kilku dalszych za wielka woda. To jeszcze nie narod, mniej nawet niz Kompania Pierwszego Kregu. Jaka mogliby miec szanse, nawet wyposazeni we wszystkie swoje umiejetnosci - przeciw Nieznanemu, gotowemu na wszystko?

Ayyar nie chcial dluzej patrzec na szeregi Iftow i Larshow. Dreczyla go wciaz mysl, ze Nienazwane ponioslo porazke - Larshowie stali sie przeszloscia. Czyzby probowalo uzyc magii, aby ich ponownie ozywic?

Nastepne drzwi, nastepna komnata... W czerwonej poswiacie majaczyly maszyny, dziwaczne przyrzady prawdopodobnie sluzace do latania, inne przeznaczone do poruszania sie po ziemi. Staly pokryte tak gruba warstwa pyłu, ze z trudem przychodzilo wyobrazic sobie, od jak dawna tak trwaja. Stworzone przez Larshow, dzieło ich umyslow i rak, teraz martwe jak ich konstruktorzy.

Nie bylo mu jednak dane dlugo kontemplowac maszyn.

Miecz w jego dloni nagle ozyl, zwrocil sie w kierunku podlogi i nie dal sie poruszyc. Stawal sie coraz ciezszy, ciagnac jego reke, ramie, cale ciało w dol, az czubek dzgnal w podloze. Znajdowalo sie tam pekniecie, z ktorego pod dotknieciem miecza wydobylo sie oslepiajace swiatlo.

Podloze poczelo sie zapadac; szczelina okazala sie brzegiem platformy, takiej samej, jaka napotkal w dolinie kopcow. Skrzypiac, zjezdzala powoli - byla w widoczny sposob w gorszym stanie od tamtej.

W dol... ostroznie balansowal na niestabilnej powierzchni. Wciaz jeszcze widzial otwor nad glową i czerwona poswiata. Dookola bylo jednak mroczno. Cos zazgrzytalo i platforma

zatrzymała się. Z góry spadła gruda ziemi. Ayyar przesunął się i poczuł pod butami gładką powierzchnię. Znowu trafił do podziemi.

Gdy tylko zwrócił się w lewo, miecz rozjarzył się i ciepło z rekojesci rozeszło się po całym jego ciele. Platforma nie podniosła się i nie zamknęła otworu, a więc tym razem pozostawała mu droga ucieczki. Ostrze miecza lśniło żółto, a nie zielono lub srebrzysto, jak widział to poprzednio.

Ayyar był pewien, że miecz oddaje mu swoją energię.

Wiedziony przez tajemną wolę, która go przywiodła do domeny Nienazwanego, podążył śmiało korytarzem przed siebie.

Korytarz wiodł prosto; w ścianach nie było żadnych drzwi.

Cały czas czuł napływ siły wzmagającej jego czujność i gotowość. Jednakże Ayyar był przekonany, że nie była to moc pokrewna Thanth, lecz raczej coś stąd pozwalało mu na regenerację energii.

Dotarł do zamkniętych drzwi, które zlekcewazyły jego wszelkie wysiłki zmierzające do ich pokonania, dopóki nie dotknął ich mieczem. Odpowiedzią był tak oslepiający błysk, iż musiał zasłonić oczy. Poczuł gryzący, duszący podmuch powietrza, uderzający prosto w twarz. Gdy osmielił się spojrzeć, ujrzał rozgrzany do białości, stopiony brzeg metalowych drzwi, które pod naciskiem jego ramienia runęły do przodu.

Wstąpił w rozległą przestrzeń, która natychmiast pochłonęła całe światło wydobywające się z miecza. W pobliżu znajdowały się cienkie metalowe prety, a między nimi niezliczone rzędy lusterek, upakowanych ciasno, lecz nie stykających się ze sobą. Pokryte były grubą warstwą kurzu. Z wielką ciekawością potarł palcem powierzchnię najbliższego i stwierdził, że pod pyłem znajduje się druga nieprzezroczysta warstwa, wysuszona i krucha, odpadająca całymi poszarpanymi płatami.

Ayyar przybliżył światło miecza i przyjrzał się obrazowi w zwierciadle - kobieca twarz o szeroko rozstawionych oczach, cera koloru kości słoniowej, gesty żółte włosy. Ani Ift, ani Larsh - raczej, zdecydował, końcowy produkt ewolucji tych ostatnich. Posłużył się pamięcią Nailla - przez port na Korwarze przewijały się rasy z tysiąca światów czelakształtne i nieludzkie, a jednak ta twarz nie przypominała mu żadnej widzianej uprzednio. Wpatrywała się w niego jak żywa, jakby miała za moment don przemówić.

Zielona Przemiana, która uczyniła z niego Ifta, zaszczepiła mu jednocześnie odraze do rodzaju ludzkiego. Patrzeć w te nieruchome oczy odczuwał nieopisaną nienawiść... Dlaczego? Coż złego mogło jemu lub jego gatunkowi wyrządzić to odbicie?

Chyba że - lodowaty dreszcz przeszył go do szpiku kości - chyba że z tego lustra może odrodzić się istota w nim ukazana. Czyżby to właśnie przydarzyło się Larshom:

zredukowanie do portretu w magazynie? Z drugiej strony był świadkiem, że Nienazwane używa teraz nowych lusterek do budowy niewolników. Tutaj - zatoczył mieczem łuk, oświetlając wszystko dookoła - znajdowały się niezliczone zasoby wizerunków, potężna armia, a może nawet cały naród.

Ayyar ruszył między polki; mijal podobne przejścia odchodzące w prawo, w lewo - bez końca wypełnione lustrami. Dwukrotnie zatrzymał się i oczyścił powierzchnię z pyłu: za pierwszym razem spojrzął na mężczyznę innej rasy. Za drugim niespodziewanie odsłonił obraz porosniętej futrem głowy zakończonej ostrym ryjem, należącej do stworzenia obcego gatunku, które można by śmiało nazwać zwierzęciem.

Zauważył przy tym, że ta ostatnia polka była oznaczona czerwono, podczas gdy inne nie nosiły żadnych kolorów.

Przyglądając się dokładniej odkrył polkę oznaczoną na niebiesko. Jeszcze raz oczyścił powierzchnię, z której wyjrzała na niego twarz - jeśli można by to nazwać twarzą. To lustro było mniejsze, zaledwie połowy wielkości poprzednich. Stworzenie widoczne w nim było białe, bezwłose, miało ostro zakończony pysk i małe, okrągłe uszy. Lekko rozchylone szczęki ukazywały kły...

Bielec! No, może nie całkiem taki jak te, które znalazł, ale kto wie, może i one uległy zmianom czy udoskonaleniom w czasie stuleci. W takim razie dlaczego Nienazwane wciąż używało bielców starożytnej rasy, współczesnej Iftcanowi?

A to tutaj - czymże było? Bielcem? Czymś innym? Nic z tego nie pojmował.

Długo spacerował między rzędami, w pyle i ciszy, właściwym miejscem oznaczonym pietnem śmierci. Cały czas przesładował go odor fałszywych Iftów.

Przyspieszał kroku, aż na koniec wzbijając kleby pyłu ruszył biegiem, mijając kolejne polki z lustrami. Nie było widać ich końca. Wypełniała go energia spływająca z miecza; nie zdziwiłby się, gdyby przy ruchu ręki z czubków palców trysnęły mu iskry. Wydawało mu się, że przybycie tutaj nie miało najmniejszego sensu. Cały czas dreczyło go irytujące uczucie, że odpowiedź na wszystkie jego pytania znajduje się w zasięgu ręki, dostępna w każdej chwili - pod warunkiem, że wykaze się dostateczna inteligencja.

Dotarł wreszcie do końca jaskini czy może raczej komnaty z lustrami. Miecz świecący niczym pochodnia wskazał na ścianę zwieńczoną wysokim łukiem. Znajdowały się w niej następne zamknięte naглуcho wieże, ale Ayyar nie zawahał się ani chwili i wypalił je tak jak poprzednie.

Złe czuł się w tym miejscu i niczego nie pragnął bardziej niż opuścić je jak najszybciej.

Otworzył się przed nim korytarz szerszy niż jakikolwiek napotkany do tej pory w podziemiach, o podłodze pokrytej grubą warstwą nietkniętego pyłu. Miecz znowu wskazywał

prosto przed siebie. Dotarł do następnych, tym razem otwartych, drzwi i wszedł do jednego z uprzednio już widzianych szybów. Drabina prowadziła w górę, ale miecz szarpnął potężnie w dół, zmuszając go, aby ukląkł. Tylko, że to, co niegdyś było przedłużeniem drabiny wiodącym w dół, nie nadawało się do użytku. Przeszkoda nie były drzwi - otwór pokrywała, jak pieczęć, spieczona masa kompletnie stopionego metalu. Ayyar przypuszczał, że zrobiono to specjalnie, aby uniemożliwić przejście tą drogą.

Spróbował użyć mocy miecza, ale energia z niego wypływająca nie zdołała oddzielić nawet najmniejszej cząstki wierzchniej warstwy szklistej sklebionej masy. W końcu orez, zupełnie jakby utracił nadzieję na powodzenie, opadł bezsilnie w jego ręce. Wiedział już, że pod spodem znajduje się to, czego tak usilnie poszukiwał - mózg i serce tego miejsca. Sam nie zdołałby sforsować wejścia, aczkolwiek wydawało się, że Nienazwane swobodnie operuje z dala od swego źródła, na Pustkowie i jeszcze dalej, przez swoje sługi i narzędzia.

Czyby dotarł tak daleko, do samego serca terytorium Wroga tylko po to, aby jak Hanfors poznać smak przegranej?

Ayyar przysiadł na piętach, z mieczem na kolanach, uważnie przyglądając się korkowi ze stopionego metalu. Miał uczucie, jakby moc wypełniająca Thanth, używając jego zmysłów, rozważała problem przebicia bariery, a może też i inne sprawy. Zaden Ift sam nie podałby temu zadaniu, jednakże znajdowali się na terytorium Nienazanego i mogliby użyć w tym celu licznie tu zgromadzonych narzędzi lub maszyn, dobrze znanych przybyszom spoza planety, którymi przecież niegdyś byli. W dolinie kopców znajdowały się i maszyny, i ludzie, którzy potrafili je obsługiwać, lecz ci znajdowali się całkowicie pod kontrolą Nienazanego.

Czas nie stał w miejscu! Ayyar zerwał się na równe nogi - dreczenie się myślami o tym, czego nie da się zrobić, było zwykłą stratą czasu. Iftowie muszą znaleźć sojuszników lub sposób na przebicie się przez barierę i dotrzeć do tego, co ukryte jest poniżej. Dla żadnego z nich: Iftów, osadników, pracowników portu - nie ma na całej planecie innej przyszłości poza bezmyślną egzystencją na usługach Nienazanego. Lepiej już zginąć, próbując coś zmienić, niż poddać się bez walki.

Schowal miecz i podszedł do drabiny. Musiał teraz odnaleźć drogę do wyjścia, wrócić przez Pustkowie do Illylle, a następnie do pozostałych - zdecydować razem, co i jak zrobić. Przecież każdy z odmienionych pochodził z innego środowiska, tak że ich różnorodne doświadczenia i wspomnienia pomogą wspólnie stworzyć jakiś skuteczny plan. To, co jeszcze przed chwilą patrzyło oczami Ayyara, odeszło, choć nie poczuł zmiany aż do chwili gdy został sam.

Wspinał się, mijając kolejne poziomy. Niespodziewanie napotkał resztki poszarpanego metalu, zwisające w strzepach, których ostre jak brzytwa krawędzie groziły mu poszatkowaniem, gdy przeciskał się pomiędzy nimi. Unikając osypującej się wokół drabiny ziemi, parł w górę, dopóki jasne słońce nie oslepilo mu oczu, a świeże powietrze nie owionęło twarzy.

Znalazł się gdzieś wysoko, usiadł ostrożnie i rozejrzył wokół. Był na szczycie kopca! Rozplaszczony tuż ziemi podczuł się do krawędzi i ocieniając oczy spojrzął w dół. Wprawdzie długotrwałe błądzenie w podziemnych korytarzach zakłóciło jego orientację względem stron świata, ale bez wątpliwości był to taki sam kopiec jak te, które widział w pierwszej dolinie. A może po prostu powrócił w to samo miejsce? Rozejrzył się w poszukiwaniu jakichś szczególnych znaków orientacyjnych. W oddali z loskotem poruszała się portowa koparka; dojrzał puste miejsce operatora. A więc powrócił do czerwonej doliny; teraz należy tylko przekroczyć ją i dojść do drogi. Na razie jednak nic z tego - była pełnia dnia, a on nie nosił tym razem maskującego przed Wrogiem skafandra kosmicznego.

Rozdział trzynasty

Gdzie podzieli się ci wszyscy otumanieni ludzie, którzy . się tu przedtem? Ayyar przyjrzał się dolinie osłaniając dłońmi. Koparka nadal z trudem brnęła przez piach, po ludziach nie było śladu. Nie był tego pewien, lecz przypuszczał, że droga prowadząca na zewnątrz doliny leży po przeciwnej stronie kopca. Wyciągnął i włożył gogle z liscy; światło osłabło i stało się możliwe do zniesienia. Ayyar spojrzął w dół ocienionego stoku.

Opadał stromo i nie był pokryty roślinnością. Z łatwością mogłoby zezlizgnąć się w dół używając miecza jako hamulca. Koparka przesunęła się właśnie i zrobiła zwrot w prawo. Teraz!

Odepchnął się i w miarę, jak nabierał szybkości, rył coraz głębsze koleiny w ziemi, pchając ją stopami przed sobą. Substancja, z której zbudowano kopiec, nie była właściwie ziemia - obrzydliwie tłusta w dotyku wydzielala dziwny zapach starej zgnilizny, który wywoływał fale mdłości. Na koniec zjechał na piasek i przykleknawszy na jedno kolano zaczął rozglądać się w poszukiwaniu strażników.

Musiał koniecznie utrwalic w pamięci położenie tego szczególnego kopca na wypadek, gdyby powrócił i chciał tedy wejść do podziemi. Stał on blisko ściany klifu przy końcu doliny, ostatni w rzedzie i był okrągły. Ayyar wstając strzasnął z siebie resztki ciemnej substancji i trzymając się w cieniu kopca brnął naprzód w głębokim po kostki, ciężkim piachu.

Minal jeszcze dwa kopce nie napotykając ani ludzi, ani maszyny, która chyba gdzieś się oddaliła, gdy nagle, bez ostrzeżenia nastąpił atak. Szok sparalizował go - straciwszy równowagę, oparł się o ścianę kopca. Spojrzął w dół i ujrzał pierzasta strzałę sterczącą z uda. Ift! Ale gdzie się ukrył i dlaczego do niego strzelał?

Przywierając plecami do ciemnej substancji kopca zdołał jakos utrzymać się na nogach, ale na jak długo? Nie widział samego łucznika, natomiast tamten z pewnością mógł go dosięgnąć bez trudu. Żaden powiew nie niosł zapachu fałszywego Ifta. Krew wypływała z rany szybko... zbyt szybko.

Fałszywy Ift... miecz... Przypomniał sobie, co zrobiła Illylle, gdy kiedyś jeden z tych

przerazających robotów zaczął się na nich w zasadzce. Postarał się obliczyć, skąd wypuszczono strzałę. Miecz w jego ręce zaczął kołysać się w miarę jak pochłaniał moc Ayyara. W przód... w tył...

Druga strzala nie nadlatywała. Czyżby Wrog zapragnął wziąć go żywcem?

Niechaj... to co we mnie... z Thanth... ujawni się!

Nie bardzo wierzył w skuteczność zaklecia, zostało jednak wysłuchane. Ujrzał odcinający się na tle piasku cien, którego głowa kołysała się w przód i w tył, wtórując ruchom miecza.

Tu - do mnie! Ze wszystkich sił starał się wydać myślą rozkaz, który przyciągnie napastnika. Wychodź!

Był to z pozoru Ift, lecz sam wygląd nie był w stanie oszukać węchu Ayyara i jego umysłu.

Lucznik zbliżał się, podrygując i dziwacznie wysoko unosząc stopy, jakby brodził w głębokiej wodzie. Zielona głowa kołysała się z boku na bok, wtórując ruchom srebrzyscie lśniącego miecza w jego ręce. Ayyar uczył, jak jego ciało powoli opuszcza obca moc.

Z jakiego lustra narodziła się ta nieruchoma twarz bez wyrazu?

-Podejdz - powiedział przyciszonym głosem, ledwie osmielając się uwierzyć, że potrafi przyciągnąć go na odległość ciosu.

Obcy każdym swym krokiem wyrażał sprzeciw przeciwko temu, do czego był zmuszany.

-Chodź tu...

Stwor zatrzymał się i zakolebał w przód i w tył, jakby pod wpływem dwu sprzecznych rozkazów. Jego ręce bardzo powoli uniosły łuk. Czyżby władza Ayyara nad nim osłabła?

Nie odważył się dłużej czekać, przypomniał sobie sztuczkę wykorzystywaną w walkach wręcz. Wbił palce lewej ręki głęboko w podłogę, na moment przerzucił ciężar ciała na zranioną nogę i rzucił się na fałszywego Ifta. Chmura czarnego pyłu lecąca przed nim oslepiała przeciwnika. A chociaż padł na ziemię bliżej niż zamierzał, to i tak zdołał ciąć ostrzem zielone ciało wroga.

Fałszywy Ift wzdrygnął się i wypuścił łuk z rak; jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Ayyar z twarzą wykrzywioną bólem dzwignął się i wstał, choć przed chwilą nie był wcale pewien, czy mu się to uda. Upadek odłamał wystającą część strzały i wbił grot głębiej w ciało; nie miał jednak czasu, aby się tym zająć. Zatokował się do przodu i raz jeszcze ciało konwulsyjnie podrygującą głowę fałszywego Ifta. Dał się słyszeć przerazliwy dźwięk, który z pewnością nie wydobył się spod między wykrzywionych warg stworzenia.

Tamten runal na twarz, rece zaglebiwszy w podlozu, i juz sie nie poruszyl. Jego cialo poczelo zeslizgiwac sie po zboczcu, az spoczelo na piasku przykryte warstwa ziemi, ktora pociagnelo za soba.

Ayyar chwile obserwowal martwego nieprzyjaciela, aby upewnic sie, ze nie powroci do zycia. Wowczas zajal sie wlasna rana. Mimo przerazliwego bolu udalo mu sie wyrwac grot strzaly. Mial nadzieje, ze zdola kontynuowac marsz. Oddarl pas materialu ze swego ubrania i uzywajac luku Ifta jako usztywnienia, zabandazowal zraniona noge.

Ile jeszcze podobnych stworzen czailo sie w tej dolinie? Przeszukiwal wlasnie wzrokiem zacienione miejsca, gdy nagle podskoczyl, uslyszawszy metaliczny brzek za plecami. Byla to ladowarka, ta sama, ktora widzial za rzeka - ilez to juz dni temu? Okrazala kopiec, kierujac sie wprost na niego, zupełnie jakby celowo naprowadzana, by zwalic go z nog. Ayyar, kustykajac, z trudem ukryl sie za krzywizna nasypu.

Ladowarka sunela dalej, az dotarla do miejsca, gdzie lezal rozbity robot. Ayyar niejasno spodziewal sie, ze maszyna zawaha sie; trudno bylo mu uwierzyc, ze nie ma nikogo na miejscu kierowcy. Ona jednak bez wahania przetoczyla sie, wgniatajac zmiazdzonego robota gleboko w piach. Ayyar powoli uniosl miecz. Jak jednak moglby stawic opor tonom bezmyslnego, pracego przed siebie metalu...

Jesliby skrecila w lewo przy koncu kopca, to nie mialby dokad uciec; nie zdolalby wspiac sie ponownie. Jedyne, co mu pozostalo, to czekac i zadreczac sie niepewnoscia przez niekonczace sie, dlugie sekundy.

Kiedy pojawil sie przed nim przod ladowarki, Ayyar nie mogl sie juz cofnac bardziej - nie bylo dokad. Jednak zwrot, na ktory czekal, nie nastapil; maszyna posuwala sie dalej prosto przed siebie. Ayyar wspierajac sie na luku pokustykal najszybciej jak potrafil w lewo, w kierunku nastepnego kopca.

Posuwal sie jak scigana zwierzyna, bacznie obserwujac otoczenie. Chowal glowe w ramionach, jakby obawial sie nastepnej strzaly. Niepokoj znacznie przewyzszal bol wywolany przez rane.

Caly czas towarzyszył mu zgrzyt ladowarki posuwajacej sie rownolegle do niego, lecz nie zauwazyl zadnego innego ruchu w poblizu. Kulejac i odpoczywajac co chwila, szedl zbyt wolno. Na koniec ujrzal droge u stop zbocza. Zastanowil sie - czy patrolujace skafandry nadal tedy przechodza?

Ruch na drodze. Ayyar rozejrzal sie za jakims schronieniem, lecz niestety, miedzy ostatnim kopcem i droga rozciagala sie otwarta przestrzen. W porywie desperacji przykucnal przy scianie doliny, zdajac sobie sprawe, ze byl to nieprzemyslany i bledny wybor. Opadajaca w dol sciezka nadchodzila jakas grupa postaci. Nie byl to patrol skafandrow, jak sie obawial, lecz... kobiety!

Patrzył, nie wierząc własnym oczom. Niektóre z nich miały zaslonięte twarze, surowy nakaz, którego musiały przestrzegać wszystkie osadniczki z dala od domów. Owijały oblicza pasem materiału z otworami na oczy i usta, co upodabniało je do robotów. Inne zgubiły lub odrzuciły zasłony i szły z odkrytymi twarzami. Paradoksalnie ich nowymi maskami stały się pustka i bezmyślność.

To niebywale - kobiety z osad, nie mające nigdy prawa oddalić się od domu, a z nimi dzieci! Ayyar wziął głęboki oddech. Zdawało się, że Nienazwane pustoszy planetę, ściągając do siebie wszystkich osadników z Janusa.

Kroczyły tak samo wpatrzone w przestrzeń, takim samym równo odmierzonego krokiem jak owi mężczyźni, których widział wcześniej. Niektóre niosły niemowlęta, inne prowadziły większe dzieci za rękę. Nie odzywały się do siebie ani słowem, zupełnie jakby ktoś rzucił na nie urok. Ten widok sprawiał o wiele bardziej przykre wrażenie niż przemarsz mężczyzn. Ayyar całą siłą woli powstrzymywał się, by nie wyjść im na spotkanie, by nie złapać najbliższej kobiety za ramię i spróbować wyrwać z odretwienia.

Naliczył dwadzieścia osób. Nie zatrzymali się dotarłszy do doliny, lecz podawali dalej równym krokiem droga między kopcami, ta sama, która on sam niedawno przeszedł. Patrzył bezradnie w ślad za nimi. Nie byli już jednym gatunkiem i kiedy go mijaly, odczuwał do nich silną awersję, jednak pamięć Nailla ponagliła go do uwolnienia nieszczesnych istot spod władzy okrutnego fatum. Ale nie mógł nic zrobić ponad to, co i tak było jego celem - odszukać drogę do Nienazwanego i pokonać je.

Aby poważnie się na to, potrzebował pomocy, jednak nie ze strony ludzi, których tak łatwo usidlić, ale od przedstawicieli własnego gatunku. Zaczął wspinac się na drogę, zdecydowany nie ogladac się na mała grupkę przedzierajaca się przez piach.

Droga nie zdawała mu się tak trudna kiedy nie schodził, ale teraz musiał liczyć się ze swą raną, a więc posuwał się z trudem i powoli. Ayyar nie miał pojęcia, ile ze swej energii zużył na powalenie fałszywego Ifta, ale i tak był świadom jej powolnego odpływu.

W gore i w gore... Nagle oslepily go refleksy swiatla odbite przez odlamki Bialego Lasu i nie zdolal stlumic okrzyku bolu. Nawet z goglami na oczach obawial sie spojrzec w dal przed siebie chocby przez chwileczke. Slonce palilo jego ciało gdy sie tak czolgal, ciagnac zraniona noge, unikajac obciazania luku, aby nie pekl.

Posuwał się śladem kolein w pokruszonym kryształach. Nasluchiwał, badał wiatr, pragnąc dowiedzieć się, czy jest ktoś przed nim. W pobliżu znajdowało się jedno z wzniesień terenu - wyciągnął rękę chcąc się podeprzec, ale natychmiast ją cofnął, oparzywszy palce. Jako że było to i tak jedyne schronienie w pobliżu, przyczaił się za nim, zacinając zęby, aby zdzierzyć gorąco, nasluchując zbliżającego się chrzestu.

Nie osmielał się patrzeć zbyt długo, wyciągnął tylko miecz. Cokolwiek nadciągało, musiało

byc bardzo ciezkie - skafander czy moze jakas maszyna?

W pole widzenia wysunal sie znajomy czarny ryj. Ayyar spial sie - maszyna, ktora ukazala sie, nie byla przeznaczona do pokonywania lasow czy lak, ale do unicestwienia ludzi. Byl to paralizator, uzywany przez sily obrony portu. Porazal ludzi i inne humanoidy, pozbawial ich wladzy nad wlasnymi miesniami, przemienial nieszczesne ofiary w bezradna trzesaca sie galarete na dlugie godziny, a nawet dni! Nie slyszal wprawdzie, aby uzywano ich na Janusie, ale z pewnoscia ochrona portu miala je w swym wyposazeniu. Jak osadniczki przed chwila, wibrator podazal uparcie naprzod, przyzywany jakimis tajemniczym rozkazem w glab doliny. Ludzie, jego tworczy, nie przewidzieli, ze moglby poruszac sie samodzielnie, bez udzialu kierowcy.

Sciaganie ludzi i maszyn w to miejsce oznaczalo zdaniem Ayyara jedno: formowanie armii. Przeciw czemu? Tym zalosnym resztkom, ktore mogly jeszcze pozostawac we wladzy garstki Iftow? Jesliby nawet zdolali sciagnac reszte swych towarzyszy spoza morza, nigdy nie beda w stanie stawic czola Nienazwanemu na otwartym polu.

Ayyar odczekal, az paralizator oddali sie dostatecznie, i przewyciezajac bol wstal i ponownie wpatrzyl sie w przeciwna strone drogi. Nagle przyszlo mu do glowy, iz byc moze Nienazwane poczulo sie zagrozone? Moze jego pobyt w podziemiach, to, co tam widzial i czego sie dowiedzial - wywolal powazny alarm. Ale nie, te wedrowki zaczely sie juz wczesniej...

O ile wczesniej? Zmarszczyl brwi, analizujac wspomnienia. Obudzili sie na alarm Iftsigi. Ludzie z portu juz wczesniej zaatakowali Las, ale wowczas nie znajdowali sie oni jeszcze pod calkowita kontrola Nienazwanego. Ludzie, ktorzy widzial w obozie, wydawali sie zupełnie normalni. A podczas najazdu falszywych Iftow, ktorego byli naocznymi swiadkami, nie podejmowano zadnych dzialan w celu pojmania osadnikow i uczynienia z nich sprzymierzcencow. Nie, nic takiego nie mialo miejsca dopoki nie wezwali flitera z portu, probujac skontaktowac sie z ludzmi i wspolnie zwrocic sie przeciw Nienazwanemu.

Ayyar pojal oczywista prawde; Nienazwane wynioslo nauke z ich proby kontaktu - takie przymierze byloby dlań zagrożeniem.

Potem udali sie do Thanth i postepowali tam wedlug rytualu starozytnych Iftow. Odpowiedzia Nienazwanego bylo masowe niewolenie przybyszy spoza planety, zagarnianie kazdego czlowieka i rzeczy, z ktora Iftowie moglby sie sprzymierzyc. Po raz kolejny stanal przed zasadniczym pytaniem: co takiego posiadaja Iftowie, czego by Nienazwane tak panicznie sie obawialo?

Kiedys, dawno temu, bohater z plemienia Iftow wystapil przeciw Nienazwanemu i rzucil nan obezwladniajaca Klatwe. Byla ona powtarzana w pozniejszych czasach i utrzymywala Nienazwane w niemocy w jego gniezdzie. Po pewnym czasie przelamalo Ono Klatwe i w pozniejszych latach Iftowie nie potrafili juz przeciwstawic sie potedze Nienazwanego. Iftcan

padł, zdobyty przez Larshow. Czyżby Zło nadal drzało przed Klatwa, czyżby przygotowywało nową armię "Larshow", aby położyć kres wszelkiemu oporowi?

Klatwa! Jeśli nawet jej istnienie było prawdą, to jej istota i sposób narzucenia jej przez Kymona Wrogowi nie dawały się wyodrebnic z legendy i Iftowie późniejszych dni nie potrafili poznać owej tajemnicy. Teraz Ayyar spenetrował podziemia, odszukał zamknięte schody prowadzące prawdopodobnie do gniazda Nienazwanego. Tyle mógł ofiarować tym, których teraz szukał, nic więcej.

Illylle - musi odszukać Illylle. A potem muszą przebyć Pustkowie, dotrzeć do morza i odnaleźć pozostałych. Będzie mu niesłychanie trudno opowiadać o swym niepowodzeniu, ale jedyne, co mógł im zanieść, to szczegółowy opis wszystkiego, co widział. Wówczas może znajdzie się wśród nich ktoś, kto podpowie im jakiś plan działania...

Ayyar był kompletnie wyczerpany; z każdym niezgrabnym krokiem wypływał z niego coraz więcej energii. Może dano mu siłę dla osiągnięcia jednego tylko celu, a gdy go nie zdołał osiągnąć, wyciekła z niego jak krew przesiakająca przez zaimprovizowany opatrunek.

Był zmuszony polegać głównie na słuchu i węchu, trzymając oczy wciąż zacisnięte przed blaskiem słońca, chociaż oceniał, że było już dobrze po południu. Z całego serca tęsknił do chłodu nocy; nie pamiętał, jak dawno temu ostatni raz dane mu było przespacerować się po dniu.

Teraz uwaga... musiał bardzo pilnie uważać, aby nie przeoczyć zejścia do doliny, w której rosły prawdziwe drzewa.

-Illylle? - spróbował zawołać ją w myśli, a wyschłe, spekane usta same ułożyły się w jej imię. Głód i pragnienie rosły, w miarę jak słabła jego moc. Odpowiedź nie nadchodziła.

Rozglądał się za rozwidlonym odłamkiem kryształu pozostawionym jako znak orientacyjny. Dostrzegł go, gdy był już prawie pewien, że zaszedł za daleko. Zataczając się opuścił drogę i szedł zygzakiem, omijając skorupy. Wiodła go orzechowica woni lasu, obiecując schronienie i wypoczynek.

I wtedy nagle ziemia usunęła się spod stop, więc upadł i stoczył się w dół zbocza. Przerazliwy ból w wykreconej zranionej nodze rozjarzył się czerwienią w jego głowie i odesłał go w ciemność.

-Illylle? - Czy to jego głos, taki matowy i ochryply?

Otumaniony, Ayyar otworzył oczy, wdzięczny za cudowny cień na twarzy. Tak dobrze było tu leżeć pod zielonym baldachimem osłaniającym od okrutnego światła. Był zmęczony, tak bardzo zmęczony. Ból... Spróbował unieść rękę i znaleźć źródło bólu w swym ciele.

Ciemność... dobrotliwa ciemność... mogłoby zanurzyć się w niej jak w morzu...

Morze!

Musiał dotrzeć do morza, wraz z Illylle...

Jakże ciężko było porzucić tę zaciszną skorupę. Illylle... morze... inni... Zraniona noga była sztywna i zbyt słaba, by utrzymać jego ciężar. Ayyar uczepił się pnia drzewa i podciągając się, wstał.

Wielkie drzewo, zielony liść,

Cieżka dola Iftow!

Silne drzewo, mocna gałąź...

Z jego warg spłynęła stara inwokacja. Nie nabrała żadnego nowego znaczenia; przecież nie czuł dłońmi szorstkiej kory jednej z Wielkich Koron. A jednak na słowa tej modlitwy przywarł do tego młodego drzewa tak jakby to była Iftsigą.

Być może poruszyło to w nim resztki energii, która Thanth napelniła mu ciało. Zdolał ruszyć się z miejsca i zataczając się od drzewa do drzewa dobiec do miejsca, w którym pozostawił Illylle, pogrążona w letargu, spoczywająca w szczelinie skalnej za stosem kamieni.

Opadł na jedno kolano, starając się nie zginąć zranionej nogi i zaczął wyjmować kamień po kamieniu. Rece mu drżały, tak że musiał silną wolą panować nad każdym ruchem. Zapadał zmierzch, a nadchodzący zmrok przynosił ulgę, jak zapach zielonej oazy odświeżał płuca spragnione powietrze Lasu. Jeszcze cztery kamienie i mógł spojrzeć na nią.

Leżała tak, jak ją pozostawił, z bladą, mizerną twarzą o zaostrzonych rysach, z zastygłym wyrazem głębokiego smutku.

-Illylle - zawołał do niej cicho, łagodnie. Ciężkie powieki nie drgnęły; nie mógł nawet dostrzec, czy dziewczyna w ogóle oddycha.

-Illylle! - Odezwał się ostro, ponaglony strachem. Położył rękę na jej ramieniu i mocno nią potrząsnął. Ciało pod wpływem tego ruchu nieco się poruszyło, nagle prawa ręka opadła bezwładnie i spoczęła dłoń do góry na jego sztywnej nodze.

-Illylle!

Niezgrabnie wydzwignął ją na otwartą przestrzeń. Zimne w dotyku ciało bezwładnie zwisało w jego ramionach. Usiadł, podtrzymując ją; głowa Illylle znalazła się na jego ramieniu, a nogi jeszcze w szczelinie.

Przypominając sobie ich rozstanie ujął jej obie dłonie w swoje, mocno sciskając i pragnąc z

calego serca, aby moc, która mu przekazała, przepłynęła teraz z powrotem i pobudziła ją do życia. Bez rezultatu. Czyżby odebrał jej zbyt wiele, aby teraz udało się ją obudzić?

Poczuł strach całkowicie odmienny od tego, który towarzyszył mu nieprzerwanie od czasu opuszczenia Zwierciadła. Przedtem obawiał się o bezpieczeństwo ich oddziału czy swoje własne - teraz trwoga o dziewczynę przerosła wszystko inne.

Jarvas lub Zwierciadło Thanth - człowiek lub miejsce, jedno i drugie mogło pomóc przywrócić jej życie, lecz żadne z nich nie znajdowało się w zasięgu ręki. Aby dotrzeć do Thanth musiałby przenieść Illylle przez Pustkowie, a to było ponad jego siły. Mogł zrobić tylko jedno: ponownie ją opuścić i udać się na spotkanie Jarvasa, nie tylko z wiadomościami o Nienazwanym, ale po prostu dla ratowania Illylle! Poruszając się powoli, gdyż każdy ruch wywoływał w nim fale bólu, Ayyar pieczołowicie umieszczał na powrót jej lekkie, młode ciało w szczelinie i począł układać kamienie. Staral się przy tym nie pozostawić najmniejszego śladu, że coś zostało za nimi ukryte. Nie miał pojęcia, czy słudzy Nienazwanego mogą tu zaglądać, ale uznał to za prawdopodobne. Gdy już wszystko zostało zrobione, Ayyar przysiadł na długą chwilę, niepewny, czy będzie w stanie wyruszyć. Gdzie znaleźć żywność i wodę? Bez nich nie odważyłby się oddalić z tej oazy. Zielen dookoła pobudziła jego optymizm. Zmusił się do powstania; utykając i zataczając się od drzewa do drzewa, przedzierając się przez gestwiny krzewów, rozpoczął poszukiwania. Na zewnątrz panowała zima, ale tutaj mógł na krzakach napotkać dojrzewające strąki. Natknął się na ziarna fusanu, zerwał pełną garść strączków, otworzył jeden z nich i począł przeżuwać jego zawartość. Ziarna były wprawdzie jeszcze cierpkie, a nie słodkie, ale i tak dodały mu siły.

Zjadł, a resztę nazbieranych zapasów zawinał w rog peleryny, którą zabrał z krypty Illylle.

Woda? Unosił głowę, by zbadać wechem powietrze - słaby zapach wody...? Tak! Tam...

Utykając ciężko udał się do miejsca, gdzie tryskające z ziemi źródło zasilalo leniwy strumyczek. Ayyar zanurzył twarz w jego chłodzie, napił się, pozwalając, aby woda zmyła z jego skóry pył podziemi i doliny kopców. Musiało mu to wystarczyć na drogę przez Pustkowie, gdyż zapasu nie miał w czym zabrać. Lewa ręka przyciskając do siebie zawiniatko z fusanem, prawa wsparł jak zwykle na rekojesci miecza i ruszył ku ścianie doliny. Teraz na południowy wschód przewodnikiem była mu gwiazda.

Nie zatrzymał się, przechodząc koło kryjówki Illylle; obawiał się, że nie miałby dość odwagi oderwać się od niej.

Nadzieja, choć znikoma, była wszystkim, co posiadał. Musiał wspinąć się na czworakach na szczyt stoku prowadzącego do Kryształowego Lasu. Noc dodała mu otuchy, otulając przyjazną ciemnością jak peleryna.

Gwiazdy prowadziły go na południowy wschód. Pelzał powoli, kalekami ruchami, wystawiony na atak bielców, fałszywych Iftów i innych sług Nienazwanego grasujących nocą. Dalej i

dalej, usta zacisniete z bolu. Od czasu do czasu zul ziarna fussanu, starajac sie trzymac je w ustach jak najdluzej.

Czas plynal; Ayyar przedostal sie przez obszar zaslany odlamkami kryształu i wkroczył na pustynie. Posuwał sie przez nia, pilnie rozgladajac w poszukiwaniu ewentualnych kryjowek, gdy nagle ze wschodu wystrzelil w niebo promien swiatla. Znak orientacyjny - dla kogo?

Rozdział czternasty

Ayyar usiadł wsparty o skałę i obserwował światło. Wydobywało się skądś z pogranicza Pustkowiec i dalej położonych, nie zbadanych terenów. Teraz promień był wycelowany prosto w niebo, ale od czasu do czasu przemieszczał obszar dookoła. W takich momentach Ayyar odczuwał gdzieś głęboko wewnątrz wezwanie, przymus, aby podążać w tamtym kierunku. Nie sprawiało mu jednakże kłopotu zapanowanie nad owym impulsem. Gdy się tak przyglądał, promień nagle skreślił w dół i poprzez rzekę wycelowował w ziemię wyrwaną puszczy przez osadników. Przez chwilę zawisł bez ruchu w powietrzu, po czym silny i skupiony opadł, by na koniec poczekać coraz szybciej pulsować. Rozjarzył się tak jasno, że Ayyar nie pozwolił sobie na zbyt duże ryzyko i odwrócił oczy. Domyslał się, iż promień był wycelowany w którąś z osad, prawdopodobnie w celu zwabienia jej mieszkańców w szpony Nienazwanego.

Ciągle jeszcze nie potrafiło ono w ten sam sposób usidlić Iftów, a więc mieli pewną przewagę nad innymi. Ktoż jednak wiedział co jeszcze mogło grasować wzdłuż i w poprzek tej przeklętej krainy? Zataczając się Ayyar opuścił bezpieczne schronienie i wyruszył w dalszą drogę, tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to zraniona noga.

Teren był tu pełen zapadłisk i nierówności, idealnych na zasadzkę, posuwał się więc ostrożnie, nadsluchując, wieszac i czujnie rozgladając się w poszukiwaniu nieprzyjaciół. Raz dobiegło go wycie bielca i stanął jak wryty, czekając, czy nie usłyszy odpowiedzi dobiegającej z sąsiedztwa. Na szczęście usłyszał tylko szum wiatru.

Chmury mknęły po niebie goniąc jedna drugą i zasłaniając księżyc. Zimno przenikało go na wskros. Z doliny, w której panowało nieomal lato, wkroczył w chłód przedwiosnia. W pewnym momencie potknął się o kamień, wsparł zbyt mocno na łuku i złamał zaimprovizowaną podpórę.

Świt był już blisko i Ayyar wiedział, że musi schować się, aby nieco odpocząć; nie dałby rady zrobić ani kroku więcej. Instynkt Ifta wskazał mu kepe bezlistnych zarosli. Z trudem udało mu się wdrzeć do środka, gdzie łamiąc i naginając gałęzie uwił sobie coś na kształt gniazda, zasłoniętego przed niepożądanym okiem. Czuł potrzebę snu tak silną, jakiej nie odczuwał od czasu opuszczenia Zwierciadła. Wziął w usta kilka ziaren, ułożył możliwie najwygodniej zranioną nogę i przestał stawiać opór opadającym powiekom.

Znalazł się ponownie w tajemniczym, zasnutym mgłą miejscu, w którym znowu próbował

stawic czoła niewidzialnemu graczowi. Wydawało mu się, że Iftowie oraz trzy pionki zgromadzili się w zwartej grupie po jego stronie, jakby szykując się do ostatecznego starcia. Natomiast po stronie niewidocznego przeciwnika maszerowała prawdziwa armia: ludzie z portu, Larshowie, imitacje Iftow, osadnicy... Niektórzy z nich wysuneli się do przodu, co według podejrzeń Ayyara miało skusić go do jakiegoś pochopnego wypadu na pozycję wroga. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, tylko studiował dziwaczny układ wrogiej armii, pilnie notując wszystko w pamięci.

Uwagę jego przyciągnęli zwłaszcza fałszywi Iftowie i Larshowie. Iftowie i lustra... Kto wykonał wzorce, według których skonstruowano owe roboty? Czy nie odwzorowano ich z prawdziwych Iftow, wziętych do niewoli w pradawnych czasach? Jeśli tak, to czy owi jency mogli wciąż jeszcze przebywać w podziemiach? Może udałoby się ich ożywić i uwolnić?

A Larshowie, którzy od niezdarnych polzwierząt przebyli długą drogę, ewoluując w cywilizowanych ludzi, z których jednego, ubranego w skafander kosmiczny, oglądał stojącego w szeregu w komnacie pod fałszywym drzewem. Teraz, gdy wpatrywał się w plansze dokładniej, wydało mu się, że pionek co chwile zmieniał wygląd, jakby w wizerunku pol-zwierzecia ukryty był człowiek... Zdziwiło go to niepomiernie, gdyż zakłócało to i zmieniało logikę zdarzeń. Ta myśl nie dawała mu spokoju, dreczyła go bezustannie. Rozwiązanie leżało na wyciągnięcie ręki, lecz wciąż mu się wymykało.

Oczekiwał na ruch niewidocznego gracza, na bolesną naukę dla swojej małej, defensywnej armii. Nagle zrozumiał, że siedzi i czeka tu nadaremnie, że przeciwnik jest po prostu nieobecny. Jednakże nie wywołało to w nim uczucia podniecenia, a raczej przecucie, iż tamten odłożył na bok plansze i pionki, aby oddać się innej, zuchwalszej grze na znacznie większą skalę.

Larshowie... Iftowie...

Ayyar przebudził się - jeśli był to sen, a nie powrót z zaswiatów. Powiew niesł zapach fałszywych Iftow. Nie poruszył się - nasłuchiwał, patrzył...

Niewiele mógł zobaczyć przez krzewy, lecz jego słuch działał. Wrogowie nie starali się ukryć swego nadejścia: wyraźnie rozróżniał dźwięk obcasa zeszliżgującego się po kamieniu, otarcie się krawędzi peleryny czy nogi o galezie. Nie zdradzając swej obecności, Ayyar powoli unosił miecz; nie wypuścił z dłoni rekojści nawet podczas snu. Bał się, że opuściła go cała energia, a bez takiego wspomnienia jak mógłby wystąpić przeciw robotom?

W szarym świetle poranka ujrzał niewyraźną sylwetkę. Otworzył szerzej oczy na widok twarzy przybysza i o mało nie wykrzyknął na głos jego imienia:

-Amper...!

Poczuł zawrót głowy, a czas zawirował. Amper! Przyjaciel, niegdys bliski jak brat, który był mu towarzyszem podczas bitwy o Iftcan. Najpierw Vallylle, a teraz Amper, który znaczył dla

niego tak wiele. Sam już widok twarzy przyjaciela odblokował pamięć, zalał umysł falą obrazów, jakże realistycznych...

Jedynie fakt, że robot stał nadal w tym samym miejscu, odwrócony od krzaków, uratował Ayyara przed odkryciem; dał mu czas niezbędny do przypomnienia sobie kim lub czym był ten Amper. Falszywy Ift uważnie nasłuchując odwrócił nieco głowę w prawo.

Ayyar przygryzł dolną wargę aż do bólu. Wystarczy, aby robot odwrócił się jeszcze trochę, a z góry z łatwością dojrzy go przykucniętego za pozbawionymi liści zarosłami, i bez wahania tnie mieczem.

Gdzieś z oddali dał się słyszeć wysoki, przenikliwy gwizd, do złudzenia przypominający sygnał zwiadowczy Iftów. Stwor bliźniaczo podobny do Ampera podniósł głowę i powtórzył hasło, zapewne przekazując je następnemu. Czy to możliwe, że natknął się na ścieżkę łowców polujących właśnie na niego? A może to tylko zwykły patrol mający za zadanie przejąć i poprowadzić ludzi podążających za promieniem?

Podczas gdy Ayyar trwał w bezruchu, ledwie osmielając się oddychać, przeciwnik najwyraźniej nie miał zamiaru odejść. Zdawało się, że Amper gra w kotka i myszki z Ayyarem, że falszywy Ift doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności i tylko czeka, aż ofiara nie wytrzyma napięcia i sama się ujawni. Cały czas nie odwrócił głowy i nie spojrzał wprost na Ayyara.

Gdy wreszcie Amper, owinawszy się ciasniej peleryną, rzucił się biegiem przed siebie, Ayyar nie mógł z początku uwierzyć, że uszedł z życiem. Nadal czekał, czujnie nasłuchując, analizując zapachy niesione przez wiatr - czy aby gdzieś w pobliżu nie czai się następny potwór. Nie mógł pozwolić, aby niecierpliwość wzięła górę nad rozważą, chociaż niczego bardziej nie pragnął niż zwiększyć dystans między sobą a repliką swego dawnego towarzysza.

Poznał właśnie następny sekret Nienazwanego - otoż falszywi Iftowie musieli być lustrzanymi kopiami tych, którzy ongiś przemierzali Iftcan. Przywołane spoza życia nikczemne cienie kochanych i szanowanych przyjaciół, którzy tak jak on niegdyś żyli i oddychali. Wyglądało na to, że Iftowie nie znikli bez śladu z powierzchni Janusa. Powrócili - jedni w postaci nowych Iftów, a inni bezdusznych kreatur Nienazwanego.

Ayyar wyczłogął się ze swej kryjówki w zarosłach. Zatrzymał się na chwilę, aby zrobić sobie nową łaskę z gałęzi odartej z liści. Nadchodził dzień i słońce zaczynało rozjaśniać wszystko dookoła, ale nie odważył się czekać, aż znowu zapadnie noc. Falszywi Iftowie i inne stworzenia wędrujące Pustkowiec nie były uzależnione od ciemności. Czas naglił i Ayyar nie zniósłby myśli, że cokolwiek mogłoby go opóźnić w drodze.

Utykając posuwał się naprzód, co jakiś czas odpoczywając w bezpiecznym miejscu. Na razie ich nie brakowało - wylobione rowy, skalne wypiętrzenia, krzaki czy inna roślinność,

ktora zreszta nieraz wygladala tak odstreczajaco obco. iz staral sie unikac jakiegokolwiek z nia kontaktu.

W poludnie legl w cieniu glazu, zujac resztki ziaren, probujac przyniesc ulge wysuszonym i spekanym ustom. Z trudem udawalo mu sie nie myslec o wodzie. Przesladowaly go wspomnienia chlodnych sadzawek w Lesie, bystro rwacych rzek i strumieni. Wzmogl sie wiatr, a w jego zapachu dawalo sie wyczuc morska sol. Zapewne zbлизal sie do celu, ale i tak nie mial pojecia, gdzie na nie konczacym sie brzegu znajdzie pozostalych.

Slonce palilo sie teraz zbyt mocno i zmuszony byl pozostac w cieniu. Nie znajdowal jednak uciezki od wlasnych natretnych mysli.

Amper... ilu sposrod tych, ktorych Ayyar kiedys znal, lubil, kochal, stalo sie narzedziami lub bronia Nienazwanego? Tamta sala wypelniona lustrami przedstawiajacymi obcych, ktorych nigdy nie widzial na Janusie - kim byli?

Czy zyli tu kiedys jako obca rasa? A Larshowie - starsi przeciez od Iftow, czyzby stali sie ludzmi, takimi jak ci przybyli spoza planety? Ile lat mialo Nienazwane? Czy w ogole mozna byloby przypisac mu wiek, w kategoriach ludzkiego rozumu? Czy pochlonelo i trzymalo w niewoli cale narody? Tyle pytan bez odpowiedzi...

Owionela go morska bryza - obietnica wyzwolenia od ohydneho zapachu Pustkowia i stworzen na nim grasujacych. Wprawdzie nie bylo to slodkie powietrze Lasu, ale dawni Iftowie znali i lubili morze. Co znajduje sie za ta plytka odnoga oceanu, w ktorej kierunku teraz zmierzal? Z nadejsciem zimy nowi Iftowie wycofywali sie az za wielka wode, a potem z wiosna garstka ich przyplywala po nastepnych przemienionych. Byl to jedyny sposob, jaki znali, na odrodzenie prastarej rasy, a proces ten niestety postepowal bardzo wolno. Gdyby jednak powiodlo sie przywrocenie do zycia tych, ktorzy zostali pojmani i zamienieni w lustrzane wizerunki, to odrodzenie nabraloby szybszego tempa. Niestety, nikt dotad nie zdolal wyrwac Nienazwanemu jego ofiary. Ayyar niecierpliwac sie ogromnie przeczekal popoludnie, a gdy cienie poczely sie wydłużac i gestniec, wyruszył z wiatrem w twarz jako obietnica bliskiego celu. Coraz czesciej pojawialy sie lachy piasku, az wreszcie ujrzal przed soba wydmy. Z poprzedniej bytnosci na wybrzezu zapamietal zatoke, w ktorej dojrzał oddalajacy sie statek wspolbraci. Przybyl wowczas zbyt pozno, i dlatego musial zimowac po tej stronie wody. Nie wiedzial, gdzie jej teraz szukac - na prawo, czy na lewo?

Im bliżej bylo do morza, tym zimniejszy wiał wiatr. Owinal sie ciasno peleryna i szedl dalej chroniac sie jak mogl od zimna. Ciasnym przesmykiem miedzy dwoma wydmmi przedostal sie na plaze. Na przekor pieknemu zachodowi slonca, niebo ponad przetaczajacymi sie falami bylo posepnie ciemne. Po raz pierwszy od swej przemiany Ayyar poczul, ze moglby wolec swiatlo od ciemnosci. Niebo i mroczny, olowianej barwy ocean tchnely uczuciem osamotnienia i niosly przeczucie zagrozenia.

Fale znaczyly misternym wzorem piasek, krzyzujac sie z platanina sladow wymytych przez

dawno minione sztormy. Ponad jego głowa jakies latajace stworzenia wzbijaly sie w niebo i pikowaly w dol z okrzykiem pelnym nieopisanego smutku. Cos dlugiego, pokrytego luskami wypelzlo z wysilkiem ze spienionej wody miedzy skalami, leglo wyczerpane na mokrym piasku i nagle rzucilo sie z zaskakujaca szybkościa ku kryjowce. Nie potrafil go zidentyfikowac; Ayyar z Ky-Kyc byl lesnym lowca, a nie mieszkancem wybrzeza oceanu.

Nie zamierzal posuwac sie srodkiem plazy, gdyz na plaskiej otwartej przestrzeni czul sie nagi, wystawiony na niebezpieczenstwo. Skradal sie pomiedzy wydmami na wschod, wypatrujac w oddali zatoki. Zblizal sie do tajemniczego cienia - powoli, utykajac, z laska co chwila obsuwajaca sie w sypkim piachu.

Wyrosle przed nim skalne sciany wbijaly sie w plaze jak wyciagniete ramiona, ktorzych rece omywane byly oceanicznymi falami. Z ich poszarpanych szczytow dobiegl go gwizd w niczym nie przypominajacy glosu ptaka.

Na znajomy dzwiek swiadczacy o obecności współplemiencow, zabraklo mu determinacji, by isc dalej. Sily opuscily go ostatecznie, zachwial sie i oparl ciezko na lasce, swym ciezarem wbijajac ja tak gleboko w sypki piach, ze stracil rownowage i runal do przodu. Lezal tak, jak ryba wyrzucona na brzeg, niezdolny do podjecia jakiegokolwiek wysilku.

Gwizd zabrzmial ponownie; tym razem z innej strony. Ayyar byl tak wyczerpany, ze nie potrafil nawet ucieszyc sie z ich nadejscia - lezal biernie i czekal.

Pierwszy nadbiegl Lokatath, potem Jarvas, a za nimi jakis nieznajomy Ift. Lokatath uniosl glowe Ayyara, a Mistrz Zwierciadla uklakl, aby przyrzec sie jego nodze. A wiec bracia zza oceanu przybyli - przed czasem i wprost w zamet wojny.

Ayyar pragnal wyrzucic z siebie wszystko, co wiedzial: Illylle... zablokowane przejście do Nienazwanego... strzepy wiedzy, ktore posiadl z takim poswieceniem w podziemiach. Teraz jednak, gdy nadszedl czas, aby przemowic, wyschniete usta i spekane wargi nie byly w stanie wydac ani slowa.

Przeprowadzili go wokol urwiska na pol niosac, na pol podtrzymujac odmawiajace posluszenstwa cialo. Tam ujrzal, ze w zatoce unosil sie na wodzie potezny pien, dorownujacy rozmiarami Wielkim Koronom. Zdawal sie rzucony na pastwe wiatru i fal, lecz w rzeczywistosci byl statkiem Iftow. Gdy wreszcie dotarli do brzegu, usadowili go bezpiecznie w malej szalupie i powioslowali do otworu w ogromnej kłodzie. Musieli wciagnac go na gore, gdyz sam nie byl w stanie sie wspiac.

Probowal cos wyszeptac, lecz nie zatrzymali sie, by go wysluchac. Wydrazonym w drewnie korytarzem zanieli go do kabiny do zludzenia przypominajacej komnate Iftsigi. Poczucie bezpieczenstwa otulilo go jak peleryna i pomyslal, ze tu nie straszne wydalyby mu sie nawet najzimniejsze sztormowe wiatry. Gdy polozyli go na koi, wydal glebokie westchnienie ulgi.

A wtedy, kiedy Kelemark nachylil sie nad nim, nastal czas kojacej ciemności, dawno

oczekiwanej, pozwalającej odsunąć na bok myśl...

Illyle? W owa ciepła ciemność wdarło się to imię. Ayyar poruszył się gwałtownie, niechętnie przyjmując do wiadomości konieczność udzielenia odpowiedzi. Poczłł słodki, ciepły płyn, który zwilżył mu wyschnięte usta, uleczył obolałe gardło. Zupelnie jakby zakosztował znów soków Iftsigi, poczuł rozchodzącą się w całym ciele energię i przyływ sił.

-Co z Illyle?

Otworzył oczy. Jarvas stojący opodal wpatrywał się w niego, jakby mógł wyczytać odpowiedź na swe pytania wprost z jego myśli.

-Spi w kryjówce... nie potrafiłem jej obudzić - odpowiedział. - To było tak...

Najtrudniej było zacząć, potem słowa same płynęły z jego ust. Opowiedział im obrazowo o podróży od Zwierciadła przez Pustkowie, o odnalezieniu prawdziwego lasu na terytorium wroga i o tym, jak się tam schronili. Opisał, jak Illyle przekazała mu całą moc uprzednio otrzymana od Thanth oraz jak odbył podróż w skafandrze kosmicznym, wreszcie o tym, co odkrył w podziemiach.

Był świadom faktu, że za plecami Jarvasa gromadzą się inni, by słuchać jego opowieści. Nie zwracał jednak na nich uwagi, gdyż dla niego to Mistrz Zwierciadła był przywódca.

Kiedy opisał wizerunki w lustrach i powiedział, do czego służą, fałszywa Wielka Korona w złym lesie i zgromadzonych pod jej korzeniami - usłyszał przyspieszone oddechy. Wtedy po raz pierwszy mu przerwano. Stojący za Jarvasem Ift odezwał się autorytatywnym tonem:

-Opowiedz raz jeszcze o Larshach...

Ayyar niecierpliwil się, pragnąc zakończyć opowieść, lecz wykonał polecenie i powtórzył opis milczącego szeregu, który zaczynał się na polzwierzecym Larshu, a kończył na całkowicie ludzkiej istocie odzianej w skafander kosmiczny.

-I powiadasz, że stali oni w odwrotnej kolejności niż szereg Iftów, pierwszy Larsh, ostatni prawdziwy człowiek, a Ift z ostatnich dni znajdował się naprzeciw Larsha?

Ayyar przytaknął. Jarvas odwrócił głowę i zapytał stojącego za nim:

-Myślisz, że to ma znaczenie, Olyron?

-Być może. Co widziałeś dalej?

Kontynuował, mówiąc o sali pełnej maszyn, o tym, jak jego miecz otworzył niższe przejście, o sali - magazynie luster. Ponownie usłyszał przyspieszone oddechy słuchaczy.

-Czy jesteś pewien, że to, po co ci wysłano, leży poniżej owej blokady?

Ayyar nie wąpił w to; szczegółowo opisał masę stopionego metalu, a następnie swą walkę z fałszywym Iftem, przemarsz osadników z dziećmi, swój powrót do Illylle i na koniec spotkanie z Amperem na Pustkowie. Kiedy o tym mówił wszyscy podskoczyli, jakby wsadzili kij w mrowisko. Gdy opowieść dobiegła końca, ponownie opanowała go słabość. Kelemark musiał to zauważyć, gdyż ofiarował mu natychmiast drewniany kubek zawierający słodki wiosenny sok drzewa, który rozjaśnił umysł i usunął zmęczenie.

-A więc... - Część zgromadzonych rozeszła się, lecz Kelemark, Jarvas i ten, którego zwali Olyron, pozostali. To właśnie on przemówił. - A więc wydaje się, że nasza misja nadal pozostaje nie zakończona.

Ton jego był niewesoły i Ayyar doszukał się w nim krytyki, iż oto wybraniec Zwierciadła nie potrafił wykonać zadania. Odpowiedział Olyronowi równie chłodnym spojrzeniem. Jarvas jednak uśmiechnął się ciepło do Ayyara:

-Wiemy teraz znacznie więcej. Przecież nie można spodziewać się wygrania wojny w jednej małej potyczce. Powiedz, Olyronie, który z tu zgromadzonych mógłby mieć w swej drugiej pamięci jakiś sposób na usunięcie owej przeszkody na drodze do Nienazwanego?

Ayyar usiadł i ostrożnie zaczął poruszać zranioną nogą. Choć zdawała się sztywna, to prawie już nie bolała, a na ranie utworzył się strup, więc nie potrzebował opatrunku.

-Użycie pamięci człowieka przybyłego spoza planety - zwrócił uwagę - oznaczałoby poddanie się władzy Nienazwanego.

-A gdyby tak przekazać wspomnienia następnej osobie - Jarvas nie porzucał rozważań - która użyłaby ich pośrednio, nie wpadając przy tym w pułapkę... Co o tym myślisz Olyronie? Czy byłoby to możliwe?

Ift potwierdził:

-Być może. Wszystko to ma tak głębokie i splecione korzenie, że nie sposób się w tym dobrze rozeznac. Gdybyśmy tylko umieli odczytać znaczenie owego szeregu Larshow... Przeczuję, że miałoby to dla nas zasadnicze znaczenie! Z kolei lustra przedstawiające człowieka, budujące z jego wizerunku robota... albo Ift, którego znalazłeś niegdys... Czy oni zdolni są przetrwać, czy tylko lustra, z których powstał? My podążamy za siłą, docierająca do nas przez Zwierciadło, które w rzeczywistości jest ożywiona lustrzana tafla wody. Od czasu do czasu występuje ono przeciw wrogim siłom i walczy z nimi, podczas gdy odbicia, z którymi mamy do czynienia, biorą przeciwników w niewolę lub ich okrutnie mordują.

Jarvas spojrział na drewniane ściany za ich plecami.

-Tolhron - powiedział z namysłem.

Miejsce smutku i bólesci,

I nieskonczonego zla.

Uwiezieni na Tolhronie

przez krew i przez kosc,

przez zaklecie zaczerpniete

z glebokiej studni,

gdzie czai sie nicosc...

Ayyar zauwazyl, ze Kelemark i Olyron tak samo jak i on nie potrafia nic zrozumiec z tej tajemniczej melorecytacji.

Jarvas zasmial sie krotko:

-Znow echo wspomnien. Byla kiedys taka basn dla dzieci o mistrzu czarnej magii, który trzymal jencow w specjalnie do tego stworzonym miejscu. Nie mogli sie oni uwolnic, poniewaz czarownik stworzyl podloge ich wiezienia z krwi i kosci. Rzucil na nia zle zaklecie, ktore sprawilo, ze wiezniow moglo uwolnic tylko przyniesienie w to miejsce identycznej krwi i kosci. Nie mam pojecia, dlaczego teraz przyszlo mi to do glowy.

-Czy w tej historii bylo jakiegokolwiek powiazanie miedzy Nienazwanym a Tolhronem? - zapytal Kelemark.

-Nie, o ile dobrze pamietam.

-W wiekszosci legend znajdzie sie ziarenko prawdy - zauwazyl Olyron. - Ciekawe, ze wlasnie teraz slowa te przyszly ci na mysl... Gdybysmy tylko wiecej wiedzieli o Klatwie Kymona! Uwazam, ze twój pomysl dzielenia sie wspomnieniami ma zalety. Czy jestes pewien, ze odnajdziesz wlasciwy kopiec? - zapytal Ayyara.

-Zapamietalem go jak moglem najlepiej. A co z Illylle? - Ayyar zwrocil sie do Jarvasa.

-Mysle, ze nie bedzie klopotu z przyniesieniem jej tutaj, a nastepnie przywroceniem do zycia i zdrowia. Wyslemy dwa oddzialy: jeden na ratunek Illylle, drugi do kopca...

-A dlaczego nie jeden, który zabralby ja w drodze powrotnej? - wtracil sie Olyron.

-Po prostu dlatego, ze ta grupa moze nie powrocic! - Ayyar zeslizgnal sie z koi i wstal, opierajac sie reka o sciane; nie probowali mu przeszkadzac.

Olyron podszedl do wyjscia:

-Pojde prosic o wspomnienia, ktore moglyby nam pomoc.

-A, co jeśli ich nie znajdzie? - Ayyar pesymistycznie widział na ich drodze jedynie przeszkody.

-Wtedy będziemy musieli zrobić coś bez tego... rozpoczął Jarvas - gdy nagle przerwał mu Kelemark:

-Wszelkie narzędzia, jakich moglibyśmy potrzebować, znajdziemy w porcie...

-To nasza druga szansa, bo nie wiem, czy dalibyśmy radę zwalczyć silne uczucie odrazy do ludzi - zauważył Jarvas.

-Illylle poradziła mi natrzeć wewnątrz skafandra liśćmi i mogłem po tym pozostawić w nim jak długo chciałem - powiedział Ayyar.

-Coś przyszło mi na myśl; mamy tu substancje, które mogłyby nam służyć równie dobrze - odpowiedział żywo Kelemark. - Pojść i pozbić parę z nich, nigdy dotąd nie spróbowałismy tego sposobu.

I on również wyszedł.

Jarvas patrzył wprost przez siebie, jakby Ayyar stał się nagle niewidzialny. Czy wspomnienie o Tolhornie mogło mieć głębsze znaczenie? Gdyby nie musieli polegać na tak niedźnych strzępach wspomnień z historii Iftów, z pewnością byłoby lepiej przygotowani.

-To jest gdzieś o krok... - Jarvas podniósł dłoń ku górze i powoli poruszał palcami jakby próbując złapać coś niewidzialnego. - Odpowiedź znajduje się na wyciągnięciu ręki, tkwi w czymś, co ty widziałeś, lecz ja nie umiem jej odkryć! Jeżeli to, jeżeli tamto...! Czy już nigdy niczego nie będziemy wiedzieć na pewno?

Rozdział piętnasty

Wszyscy przebywający na statku zebrali się, aby wymienić wspomnienia. Jeden po drugim odpadali kolejni Iftowie, aż wreszcie Olyron przemówił do pozostałych. -Bracia! Czy nie wydaje się wam dziwne, że praktycznie wszystkie nasze wspomnienia pochodzą jedynie z ery Zielonego lub Szarego Liścia, a nie ma wśród nas nikogo z czasów Blekitnego, będącego złotym wiekiem naszego narodu? Albo że wszystko, co wiemy o Klatwie Kymona, pochodzi wyłącznie z legend? Oznacza to, że ci, którzy zaplanowali naszą przemianę, korzystali ze wzorców pełnego życia okresu Zielonego Liścia i podupadającego Szarego. Ale dlaczego nie czerpali z czasów naszej minionej potęgi - z ery Blekitnego Liścia? Czy były to dla nich już tak odległe czasy, że nie potrafili przywołać osobowości sprzed wieków, aby ułożyć je w pułapkach? A może była jakaś inna ważna przyczyna, sprawiająca, że tamten okres był dla nich niedostępny?

-Jakie może to mieć znaczenie? - zapytał jeden z braci.

-Nie wiem, ale z pewnością wiedza o czasach Kymona mogłaby nam wiele wyjaśnić i podpowiedzieć. Trudno wygrać z kompletnie nieznanym przeciwnikiem; prędzej czy później niewiedza obróci się przeciw nam samym.

-Jeśli nawet brak nam informacji o Kymonie - przypomnij im Jarvas - to wiemy co nieco o Jattu Nkoyo.

Skinal na Ifta po swej lewej stronie. Ze wszystkich tam obecnych tylko Jeyken, ongiś znany jako Jattu Nkoyo, technik naprawiający roboty, mógł im pomóc ze względu na swój zawód. On też zachował najlepszą ludzką pamięć spośród tych, którymi dysponowali. Musieli jednak korzystać z niej pośrednio, gdyż inaczej sam Jeyken dopuszczały do głosu Nkoyo popadłby we władze Nienazwanego.

-Nie możecie zbyt wiele polegać na tym, co mogę wam ofiarować. - Jeyken rozłożył ramiona jakby w geście odmowy wykonania zadania znacznie przerastającego jego siły. - Tak naprawdę potrzebujemy solidnej wiedzy inżyniera i jego znajomości specjalistycznych narzędzi.

-Ale ponieważ nie spadną one z nieba - sucho zauważył Olyron - zrobimy, co się da, z twoim udziałem. Przekaz Drangarowi co wiesz, krok po kroku sprawdzając obserwacje Ayyara; może coś wyjaśnicie.

-Zastanawia mnie to urządzenie w kształcie kolumny wysyłające promień widywany nad Pustkowiec - wtracił się Jarvas. - Zbliża się czas przybycia statków kosmicznych z zapasami. Czy przypuszczacie, że ów sygnał mogłoby sprowadzić któryś z nich na Pustkowiec? Te poruszające się samodzielnie skafandry muszą pochodzić właśnie ze statku międzyplanetarnego. Zresztą kiedyś znaleźliśmy tam jeden z nich, starego typu. Równie dobrze mogą tam być i inne.

-A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, proponujesz wyprawę na źródło owego światła, nawet jeśli by miały to mieć dla nas poważne konsekwencje? - zapytał się Olyron.

-Jeśli Ayyar ma rację i to urządzenie jest obecnie wykorzystywane do sprowadzenia pozostałych osadników na Pustkowiec, to od dawna stanowi ono dla nas zagrożenie - odparł Jarvas. - Uważam, że powinniśmy wysłać tam trzeci oddział.

Olyron rozejrzył się sceptycznie dookoła, powatpiewając, jak Ift bez udziału maszyn i narzędzi miałby sobie poradzić z takim zadaniem. Ayyar był skłonny zgodzić się z nim. Jattu Nkoyo był tylko technikiem naprawiającym zepsute roboty, a do unieszkodliwienia kolumny wysyłającej hipnotyzujący promień czy do utorowania drogi w podziemiach potrzeba znacznie głębszej inżynierskiej wiedzy.

Mimo to raz jeszcze opisał im dokładnie i szczegółowo masę stopionej substancji. Wtedy Jeyken przechylił się do tyłu i popatrzył na Ifta, który miał przejąć całe jego techniczne doświadczenie.

-To wszystko może okazać się niemożliwe do wykonania. Jeśli dysponowałbyś piłą laserową, mógłbyś spróbować nadtopić brzeg wokół korka i oddzielić go w całości od otworu. Lub, jeśli korytarz na niższym poziomie biegnie równolegle, mógłbyś wyciąć fragment podłogi i pozwolić, aby spadł na dół. Jednakże bez piły laserowej... - Potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Zdaje się, że powiedziałeś, iż skafandry kosmiczne zachowały pasy z dodatkowym wyposażeniem? - zapytał Ayyara, a kiedy ow przytaknął, kontynuował spekulacje: - Z pewnością nie uda ci się przepalic korka za pomocą samych ręcznych narzędzi, tak jak energia miecza poradziła sobie z drzwiami. Drzwi... - powtórzył z namysłem.

-Co z nimi? - ponaglił go Jarvas, gdy Jeyken zamilkł.

-To miejsce, te podziemia, jak je nazywałeś, musiały zostać zbudowane przez astronautów, przybyszy ze świata zewnętrznego. Czyż nie miałeś wrażenia, że wydają ci się znajome?

-Rzeczywiście!

-A ile poziomów miałeś, wspinając się po drabinie?

-Dwa.

-Czy korytarze na każdym z nich rozchodziły się, tworząc taki sam wzór? I jak daleko od siebie znajdowały się poziomy, o ile szczebli drabiny?

Ayyar zamknął oczy próbując wyobrazić sobie podziemną drabinę. Czy rzeczywiście korytarze na każdym z poziomów rozmieszczono według tego samego planu? Chyba nigdy jeszcze nie wysiłał tak mocno pamięci.

-Myślę, że poziom górny miał podobną ilość korytarzy biegnących w tych samych kierunkach co na dole. Reszty nie jestem pewien. Było... nie, nie potrafię podać liczby szczebli. - Następny brak w sprawozdaniu, i to taki, którego mógł uniknąć. Dlaczegoż nie zwrócił baczniejszej uwagi na takie szczegóły?

-W takim razie opowiadałbym się za przebicciem się na dół z jednego z korytarzy.

-Przez metalową okładzinę i skałę? Jak, ryjąc w niej paznokciami? - Drangar prychnął pogardliwie. - W swoim czasie orałem pola, ale to była miękka ziemia, no i oczywiście miałem plug...

Jeyken nie odpowiedział mu bezpośrednio. Położył dłonie na pobieżnym szkicu wykonanym przez Ayyara, a przedstawiającym korytarze i drabiny - tak jak je zapamiętał.

-Słaby punkt znajduje się tutaj - wskazał na drzwi do korytarza. - Jeśli jest to typowy projekt statku kosmicznego, to drzwi na wszystkich poziomach zostały osadzone na wspólnej pionowej kolumnie, jedno nad drugimi. A gdzieś w pobliżu musi być w ścianie przejście,

umożliwiający dostęp ekipom naprawczym do zablokowanych systemów. Na statkach kosmicznych jest w powszechnym użyciu robot naprawczy do prac wewnątrz i w otwartej przestrzeni. Różnorodność jego zadań spowodowała, że jest on masywny i wszechstronnie wyposażony, a więc potrzebuje dużo miejsca do manewrow. Jeśli on mieści się w kanale naprawczym, to człowiek zmieści się tym bardziej.

Po chwili ciągnął dalej:

-Wypalcie zamek, o, w tym miejscu, tak jak Ayyar spalił drzwi. To da wam dostęp do któregoś z kontrolnych kabli biegnących w szybie. Oto wasza droga do niższego, niedostępnego poziomu.

-Ciagle tylko jezeli i jezeli - powiedzial Jarvas. - Wszystko to opiera sie na zalozeniu, ze podziemia zbudowano na wzor statku kosmicznego.

-Nie mamy dostępu do dużej piły laserowej, bracia - odparł Jeyken. - Nie widzę więc innego sposobu.

-Z energii miecza nic już nie zostało - zauważył Ayyar.

-A więc musimy pojść skafander i zabrać mu blaster - odrzekł Jarvas. - Jeśli nastawisz go na najwyższy stopień, to tnie wszystko co zechcesz. Drangar, oto za czym masz się rozglądać... - Przeszedł do szczegółowego opisu wejścia do kanału naprawczego oraz tego, co zazwyczaj znajdowało się w środku.

Ayyar osunął się na ławę i wbił wzrok w swe dłonie bezwładnie spoczywające na stole. Nie wierzył, aby zdolali wiele osiągnąć za pomocą planów tak dalece opartych na przypuszczeniach i szczęściu. Już lepiej uznać swoją porażkę, uratować Illyle, przepłynąć się za morze pozostawiając po tej stronie zniszczony Las, Pustkowie i ludzi na pastwę Nienazwanego.

-Nie potrafimy... nie damy rady... Podniósł oczy i napotkał wzrok Jaryasa.

-Pomyśl, czy rzeczywiście jesteś w stanie odsunąć od siebie myśl, że oto cały zasiew na nic, że nasze powoli odradzające się plemię - teraz ledwie mizerna garstka - nie ujrzy następnej wiosny?

Ayyar czuł w sobie jakieś peknięcie. Sok drzewa wprowadził pobudził i wzmocnił jego ciało, ale umysł pozostawił w stanie skrajnego wyczerpania. Wiedział teraz, że Jarvas miał rację; musiała zostać im zaszczepiona potrzeba ocalenia własnego plemienia, zastawiania pułapek i kreowania w ten sposób nowych Iftów. Nie wolno było chować głowy w piasek i udawać, że ludzie, których widział idących w upiornych pochodach, sami potrafią wyrwać się spod wpływu Nienazwanego.

To mogło oznaczać koniec nowego zasiewu, ale lepiej już zginąć w bitwie z Nienazwanym,

jak przystalo wojownikowi, niz zgodzic sie milczaco na powolny zmierzch rasy, a moze i na niewole.

Zerwal sie na rowne nogi. Opuszczajac Zwierciadlo wraz z Illylle mial glebokie przekonanie o celowosci swoich dzialan, czul wielka ufosc we wlasne sily - teraz uczucia te odplynely, pozostawiajac zaledwie nikle zaciekawienie - jak tez sie to wszystko skonczy.

-A Illylle?

-Kelemark i Lokatath przyniosa ja tutaj, jak ja odnajda.

Czekali teraz na nadejscie nocy. Dwa oddzialy juz opuscily zatoke, w ktorej statek-drzewo szykowal sie do powrotu za wielka wode, gdy tylko trzecia grupka zejdzie na lad i ukryje sie. Jeden z oddzialow mial za zadanie udac sie w gore rzeki i sprobowac zrobic cos ze zrodlem wysylajacym hipnotyzujacy promien. Jesli w ogole ktos z nich wierzy, ze jest to wykonalne - pomyslal Ayyar, obserwujac, jak znikaja miedzy wydmami.

Drugi, wiekszy oddzial majacy jego za przewodnika, skierowal sie wprost do siedziby nieprzyjaciela. Szedl nieco sztywnym krokiem ze wzgledu na ledwie zagojona rane, ale na szczescie bez tamtego nieznosnego bolu. Kazdy z nich niosl przytroczony do pasa butelke z oleistym, korzennie pachnacym eliksirem, ktory wedlug Kelemarka i kilku innych Iftow mial pomoc im przewyciezyc odraze przed dotknieciem ludzkich narzedzi.

Bez watpienia szlo im sie znacznie lepiej niz Ayyarowi w drodze powrotnej. Raczo pomykali przed siebie, niestrudzenie nadsluchujac, weszac i rozgladajac sie za nieprzyjacielem. Zdawalo sie jednak, ze sludzy Nienazwanego nie patrolowali tak daleko na poludnie. A moze tylko nie natkneli sie na ich slady.

-Nienazwane nie zwraca na nas uwagi - wypowiedzial glosno swoje mysli Ayyar, gdy przystaneli na chwile, aby napic sie soku i zjesc oszczednie rozdzielone sprasowane orzechowe wafle.

-Na to wyglada - przytaknal Jarvas, i dodal: - albo Nienazwane jest zajete czymś innym, a nas uwaza za mizernego przeciwnika, ktorego z latwoscia zdola zmiazdzc w jednej chwili, gdy tylko upora sie z powazniejszymi zadaniami.

-Ale przeciez cala ta wojna rozpoczela sie od najazdu na Las! - zdumial sie Ayyar.

Czyby Jarvas mial racje twierdzac, ze Nienazwane poniechalo rozprawy z pozostalosciami Iftcanu dla bardziej naglacych spraw?

-Przypusmy, ze dokonczenie zniszczenia umierajacego Lasu nie jest juz teraz takie wazne - kontynuowal Jarvas. - Przypusmy, ze Nienazwane odkrylo, ze osadnicy i mieszkancy portu uzyci przeciw nam, stali sie tak doskonalymi slugami, ze moze Ono zapomniec o Iftach i wykorzystac ludzi do realizacji jakiegos tajemniczego planu. Przypusmy, ze Larshowie

zawiedli jako pomocnicy, a więc Nienazwane zapadło w długi sen, oczekując przybycia kogoś odpowiedniejszego...

-Ale przecież Nienazwane jest prastarym wrogiem Iftcanu i Iftow! - zaprotestował Drangar, jakby nie miało być mu pomysłu, iż byli oni ledwie pyłkami, które można niefrasobliwie zdmuchnąć, aby oczyścić miejsce potrzebne do realizacji jakiegoś innego planu.

-Owszem, dla Iftow Nienazwane jest ich wielkim Wrogiem. Jak wiemy, utrzymywaliśmy Je pod kontrolą przez całe pokolenia, aż pokonało nas na naszej własnej ziemi przy pomocy Larshow. Być może jednak Nienazwane ma jakiś inny cel przed sobą i nasze długie zmagania załedwie opóźniły jego osiągnięcie, a dopiero teraz odkryło medium, za pomocą którego ma zamiar dopiąć swego.

-Przecież osadnicy, załoga portu są tu już od wielu lat. Dlaczego miałoby czekać tak długo, gdyby chcieli ich użyć?

Jarvas wzruszył ramionami.

-Możliwe, że po prostu nie było świadome ich istnienia, dopóki Iftowie nie zakłócili Jego spoczynku. Wtedy, pod wpływem starych wspomnień, raz jeszcze postanowiło nas zniszczyć. Być może nie wie nawet, że jest nas tak niewielu! Poszukując sług na miejsce Larshow, odkryło istnienie ludzi i teraz eksperymentuje z nimi. Myślę, że fałszywi Iftowie byli tylko nie całkiem udanym prototypem wykonawcy poleceń Nienazwanego. Pamiętajcie te kobiety-roboty, której użyło do otwarcia wrot osady? Teraz potrzebuje więcej surowego materiału do dalszych doświadczeń, a więc zwabia ludzi do siebie i formuje ich w zależności od swoich potrzeb...

-I zapewne będąc wielce zaabsorbowane wyzwaniem stojącym przed Jego wiedzą, nie skupia uwagi na nas? - zauważył Kelemark. - To rzeczywiście kuszące wyjaśnienie, lecz nie polegałbym zbyt na nim.

-Spójrzcie! - Rizak wskazał na północny wschód. Pojawił się tam promień, tym razem celował jednak nie w osady, lecz w port.

-Wciąż zbierają zniwo - odezwał się przyciszonym głosem Jarvas. - Najpierw z osad, teraz z portu, a może i z tamtego statku...

Obserwującego promień Ayyara zdumiała ich własna bunczuczność, wiara w to, że są w stanie zniszczyć choćby pomniejsze dzieło Wroga. Nie potrafił uwierzyć w powodzenie oddziału, który zobowiązał się tego dokonać.

Ruszyli truchtem, raz po raz rzucając spojrzenia na promień w oddali, który świecił niezmiennie w stronę portu. Żadne inne znaki nie świadczyły o tym, że Nienazwane przebudziło się i czuwa.

Zdawalo sie, ze Pustkowcie jest opuszczone. O wschodzie ujrzeni, jak swiatlo odbija sie od ruin Bialego Lasu. Ayyar odszukal jeden po drugim znaki orientacyjne terenu. Zielona dolina z pewnoscia znajdowala sie niedaleko.

-Najpierw sprawdzmy teren. - Ayyar zrownal sie z Jarvasem. - Tak sobie mysle, ze jesliby Nienazwane naprawde szukalo prawdziwych Iftow na swojej ziemi, to mogloby zastawic na nas pulapke w dolinie.

-Tak, to prawda - zgodzil sie Jarvas. - Wejde tam od polnocy, a reszta niech porusza sie z najwieksza ostroznoscia.

Bylo ich pieciu. Z ich pierwotnego skladu pozostali Kelemark, z zawiniatkiem zawierajacym leki, wypychajacym peleryne na biodrze, Lokatath i Rizak. Inni ochotnicy, Drangar i Myrik przybyli zza wielkiej wody. Teraz zas wszyscy wykorzystujac cienie i nierownosci gruntu znikli, jakby zapadli sie pod ziemie.

Ayyar ruszyl do przodu, majac zamiar dotrzec do doliny nie od strony drogi, lecz od poludnia. Nie byl w stanie posuwac sie pozostajac caly czas niewidocznym, gdyz przede wszystkim musial unikac pogruchotanych kikutow krysztalu. Polegal na swoim nosie i jak dotychczas nie wyczul zapachu falszywych Iftow ani innych slug Nienazwanego. W plecy wial mu lekki poranny wietrzyk, ktory chwilami wzbudzal dziwne dzwieki na iglicach z krysztalu, a nieprzyjaciele mogli znajdowac sie przed nim.

Brzeg tej strony doliny byl tak wysoki, ze Ayyar nie widzial zza niego tak wytesknionych, pokrytych liscmi galezi. Doszedlszy na krawedz stromego stoku, stanal na samym brzegu i zaczal przeszukiwac doline baczynym okiem. Mimo wielkiej podejrziwosci nie dopatrzyl sie zadnych oznak niebezpieczenstwa. Znalazl dogodne miejsce do zejscia; przez tych pare chwil bedzie musial zaryzykowac, ze zostanie odkryty.

Zeskoczyl i wyladowal prawie po kolana w zielonej roslinnosci. Ostry bol przeszl jego udo. Przed soba mial zarosla, wiec uznal, ze znalazl sie blisko znanego mu strumienia z malym stawem. Uniosl oczy i spojrzal w kierunku, z ktorego mial nadejsc Jarvas. Zobaczyl kiwajaca don reke i odpowiedzial na ten znak.

Wkroczył pod baldachim drzew. Okrazyl wlasnie jeden z pni, gdy nagle stanal jak wryty na widok kolein w zmiadzzonej i polamanej roslinnosci. Ktokolwiek przeszedl tedy, z cala pewnoscia nie liczyl sie z przeszkodami mniejszymi niz drzewo i torowal sobie droge na przelaj. Ayyar nie musial ogladac sladow zaglebionych w mchu, by wiedziec, kto dokonat tych zniszczen.

To jeden ze skafandrow, zapewne czlekokształtny, sadzac z pozostawionych wyraznych odciskow stop, wyryl te sciezke, maszerujac jakis czas temu w dol doliny, a nastepnie z powrotem. Zdradzily go slady - rosliny, ktore nie ulegly zupelnemu zmiadzeniu, powoli sie podnosily.

Ze scisnietym sercem, na mysl o tym, co ujrzy, Ayyar rzucil sie biegiem, podazajac za sladami w kierunku waskiego kranca doliny. Kamienie, tak pieczolowicie przezen ulozone, lezaly porozrzucane bezladnie dookola, a nisza, w ktorej pozostawil uspiona Illylle, byla pusta.

Ayyar stal, nie mogac uwierzyc wlasnym oczom. To wszystko jego wina! Gdyby nie pozostawil jej... Na pewno znalazlby jakis sposob, aby zabrac ja ze soba. Ale nie, on oszedl, pozostawiajac ja na pastwe slug Nienazwanego, ktorzy poj mali ja, bezbronna i uprowadzili. Jezeli jeszcze zyje...

-Czy tutaj ja zostawiles? - To Jarvas dolaczyl do niego.

Ayyar skinal glowa, nie mogac wykrztusic ani slowa. Ile czasu uplynelo, odkad ja zabrano? Moze gdyby opuscili zatoke przed zapadnieciem nocy, zdazyliby na czas...

Jarvas zacisnal dlon na jego ramieniu, zatrzymujac go w miejscu, tam, gdzie ziemia byla zryta przez ciezkie stopy skafandra.

-Uspokoj sie! - Rozkaz, zostal wypowiedziany tak ostrym tonem, ze dotarl do Ayyara przez zamet panujacy w jego glowie. - Co sie stalo, to sie nie odstanie. - Jarvas mowil stanowczo i z naciskiem, powoli oddzielajac wyrazy. - Wyruszmy stad...

-Do luster w podziemiach. - Ayyar, majac w pamieci co tam widzial, wykrecal sie, probujac wyrwac sie z uchwytu Jarvasa.

-Byc moze. Pomysl, coz dobrego przyjdzie nam lub jej z tego, ze rzucisz sie na oslep, nie zastanowiwszy sie najpierw, co chcesz zrobic? Nie wierze, aby mogli oni zrobic z nia cokolwiek, gdy lezy pograzona w takim snie.

Ayyar zwrocil sie do niego twarza:

-A co ty w ogole o tym wiesz!

-Zapadla w sen, gdy oddala ci to, co uprzednio sama otrzymala od Zwierciadla - odparl cicho Jarvas. - Jesli nawet nie pamietam wszystkiego, co wiedzial dawny Jarvas, Mistrz Zwierciadla, to dobrze wiem, ze kto raz byl obdarzony taka moca i przekazal ja komus innemu, nadal znajduje sie pod opieka Thanth. Pamietasz, kiedys widziales jego moc w dzialaniu? Dookola ciebie, a i poza dolina masz dowody jego potegi. Natura Nienazwanego jest tajemnica, podobnie jak natura Thanth. Jednakze my, dzieci Lasu, wiemy, ze w chwilach zagrozenia Zwierciadlo odpowie na nasze wezwanie...

-Ale ja nie jestem Mistrzem Zwierciadla - odparl napastliwie Ayyar. - I moje wspomnienia zawieraja tylko obrazy smierci, spustoszenia i kleski. A gdzie podziewalo sie wtedy Thanth?

-Kto to wie? Lecz czy widzac, jak powstaje ono na nasze wezwanie o pomoc, osmielilbys

sie powiedziec, ze nie bylyby w stanie rzucic wyzwania Nienazwanemu? Czyz moglbys zaprzeczyc istnieniu mocy, ktora sam niosles? Powiadam ci, ze sa nam przeznaczone drogi, ktorych cel nie zostal nam objawiony. Jesli tylko okaze sie to mozliwe, odbijemy Illylle. Czy chcesz, abym ci to uroczyscie przysial?

Ayyar zamrugal, ale nie spuscil oczu z Jarvasa. Podtrzymywal w sobie te wscieklosc, czerpiac z niej sile, pozwalajaca mu zapomniec o strachu.

-Pozostal swiezy slad i latwo bylyby...

-Nie mozemy sobie teraz na to pozwolic. Potrzebowal dluzszej chwili, aby slowa te don dotarly.

Gdy to nastapilo, szarpnal sie i wyrwal z uchwytu Jarvasa.

-To wy nie mozecie! - krzyknal. - Ale ja to zrobie!

-Nie!

I znow zabrzmialo to tak autorytatywnie, ze Ayyar zamilkil.

-Najpierw drzwi, potem...

-Nie! - Teraz Ayyar wykrzyczal swoj sprzeciw.

-Tak! - Jarvas nie zwracajac uwagi na jego odmowe, tym samym rozkazujacym tonem osadzil go w miejscu.

-Pokaz Drangarowi i reszcie wlasciwe drzwi, potem pojedziemy po Illylle. Czy watpisz w moje slowa?

W glosie Jarvasa dalo sie wyczuc hamowane emocje, i to wlasnie ostatecznie zatrzymalo Ayyara.

Ostatecznie Jarvas postawil na swoim. Wstalo slonce i jego blask uniemozliwil im sledzenie promienia. Tym samym nie mieli pojecia, czy drugiemu oddzialowi udalo sie unieszkodliwic jego zrodlo.

Ayyar z calej duszy wyrwal sie naprzod, ale w pelnym swietle dnia nie bylo to mozliwe, poniewaz gogli starczyloby tylko dla czterech sposrod nich. Musieli poczekac na noc lub od pierwszej chwili stanac na pozycji slabszego.

Probowal rozladowac stres stajac na warcie na obrzezu doliny. Pilnie obserwowal wygnieciona w roslinnosci sciezke wiodaca przez las. Jednak jego wysilki pozostaly bez nagrody - nie pojawilo sie nic. Byc moze sily Nienazwanego obawialy sie dnia tak samo jak lftowie. Dookola panowala jednak atmosfera wyczekiwania, napiecie, jakie odczuwa

zolnierz wypatrując ataku nieprzyjaciela. Zupełnie jakby właśnie teraz Wrog wysyłał przeciw nim swoje oddziały, porządkując wojska, przesuwając do przodu swoje pionki na planszy, którą Ayyar dwukrotnie widział we śnie.

W południe jaskrawy blask tak dał mu się w znaki, że musiał wycofać się do doliny, aby w zielonym cieniu poszukać odpoczynku dla oczu. Nadszedł Lokatath.

-Ayyar, wspominałeś coś o kobietach i dzieciach wywabionych z osad...

Ayyar bezmyślnie przytaknął - to wszystko wydarzyło się tak dawno, już długie godziny upłynęły od chwili, gdy znalazł ślad wiodący przez dolinę do pustej niszy.

-Czy poznałeś, z której byli osady?

Ayyar niecierpliwie wzruszył ramionami. Coż to za różnica? Osadnicy znaczyli dla niego mniej niż nic. Ongis był niewolnikiem, potem przemienił się w Ifta, ale jako zaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na osadników - ta ich okrutna, surowa religia, posępne spojrzenie na świat, niechęć do wszystkiego wokół. - Nie mam pojęcia...

-Tak właśnie przypuszczałem. - Lokatath wpatrywał się w polamane krzaki przed nimi. - To było wiele lat temu, nawet nie próbowałem zliczyć jak dawno. Czasami przypominam sobie, że nazywałem się Ongis Derek Yessters. Widzę wtedy jak przez mgłę znajome twarze i słyszę znajome głosy. Tamto życie było tak ciężkie i surowe, że wydawało się nam, iż nawet światło słońca i księżyc nas omija. Nikt z nas nie śpiewał tak jak Iftowie ślawiący piękno Lasu, nikt nie umiałby zachować się w nim swobodnie, nawet gdybyśmy mogli sami decydować. Nadal jednak ich pamiętam... Jestem ciekaw, jak powiodło się tym, których niegdys znalazłem.

-Zostawiłeś kogoś bliskiego? - Jakaś szczególna nuta w głosie tamtego dotarła do świadomości Ayyara. Jego ważne wspomnienia dotyczyły życia poza planetą.

-Ojca, który wysłał mnie do Lasu na spotkanie Zielonej Przemiany, i matkę, która płakała. Pamiętam jej łzy. Teraz zapewne oboje od dawna nie żyją - harówka w osadach nie sprzyja długiemu życiu. Nie wiem nawet, czy rozpoznałbym teraz ich twarze, gdyby stali przede mną. Według ich wymaganie nie byłem silny i dobrze rozwinięty. To odmiennosc od moich krewnych przywiodła mnie do pułapki i odcisnęła na mnie piętno Ifta. Prawda bowiem jest, że tylko tacy podatni na wpływy jak ja Ongis byłem łapczywi na przynęty i doświadczają przemiany.

-Słuchajcie! - Ayyar obrócił się raptownie i stanął twarzą w kierunku drogi prowadzącej w górę po stoku w kierunku Isniaczych, pogruchotanych skorup kryształu. Miał rację; to nie wiatr grał na ostrzach odłamków. Coś nadchodziło droga.

Wspiał się pośpiesznie i wczłogał między ruiny, a Lokatath pośpieszył za nim. Oboj znaleźli schronienie w plataninie powalonych pni i galezi.

Z glebi doliny nadchodzili ciezkim, marszowym krokiem ludzie, najzwyczajniejsi ludzie. Nie byli osadnikami, nosili uniformy lub odziez robocza uzywana w porcie. Bylo ich dziesieciu; stapali jakby nie znali strachu przed tym co przed lub za nimi, a raczej jakby zaprzatala ich mysl o jakims waznym zadaniu do wykonania.

-Czy to roboty? - szeptem zapytal Lokatath.

Ayyar nie byl pewien, ale uznal to za bardzo prawdopodobne. Byli uzbrojeni w schowane w kaburach paralizatory i blastery - oto sludzy Nienazwanego wyruszali wykonac jakies nieznane polecenie.

Rozdzial szesnasty

-Zapewne Nienazwane obsadza port swymi slugami w celu przejecia statku kosmicznego - domyslal sie Jarvas, kiedy go wezwano, aby zobaczyl maszerujacy na polnocny wschod oddzial nieprzyjaciela.-Czy nigdy nie przyszlo wam do glowy, ze Nienazwane moze pochodzic spoza planety? - spytal Rizak. - Przypuscmy, ze przybylo tu z przestrzeni kosmicznej jako wygnaniec, a teraz pragnie wrocic do domu. Moze poprzednie proby zagarniecia statku kosmicznego zakonczyly sie niepowodzeniem, a teraz zamierza sprobowac ponownie?

-To po co mu osadnicy? - zapytal Lokatath.

-Jako Jego sludzy na tej planecie... A moze chce Ono po prostu unieszkodliwic potencjalnych oponentow? Nie moze przestac myslec o tamtych zgromadzonych tysiacach luster z wizerunkami. Moze przywiozlo je tu ze soba...?

-A Larshowie? - wtracil sie Drangar. - Dlaczego wowczas uzylo ich, a nie tamtych postaci z luster, jesli byly tak latwo dostepne?

-Moglo potrzebowac roznych rodzajow slug do wykonania roznorodnych zadan - przerwal mu Jarvas. - Ale te mysl warto zapamietac, Rizak. Iftowie znaja i pamietaja tylko Janusa, a i nasze ludzkie wspomnienia nie przyczyniaja sie do wyjasnienia natury Nienazwanego. Jesli rzeczywiscie przybyloby Ono z przestrzeni kosmicznej wieki temu, to podziemia do zludzenia imitujace korytarze statku kosmicznego bylyby jak najbardziej zrozumiale! Nie rozumiesz? A jesli bylo Ono tak bardzo obce Iftom, to mogli oni od samego poczatku kompletnie nie rozumiec siebie nawzajem, zwlaszcza ze Iftowie wcale nie ruszali sie z planety i byli tak mocno zwiazani z ziemia jak Wielkie Korony, no i nie pragneli zadnej odmiany. Ale my potrafimy zrozumiec znacznie wiecej, gdyz przybylismy tu kiedys z obcych swiatow.

-Myslisz, ze jestesmy lepiej przygotowani, aby poradzic sobie z obcym? - zapytal Myrik, drugi z Iftow zza wody, cichy i spokojny wspoltowarzysz.

-I to takze nalezy przemyslec raz jeszcze. Dla Iftow Nienazwane z pewnoscia zawsze bylo

absolutnie obce. Rasa nigdy nie opuszczająca powierzchni swojej planety bardzo łatwo ulega ksenofobii. Możliwe, że obrzydzenie, jakie odczuwamy obecnie do towarzystwa ludzi i do wszystkiego, czego dotknęli, nie zostało nam zaszczerpione przez Zieloną Przemianę w celu utrzymania nas z dala od ludzi. Może to po prostu jest uczucie, jakim Iftowie zawsze obdarzali wszystkich i wszystko, co nie pochodziło z Janusa. Dla nich - a teraz dla nas - obce uosabiało wcielone zło. Ocena czegokolwiek jest ściśle zależna od przyjętych założeń.

-Przecież Nienazwane jest tu obecne od zawsze - powiedział Myrik - Kymon zetknął się z Nim w epoce Blekitnego Liscia, a od tamtego czasu minęły całe stulecia! Gdyby nasz Wrog był rozbitkiem ocalałym z jakiejś pradawnej katastrofy, nie mogłoby żyć aż do dziś.

-Od jak dawna jesteś Iftem? - Jarvas odpowiedział pytaniem na pytanie.

Usta Myrika poruszały się. Ayyar uznał, że tamten liczy.

-Nazywałem się przedtem Rahuld Urswin, zajmowałem się statystyką komputerową na zlecenie Kombinat. Przybyłem tu w roku 4570 i następnego roku przeszedłem Zieloną Przemianę, która dopadła mnie podczas polowania na wyspach południowych.

-Ty zaś - Jarvas zwrócił się z kolei do Ayyara - dołączyłeś do nas jako ostatni. W którym roku wylądowałeś na Janusie?

-W 4635.

-Ja wylądowałem tu w 4450 czy coś koło tego - ciągnął Jarvas. - Czy zestarzelismy się, ja lub ty, Myrik?

Tamten powoli pokręcił głową przecząco.

-A więc możemy przyjąć, że długość życia Ifta jest znacznie dłuższa niż dwadzieścia lat przeznaczonych ludziom. A na przykład tacy Zacathanowie dożywają blisko tysiąca lat. Spośród ras znanych w naszej galaktyce oni żyją najdłużej. Jednakże jaka część galaktyki zdążyliśmy poznać, nawet odbywając najdalsze loty? Mogą tam cały czas istnieć nieznane nam gatunki, dla których życie Zacathana jest krótsze od jednego dnia.

-Coż więc, jeśli taka istota nie dzieli z innymi gatunkami wspólnego rozumienia czasu? - zaryzykował pytanie Rizak. - Jeżeli pierwsi Iftowie i współczesni przybysze spoza planety są dla Nienazanego zaledwie zwierzętami?

-To mogłoby pasować do ogólnego obrazu, ale nie dowiemy się prawdy, zanim nie staniemy z Nim oko w oko. Tak się składa, że każdy z nas jest w gruncie rzeczy dwiema osobami; trudno wyobrazić sobie lepszy orelz przeciw temu czemuś za zamkniętymi drzwiami niż nasze wspomnienia z mrocznej przeszłości dawnych Iftów, dodane do doświadczeń człowieka spoza tej planety. Jeśli okaże się, że Nienazwane jest obcym na Janusie, to zaakceptujemy ten fakt i opierając się na nim zbudujemy sposób działania.

Wszystko to mogło być prawda, ale nie zbliżyło ich ani na krok do Illylle. Ayyar uważnie obserwował oddział ludzi maszerujących w dali. Może to następna grupa wysłana przez Nienazwane? Jak Iftowie mieliby przeciwstawić się broni, w którą wyposażeni byli tamci?

Odezwał się Rizak:

-Według moich obliczeń czekają nas jeszcze cztery godziny słońca. Musimy czekać, gdyż wędrowka w takim blasku byłaby zbyt trudna i ryzykowna...

Ayyar miał ochotę z całej siły wbijać miecz w ziemię przed sobą. Czekać, czekać, ciągle czekać! A może Illylle nie dano czasu oczekiwania? Nie przywiązywał większej wagi do sugestii Jarvasa, że może ona być bezpieczna ze względu na specyficzny sen, w którym jest pogrążona. Skąd mogą być pewni czegośkolwiek na jej temat? Równie dobrze ta sytuacja może ułatwić zmianę jej w lustrzany wizerunek. Jako Ift odczuwał nienawiść i strach przed Nienazwanym i Jego siłą. Jednocześnie przesładowały go wspomnienia z innego życia. Nauka również ma swoje demony i złe duchy. Łatwiej przyszłoby mu zaakceptować Nienazwane takim, jakiego widzieli je Iftowie, potężna, przerażająca zła moc, niż jako konkretnego, dotykającego, cielesnego obcego.

Reka Jarvasa wyrwała go z zamyslenia i wciągnęła w zielony polcien doliny, podczas gdy Rizak przejął po nim wartość. - Opowiedz nam - poprosił starszy Ift - raz jeszcze o podziemnych przejściach.

Powtarzał im to wielokrotnie, więc dlaczego znów? Na pewno znali wszystko to na pamięć. No cóż, jeśli tak być musi... Cierpliwie, krok po kroku, przemierzył w myśli korytarze, opisując dokładnie wszystkie szczegóły, jakiego pamiętał. Dwukrotnie Jarvas poprosił, aby się zatrzymał. Raz, gdy opowiadał jak zobaczył ciało oficera z portu umieszczone w kontenerze, i drugi raz dla opisu pomieszczenia pod fałszywym drzewem, gdzie szeregi Iftów i Larshow stały naprzeciw siebie.

-Wydaje się, że ciała wizerunków z luster zostały zachowane - zauważył Myrik. Czyżby oznaczało to, że proces ten mógłby ulec odwrotowi? Jeśli tak, to co dzieje się z tymi, którzy posłużyli za wzory dla fałszywych Iftów? Ayyar rozpoznał w jednym swego towarzysza ostatnich dni, a także dziewczynę w fałszywym lesie. Pamiętał nawet ich imiona.

-Ten szereg Larshow - zamyslił się Jarvas. - Jestem przekonany, że w nim ukryty jest klucz do tajemnicy. Gdybyśmy tylko go odkryli, na pewno wszystko by się zmieniło. A co do reszty, czy możemy być pewni czegośkolwiek?

Pozostali zgodzili się z nim. Lecz słońce wciąż stało wysoko, a oni nadal pozostawali wężami doliny. Czas mijał niemiłosiernie.

Kiedy nareszcie wczesnym wieczorem Jarvas zezwolił na wymarsz, Ayyar zerwał się do biegu rozryta droga przez dolinę, ledwie świadomy, co robi. Rizak dogonił go i zagroził mu

droge.

-Chcesz skrecic kark, bracie, zanim go skrecisz ktoremus z tamtych? Zaczynj wreszcie myslec i zachowaj sily na to, co na nas czeka.

Jakos udalo mu sie przelknac to napomnienie. Wreszcie dotarli do doliny kopcow. Ayyar wypatrywal chocby sladu kobiet i dzieci. Nie bylo tu nikogo, nic sie nie poruszalo - nawet maszyny bez kierowcow. Mimo to zachowywali najwieksza ostroznosc przemykajac obok szeregu przyzmi ziemi. Kelemark zatrzymal sie obok jednej z nich, zdrapal odrobine kwasno pachnacej ziemi, roztarl miedzy palcami i powachal. Potem ze wstretem wytarl palce w piasek.

-To nie pochodzi z Janusa - powiedzial - a jezeli nawet, to zostalo w jakis sposob zmienione.

Mowil z duza pewnoscia siebie. Jako ze byl kiedys pracownikiem sluzb medycznych w porcie, on pierwszy wyprawil sie do Lasu Iftcanu w poszukiwaniu miejscowych ziol do eksperymentow. Polaczone osobowosci Ifta i czlowieka daly w jego przypadku uzdrowiciela.

Drangar rozejrzal sie dookola z dreszczem odrazy i otulil szczelnie peleryna:

-Cale Pustkowie zmienilo sie po przyjsciu Nienazwanego. Wszystko tu zostalo skalane.

Ayyar z cala determinacja, na jaka go bylo stac, minal kopiec, ktory poprzednio otworzyl sie dla niego i umozliwil mu wejscie do podziemi. Wskazal tylko towarzyszom miejsce, w ktorym znalazl winde. Cos calkiem niedawno porylo i podeptalo piasek, lecz jego pylista struktura nie pozwalala na dokladne odczytanie sladow . Jasne jednak bylo, ze ostatnio odbywal sie tedy wzmozony ruch.

Doszli do kopca wskazanego przez Ayyara i wspieli sie na jego szczyt. Odkopali ziemie narzucona przez Ayyara w celu ukrycia wejscia. Nastepnie odkryli wlaw i zaczeli schodzic po drabinie na pierwszy poziom. Myrik na chwile oddalil sie, aby zbadac inne otwory, i po chwili wrocil.

-Zuzel, i to mocno zapieczony, na pewno nie zwyklym blasterem!

Korytarze drugiego poziomu ciagnely sie nieco dalej, ale konczyly sie niespodziewanie taka sama masa stopionej substancji. Doszli na koniec do miejsca, gdzie spiek niezwykle mocno przywarl do drabiny i szybu, calkowicie uniemozliwiajac przejscie. Myrik uklakl i dotknal zakrzeplej masy.

-Ta sama robota co powyzej - stwierdzil. - I wykonana bardzo dawno, jak mi sie wydaje. Ciekawe, dlaczego nie zamkneli rowniez gornego wylotu.

-Ktoż zrozumie, czym kieruje się Nienazwane? - powiedział Drangar. On również przyklakł. - Nic tego nie ruszy. Potrzebowalbyś ładunku wybuchowego zdolnego powalić jedną z Wielkich Koron.

Rizak odrzucił pelerynę do tyłu i położył dłonie na biodrach.

-A co z tymi drzwiami do kanału naprawczego o których mówił Jeyken?

Ayyar wskazał im korytarz, prowadzący do sali, w której zgromadzono ogromne ilości luster; Drangar, Myrik i Rizak zaczęli je szukać. On tymczasem niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, wrywając się na poszukiwanie Illylle.

-To musi być tu! - Drangar przycisnąwszy ręce do ściany wyczuł prostokątny otwór. - Ayyar, czy moc powróciła do twojego miecza?

Zapytany wyciągnął miecz, ale z jego czubka nie spłynęła ani jedna iskra.

-Nie - odparł.

-W takim razie spróbujmy czegoś innego. Zabierze to nam mnóstwo czasu, o ile w ogóle się uda.

Drangar wyjął zza pasa zrolowany kawał miękkiej kory.

Położył go na podłodze i rozwinał, po czym wyjął z niego małe narzędzia wykonane z tego samego metalu co miecze Iftow, przeznaczone do pracy w drewnie. Ale czy przydadzą się do metalu?

-Dajcie z siebie wszystko - zwrócił się Jarvas do Kelemarka i Lokatatha. - Ruszamy?

Odpowiedź była natychmiastowa. Ayyar poprowadził ich drabiną na górę. Zapadł już zmrok gdy wychynęli na szczyt kopca. Lokatath unosił głowę i weszyl jak pies.

-Powachajcie!

Poczuł odrazający zapach fałszywych Iftow. Był na tyle mocny, by domyślić się, że Wrog jest blisko.

-Tam!

Jakis cien przemykał między kopcami. Lecz nie był on jedyny - jeśli nie myliło ich powonienie, inni musieli znajdować się jeszcze bliżej. Ayyar badawczo przyglądał się stokom kopca.

Lokatath, który podzielał jego podejrzenie, udał się na rekonesans w korytarz biegnący w przeciwnym kierunku. Reszta w tym czasie odpoczywała, wypatrując ewentualnych

napastników.

Jest! Ayyar dojrzał jakas sylwetke rozplaszczona na bocznej scianie kopca, unikajaca kontaktu wzrokowego z nimi. Stwor znajdowal sie mniej wiecej na trzech czwartych wysokosci od podstawy kopca i nie mial luku. Trzeba bedzie polegac na mieczu. Przypomnial sobie, ze dotad napotykanne przez nich roboty byly uzbrojone w bron nowszej generacji.

Sylwetka na stoku ani drgnela, zupełnie jakby byla swiadoma ich obecności. Ayyar odwazyl sie wyjrzec poza pozostale krawedzie kopca - niedaleko dostrzegl jeszcze jedna.

-Okrzykli nas - szepnal Lokatath - i wspinaja sie...

-Wycofajmy sie do korytarzy - cicho rozkazal Jarvas. Ayyar ostatni zszedl drabina az na drugi poziom o zamknietych wyjsciach.

-Ilu ich jest?

-Co najmniej szesciu! - odparl Lokatath. - Watpie, czy wiecej. I co zrobimy?

-Jest jeszcze ta druga droga... - Ayyara caly czas nie opuszczala mysl o Illylle i o jego wlasnej misji. - Z powrotem przez sale z lustrami i imitacje lasu... - Polozyl juz stope na szczeblu drabiny, gdy Kelemark zatrzymal go.

-Pozostali musza miec dosyc czasu na prace...

-Peleryny - zarzadzil Jarvas. - Zdjac je! Ayyar mocowal sie przez chwile z zapieciem pod szyja, az wreszcie odrzucil wierzchnie okrycie.

-Ulozcie je plasko, tutaj. O, tak. - Jarvas rzucil swoja peleryne opodal drabiny, to samo uczynili Lokatath, Kelemark i Ayyar. Zdjete okrycia przykryly podloge wokol drabiny.

-Teraz wszyscy do korytarza!

Plan Jarvasa byl wielce tajemniczy, ale Ayyar wykonal go bez namyslu. Korytarz byl krotki, staneli plecami do poszarpanej masy stopionego metalu, twarza w kierunku drabiny. Zdazyl jeszcze zobaczyc, jak Jarvas rzuca na dywan, utworzony przez ich rozpostarte peleryny, garsc czegos, co wygladalo jak zwyklye kamyki. Bez trudu odgadl, jaka niespodzianka przywita tych, ktorzy ich scigali.

Las byl swego czasu domem nie tylko dla Iftow, ale i innej rasy, urodzonej i wychowanej w jego cieniu, wykarmionej tym, co w Lesie zylo. A rosly tam dziwaczne, do niczego nie podobne warzywa, ktore byly nie mniej niebezpieczne niz dzikie zwierzeta przemierzajace lesne ostepy. Szare kamyki nie byly tym, na co wygladaly, lecz nasionami, ktorzych mozna bylo uzyc jako broni. Czy rzuca sie na falszywych Iftow, tak jak zwykly robic z

prawdziwymi?

Jarvas nie spieszył się, aby pobudzić je do życia. Ayyar obserwował go, jak kleczał na jednym kolanie przy drabinie, z przygotowaną butelką soku drzewa w ręce, i nasłuchiwał z uniesioną głową.

Oczekiwanie zawsze jest trudne, tym razem jednak raz po raz oblizywał wyschłe wargi, zmuszał się do pozostania w bezruchu i stawienia czoła rosnącemu napięciu. Przykucnięty, z mieczem w pogotowiu, nasłuchiwał odgłosu butów na drabinie i co chwila zerknął na male, niewinnie wyglądające kamyki, ledwie widoczne w mroku.

Wreszcie jakiś dźwięk. Ayyar kątem oka zauważył ruch obok. To Jarvas wyjmował zatyczkę z butelki.

Na rozpostarte peleryny padło światło, mniej jaskrawe od promienia z blastera, lecz równie groźne, a za nim pokazała się smuzka dymu. Jarvas rzucił butelkę, płyn rozbryzgnął się po wyglądających na kamyki nasionach. Nastąpiła chwila trwoźnego oczekiwania, potem pyknięcie, które wydało się głośnie wśród panującej dookoła ciszy, a z wyblakłych pod wpływem soku plam uniosła się para.

Nasiona pękły pod wpływem skrecającej się zawartości, a wezopodobne objekty rozprysnęły się bezładnie dookoła, po chwili jednak przywarły do drabiny i mocno ją oplotły. Sama woda ożywiłaby nasiona, ale sok dwukrotnie przyspieszył ich wzrost i rozwój. Zdawało się, że owe lodygi sięgają w nicosć, karmia się pustką. Zrazu nie większe od palca, osiągnęły grubość przegubu Ayyara, wypuszczając coraz więcej pnaczy. Z niewiarygodną prędkością wspinały się po szczeblach drabiny jak dzikie wino po pergoli, obrastając ją szczelnie, już prawie zapychając sztyb.

Z pedów zaczęło wydobywać się słabe, pomarańczowe światło skierowane ku górze, ujawniając chmure rozrzuconego pyłu. Każdy z Iftów w korytarzu oddał kawal peleryny, aby ochronić swoje ciało. Zgodnie ze swoją naturą drobinki pyłu dążyły pionowo w górę, przyciągane przez świeże powietrze w górnym otworze.

Iftowie nie słyszeli, co się dzieje, gdyż zbili się w ciasną gromadkę pod strzepami peleryn. Nie mogli być pewni, czy drobiny pyłu zaatakowały fałszywych Iftów, tak jak to zwykle robiły z żywymi organizmami. Jarvas ruszył pierwszy. Ayyar ujrzał jak Kelemark wślizguje się pod swój kawałek peleryny, czołga się do otworu wokół drabiny i schodzi. Reszta czekała cierpliwie, dopóki nie dotarł na dół.

Ayyar ruszył za nim, zeszywniał z strachu, nie osmielając się przyspieszyć. Z wielką determinacją wstrzymywał oddech, obawiając się nabrać powietrza w płuca. Pyłki, które by się tam dostały, zapuściłyby korzenie i rozrastałyby wewnątrz ciała. W końcu dotarł na miejsce i poczekał na Lokatatha i ostatniego ze wszystkich Jarvasa. Kelemark stwierdził: - Z góry nie dochodzi żaden dźwięk. W górę ponad nimi peleryny falowały, zwisały coraz

nizej, wzdete ciezarem tego, co w nich roslo. Udalo im sie uciec doslownie w ostatniej chwili.

-Chyba cos pozeraja, bo jesli nie, to przestana rosnac - mruknal Lokatath z satysfakcja.

-Jednoczesnie jednak blokuja nam to wyjście - zauwazyl Jarvas. - Musimy wiec poszukac innej drogi.

W gorze rozlegl sie nagle trzask rozdzieranej tkaniny i bialy, wezowaty korzen, ktory zdolal sie uwolnic, smignal jak bicz, z trzaskiem tnac powietrze. Wijac sie dziko i skrecajac skierowal sie ku gorze w poszukiwaniu powietrza, nie obdarzajac podziemi najlzejszym zainteresowaniem.

Ayyar odprezyl sie. Chociaz znal nature demona, ktorego uwolnili, to jednak jego dzikosc i nieopanowanie wzbudzily w nim obawe, ze moze on zwrocic sie przeciw nim. Tak jak to powiedzial Lokatath, roslina musiala znalezc wystarczajaca ilosc pozywienia, aby nadac swemu dalszemu rozwojowi nalezyty impet. Roboty czy nie, falszywi Iftowie nie dali rady poteznemu chwastowi.

Dotarli na miejsce, gdzie inni rozpracowywali drzwi. W scianie zial otwor odslniajacy wielka ilosc biegnacych w nim kabli, na widok ktorych Drangar potrzasnal glowa z powatpiewaniem.

-Jak wam idzie? - zapytal Jarvas po krotkim objasnieniu, co zaszlo na wyzszym poziomie.

-Sam zobacz... - Drangar wskazal na cztery zlamane narzedzia. - Nie mamy nic, czego mozna by tu uzyc.

-Jest miejsce, w ktorym znajdziemy, co potrzeba! - przerwal mu zywo Rizak. - Mam na mysli te wszystkie maszyny zgromadzone pod imitacja drzewa. Miedzy nimi musza znajdowac sie narzedzia sluzace do konserwacji i napraw.

-W kazdym razie warto sprobowac - przysiadl na pietach Drangar. - Chodzmy wiec...

Ayyar caly czas sluzyl za przewodnika, a wiec mogl i teraz. Do przejścia przez ten nawiedzony las potrzebował jednak towarzystwa; moglby z nim pojsc Lokatath.

Pospieszyl korytarzem w kierunku miejsca, gdzie znajdowaly sie zmagazynowane lustra. Parokrotnie przystawali, aby przetrzec powierzchnie i przyjrzec sie wizerunkom.

-Ilu ich tu moze byc? - Kelemark rozejrzal sie dookolą. - Setki!

-Caly naród - trzezwo zauwazyl Rizak. - Albo i wiecej. - Przystanal przy odbiciu futrzanego niehumanoida o waskim pysku, ktore odslnil Ayyar bedac tu uprzednio. - Coz to bylo? Jakis nieznaný gatunek inteligentnej istoty czy moze zwierzak...?

-Chodźmy już! - Ayyar ponaglił ich i posłusznie przyspieszyli kroku.

Dotarli do otworu prowadzącego do sali maszyn. Staneli jeden na drugim, a na koncu Ayyar wdrapał się na nich. Podciągając się za pomocą miecza dostali się na górę. Niecierpliwymi dłońmi scierali prastary kurz, odkrywali pojazdy, otwierali z trudem dawno nie ruszane bagażniki. Wszystkie zaprojektowane były przez obcych i jedynie wyjątkowa sytuacja mogła zmusić ich do kontynuowania poszukiwań, mimo silnej odrazy, jaką odczuwali.

W koncu Drangar odkrył narzędzia w dużym wyborze, wprowadził dziwacznie ukształtowane i z pewnością przeznaczone do całkiem innych celów, niż to, co zamierzali nimi zrobić, ale i tak znacznie lepsze niż te, które przynieśli ze sobą.

-Te mogą być, ale... - spojrzał spod oka na Jarvasa - o wiele lepiej poradzilibyśmy sobie używając blastera, jednego z tych noszonych przez skafander kosmiczny.

-Owszem, jeśli taki znajdziemy. Zaczynaj z tym, czym dysponujesz. Trzeba zrobić, co się da.

Przynajmniej skafandry i Illylle znajdują się w tym samym kierunku, pomyślał Ayyar. Tym razem nie odwioda go od poszukiwań!

Rizak, Jarvas, Kelemark, Lokatath i on sam - pięciu, by stawić czoło nie wiadomo jak znacznym siłom przeciwnika zgromadzonym w podziemiach. Ayyar nie czekał na pozostałych lecz puścił się biegiem przez sale, w której szeregi Iftow i Larshow patrzyły się sobie w oczy od nieskonczenie długiego czasu. Czekal na niego sztuczny las ze swoimi pułapkami.

Nie zwracał uwagi na figury ani na to, co robili inni. Zbiegał już wąską ścieżką, na której poprzednio upadł, gnając na lewą stronę do drzewa. Miał nadzieję, że potrafi odnaleźć miejsce niefortunnego upadku.

Lokatath dogonił go w chwili, gdy próbował znaleźć jakiegokolwiek wzniesienie, a następnie odszukać jakiś znak orientacyjny.

-Dokąd teraz?

-Na górę, ale nie wiem dokładnie, gdzie...

Tamten stanął, wpatrzony we wznoszące się wysoko drzewo.

-Przecież to... jedna z Koron...

W jego głosie zabrzmiał jakiś dziwny ton. Ayyar z wysokości brzegu doliny spojrzał na towarzysza.

Lokatath stał hipnotycznie zapatrzony w drzewo, na jego twarzy pojawił się wyraz głodu, a

nawet cien zachwytu. Nagle zawrocil w kierunku Wielkiej Korony. Ayyar pospiesznie zlupal go za ramie i poczekal, az pozostala trojka dolaczy do nich.

-Nie patrzcie tam!- ostrzegl ich. - To zludzenie majace omamic was i przyciagnac!

Mimo woli spojrzeli w gore. Lecz Jarvas natychmiast odwrocil wzrok i tak jak Ayyar Lokatatha, zlupal Rizaka i Kelemarka.

-On ma racje, to dla nas smiertelne niebezpieczenstwo! Odwrociecie sie! - Ciagnal ich i odpychal. - Nie patrzcie na to!

Pokusa zdawala sie nie do zwalczenia, lecz jakos udalo im sie wyrwac. Ayyar przestal szukac znajomych miejsc na przeciwleglej scianie; po prostu musial stad natychmiast odejsc.

Pomagajac sobie wzajemnie weszli w las, w ktorым mogly na nich czyhac calkiem inne pulapki niz Ayyar zdazyl poznac.

Idac zwarta grupa utorowali sobie droge pod baldachimem zieleni, mamiacym ich przewrotnie falszywymi obietnicami. Za przykladem Ayyara, gdy tylko doszli do prawdziwych drzew, wspieli sie wysoko na nie, kryjac sie caly czas w cieniu. Zmierzali prosto do odleglej sciany i wejścia do podziemi.

Rozdzial siedemnasty

Cos w lesie uleglo zmianie - dzwieki, ktore poprzednio uspily jego czujnosc, teraz ucichly. Iftowie poruszali sie w martwej ciszy, swiadomi kazdego szelestu, jaki wywoływalo ich przejście. Nie byla to jednak wyczekujaca cisza, jaka towarzyszy zastawionej pulapce; wydawalo sie raczej, ze sila manipulujaca tym miejscem odwrocila sie lub wycofala. Ayyar podzielil sie ta opinia z innymi. Jarvas przysiadl na szerokim konarze.

-Wycofala sie? - powtorzyl w zamysleniu. - Moze musiala skoncentrowac sie na czymś gdzie indziej? Ale gdzie?

-Na przyklad na drzwiach, ktore Drangar probuje sforsowac? - podsunal Lokatath.

-Mozliwe, chociaz nie jestem jeszcze pewny. Nienazwane stara sie zgromadzic cala dostepna moc w swoim reku. Raczej wysyla swoje slugi, a nie gromadzi ich tu dla obrony.

-Jeszcze jeden powod, aby sie spieszyc! - Ayyar prowadzil ich w gore zbocza.

Mineli okolice obrosnieta trujacym dzikim winem. Przylupal sie na tym, ze nadsluchuje i wypatruje falszywej Vallylle. Jesli nawet jeszcze przebywala w lesie, to na pewno nie szukala jego towarzystwa po tym, co miedzy nimi zaszlo. Ku jego zdziwieniu doszli do sciany ponizej wejścia do podziemi nie niepokojeni przez zadne wrogie stworzenia. Wciaz

Jeszcze nie odnaleźli zejścia w dół klifu, ale bez wahania ścieli parę drzewek, oczyszczili swój łup z niepotrzebnych gałązek i zrobili tę prymitywną drabinę.

Po wejściu do podziemi zawahali się i przystanęli, czujnie weszac i rozgladając się dookoła. Z korytarza dochodziła ich mieszanka ohydnych odorów. Było ich tak wiele, że trudno byłoby je zidentyfikować. Jarvas powiedział:

-Czuje maszyny...

-Chemikalia... - dodał Kelemark, weszac.

-Nie, myślę, że czuje fałszywych Iftów - zaczął Lokatath.

Rizak przyłożył dłoń do ściany korytarza.

-Tędy przepływa energia. To miejsce żyje.

Jarvas poszedł za jego przykładem, ale po chwili oderwał nagle rękę, jakby wibracje paliły jego ciało.

-Uważajcie na kryształowe płyty - ostrzegł Ayyar. - Myślę, że one wszczynają alarm. Musimy ich unikać za wszelką cenę.

Jak okiem sięgnąć, w metnym świetle korytarz wydawał się zupełnie pusty. Przeslizgnął się obok Jarvasa i wyszedł na czoło. Opadł na kolana, aby ominąć pierwszą parę płyt.

-Tutaj znajduje się sala, w której przechowują ciała. Zatrzymał się przy drzwiach. Kelemark przecisnął się obok niego i wbił wzrok w rząd kontenerów. Ayyar szepnął:

-Jest ich więcej, znacznie więcej. Kiedy byłem tu poprzednio, tylko cztery w tym rzędzie były zajęte, a teraz wszystkie są pełne!

-Gdzie robia lustra? - zapytał Jarvas.

Kelemark podszedł do najbliższego cylindra. Zbliżył twarz do jego powierzchni, osłaniając oczy dłońmi. Potrząsnął przecząco głową:

-Nic nie widac...

-Chodźmy do luster - naciskał Jarvas.

Illylle! Na to imię Ayyar rzucił się pędem w dół korytarza. Musiał wziąć się w garść i opanować nieostrożne odruchy. Jeśli zdoła wyprowadzić ją stąd, to na pewno nie działając impulsywnie i bez przemyślenia.

-Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym hodoją roboty! - Kelemark wydał rozkaz, jakby to

on dowodził. Jarvas na to podniósł reke:

-Najpierw lustra!

Ayyar opanował na tyle swoją niecierpliwość, aby zatrzymać się przed drzwiami, weszac i nasłuchując. Jak dotąd nie napotkali niczego, żadnego zamieszania czy poruszającego się skafandra. Nie zapominając o życiu tetniącym w ścianach wokół nich, Iftowie przemierzali przestrzeń równie opustoszałą jak te, które wiodły od imitacji Wielkiej Korony.

Dotarli do miejsca, gdzie Ayyar był świadkiem tworzenia wizerunków. Stół tym razem pozostawał pusty, nie było też żadnych lusterek na ścianach. Za to stały tu dwa kombinezony kosmiczne.

Ayyar gestem nakazał reszcie, aby zachowali ostrożność. Kombinezony były wprawdzie czelakokształtne, ale oba nieznanego mu typu. Pierwszy z nich miał wykrecone i wyrwane ramię nieco poniżej ramienia. Uszkodzenie kończyło się zgrubieniem stopionego metalu. Drugi nie miał helmu.

Żadna z tych metalowych kulek nie poruszyła się, więc Ayyar zdecydował, że nie są niebezpieczne. Rizak zbliżył się ostrożnie, aby je zbadać. W przeszłości był astronawigatorem, toteż o wiele lepiej znał się na wyposażeniu statków kosmicznych niż Ayyar. Ale i on potrasnął bezradnie głową.

-Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego.

Ayyar podszedł do stołu, nachylił się i głęboko wciągnął powietrze w nozdrza. Nic, tylko nie zagłuszony żadnym innym zapachem odor osadników i mieszkańców portu. Nie wyczuwał Iftów, a więc zapewne nie było ich tutaj ostatnio.

A jednak Illylle musiała zostać przyniesiona właśnie tutaj! Z pokoju lusterek Ayyar pośpieszył do laboratorium, w którym był świadkiem hodowania imitacji. Fala cuchnącego smrodu wionęła mu prosto w twarz, ale i tu stoły były puste, ani śladu bulgocącej galarety.

Pomimo typowej dla Ifta ostrożności, Kelemark wciągnął powietrze głęboko w płuca.

-Coś w rodzaju sztucznego ciała... protoplazma? - stwierdził.

Ayyar przypomniał sobie trzecią salę, w gorze korytarza. Widział tam, jak wyposażano imitacje w oprogramowanie. Po sprawdzeniu okazało się, że również tam nie ma nikogo.

-Gdzie się wszyscy podzieli?

-Było to pytanie retoryczne, gdyż nie liczył na to, że Jarvas lub inni udzielą mu lepszej odpowiedzi niż ta, której byłby w stanie sam sobie udzielić. Jako ostatnia deska ratunku pozostał im wech!

Na korytarz wychodziło wiele drzwi, ale tylko zza jednych z nich wydobywał się zapach tak słaby, że omal nie ginął wśród panującej tam duchoty. Illylle - to na pewno Illylle!

Analizując zapachy jeden po drugim, Ayyar skradł się wzdłuż korytarza. Wyczuwał Illylle albo innego Ifta, ale również inne zapachy - silne, drażniące do bólu, jeśli się je wdychało. Osadnicy... tutaj... tutaj... Stał niezdecydowany w holu pomiędzy parą drzwi znajdujących się naprzeciw.

Illylle! Ift! Na prawo! Wparł ręce w drzwi i naciskał ze wszystkich sił, próbując najpierw otworzyć je do środka, a następnie poruszyć w prawo lub w lewo. Ani drgnęły, trwały nieporuszone jak przyspawane. Lokatath, a następnie i pozostali pospieszyli mu z pomocą. Wszyscy wyteżali siły, przyzywani tym samym znajomym zapachem.

-Nie da się otworzyć - zdecydował Jarvas.

-Poczekajcie!

Jakbyśmy mogli zrobić cokolwiek innego, pomyślał niecierpliwie Ayyar. Rizak zawrócił i pobiegł do sali luster, a Ayyar nie przestawał szarpać i pchać upartych drzwi, niepotrzebnie tracąc siły. Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie wyczerpała się moc, która obdarzyło ich Zwierciadło... Thanth!

Zaprzestał bezskutecznej szarpaniny z drzwiami i spojrzał na Jarvasa:

-Jestes przeciez Mistrzem Zwierciadla. Czy istnieje cos, co moglbys wezwac na pomoc?

Zaskoczony Jarvas utkwil w nim wzrok; nastepnie spojrzal z namyslem na drzwi.

-Jesli nie utrzymales ofiarowanej ci mocy, to Thanth nie moze dzialac juz nic wiecej...

-Nic?

Zwierciadło obdarzyło go swoją siłą, a następnie Illylle, wysyłając go na wyprawę, przekazała mu również swoją moc. Nie potrafił wypełnić misji, zawiodł - musiał ustąpić przed zablokowanymi schodami. Z każdym krokiem oddalającym go od miejsca porażki, moc odpływała i ginęła bezpowrotnie, pozostawiając go słabego jak nigdy dotąd. Wolał bezgłośnie: Przecież wrocilem! Jestem tu, aby uwolnić Janusa od złego czaru rzuconego na tę ongiś nieskalana i piękna planetę. Nie zdezerterowałem, nie uciekłem - wrocilem wraz z całym oddziałem!

Zamknął oczy, starając się przywołać obraz ogromnego, iskrzącego się jezora powstającego z powierzchni Zwierciadła, aby ich, wybranców Thanth, napelnić swą mocą. Nieswiadomie wyciągnął swój miecz, i stanął pewnie na rozstawionych stopach, z obu dłońmi zacisniętymi na rekojesci wbitej w ziemię broni.

Dawno temu, gdy stal i obserwował pietrzace sie Zwierciadlo poznal co to groza, uwierzył w istnienie czegos niepoznawalnego, niewytłumaczalnego. Nie miał pojęcia czy odziedziczyl owa wiare po tym Ayyarze, ktorym niegdys byl. A moze tamtego dnia, gdy nawiazali kontakt ze Zwierciadlem, uwierzył w jego potege widzac jak wielka czciami i uwielbieniem otaczali je wspoltowarzysze?

Zwierciadlo... siegajacy po nich jezora, a moze palec, skrzacej sie wody wyrastajacy coraz wyzej i wyzej nad nimi... Ayyar probowal przywolac z powrotem deszcz, jaki w nim wywolalo tanto przezycie.

Nagle znalazł sie poza swoim ciałem, unosząc sie nad znajoma plansza do gry. Miejsce to jednak niezrozumiale zmienilo sie od poprzedniego tu pobytu i chociaz nadal nie widzial swego oponenta, to wyczuwal wyraźnie, ze i on nie jest juz taki sam...

Zielono wschodzi gleboko zasadzone ziarno.

Wysokie Drzewo - Iftow nadzieja.

Słodki jest wiatr, a cichy deszcz -

Zyzna gleba czeka na ziarno...

Zielen otaczajaca jego stopy rosła coraz wyzej. Znal te rosliny bez patrzenia - byly tak samo czescia jego osoby, jak krew, ciało i kosci. Czyzby teraz on zapuscil korzenie w ziemi, czerpiac z niej sily zywozne? Wiejacy wokół wietrzyk piescil jego wargi i policzki delikatnym tchnieniem lata, karmil go ozywca wilgocia, zaspokajal dreczace pragnienie i glod.

Prosty miecz, a klinga ostra.

Liscie wciaz nie bledna.

Spokojnie Zwierciadlo spi,

A ksiezyc z wysoka dotyka

Srebra zawartego w Zwierciadle.

Staw sie, Ifcie, bez leku.

Nie widzial Thanth oczami swego ciała, ale bylo ono tutaj - glebokie, mroczne, a jednocześnie Isniacosrebrne od odbitego w nim ksiezycyca. Jego drzacy obraz na tafli ciemnej wody pekł na tysiac srebrnych kawalkow, ktore nagle uwolnione rozplynely sie swobodnie, a nastepnie uniosly w powietrze, by stac sie jednym z wiatrem i aksamitnym deszczem. Powstaly dla Ayyara, otoczyly jego ciało wnikajac...

Ifta miecz, reka Ifta,

Serce Ifta - Ifta plemie!

Szykowany w ukryciu

Schlodzony przez ksiezyc...

Byly to slowa Piesni o Kymonie, o Kymonie, ktory jako jedyny dotad przebyl posepny szlak wiodacy do serca Wroga, a nastepnie powrocil stamtad z Klatwa zapewniajaca bezpieczenstwo jego plemieniu. I to nie Ayyar ja spiewal - sama naplynela skads spoza granic poznawalnego swiata.

Narodzi sie Wojownik i stanie do boju -

Kiedy drzewo urosnie, a Nienazwane sczeznie.

Iftow miecze, rece Iftow -

Ocalcie i oczysccie ziemie!

Ponownie przeniknelo go srebrnoskrzace sie tchnienie Thanth. Jak poprzednio, poczul, ze jednoczy sie z jakas obca forma zycia. Otworzył oczy i ujrzal naprzeciwko siebie Jarvasa, dawnego Mistrza Zwierciadla, patrzacego na niego ze skupieniem. Usta jego poruszyly sie, ale z poczatku nie wydobył z siebie ani slowa. Po chwili przejeży przemowil na glos:

-Bracie, moc powrocila i znow jest z toba.

-Tak, to prawda.

Ayyar, na nowo pelen ufnosci we wlasne sily, podniosl miecz i powiodl nim wokol drzwi. Za dotknieciem podazala jaskrawa smuga, roztapiajac twarda substancje. Wyciagnal dlon i drzwi runely do srodka komnaty - dokladnie w chwili, gdy nadszedl Rizak z blasterem jednego ze skafandrow w rece. Jarvas gestem nakazal mu sie odsunac i weszli do pokoju.

Lezeli na podlodze, jakby bez ostrzezenia razeni piorunem - kobiety, dzieci. Mogli to byc osadnicy widziani przez Ayyara w dolinie kopcow, ale jego nos wyraznie wyczuwal w tym gronie obecosc Ifta. Po chwili znalezi ja w odleglym kacie pomieszczenia - niedbale cisnieta miedzy pozostalych jak zepsutego, nieuzytecznego dla Nienazwanego, robota.

Jarvas wzial jej bezwladne cialo na rece i wyniosl na korytarz, gdzie Ayyar delikatnie ujal jej zwisajace bezsilnie rece w swoje dlonie. W ten sposob mial zamiar przekazac jej moc, ktora napelnilo go ponownie Zwierciadlo. Uslyszal, jak pozostali cicho recytuja:

Najpierw ziarno, potem kielek.

Od zakorzenia do rozkwitu.

Soki pnia, szum lisci,

Ift za Drzewo, Drzewo za Ifta!

Kelemark uniosł butelkę i zaczął ostrożnie, kropla po kropli wsadzać sok między jej rozchylone wargi. Illylle uchyliła powieki i spojrzała na nich - zrazu niewidzącym wzrokiem, jak gdyby wciąż miała przed oczami miejsce, w którym wędrowała tak długo.

-Illylle! - Ayyar przemówił do niej łagodnie, ale i zarazem ponagląco.

Ujrzała go, poznała i nagle poruszyła się w ramionach Jarvasa. W jej oczach pojawił się niepokój.

-Czy wy tego nie czujecie? - Jej ochryply głos zdradzał wielkie napięcie. - Nienazwane wie!

Rozejrzeli się wokół, jakby szukali otaczającej ich wrogiej armii. Illylle miała całkowitą rację! Ta cisza, lekceważący brak elementarnej czujności, wszechogarniające uczucie pustki - wszystko to zniknęło bez śladu. Zostali odkryci.

-Chodź.

Jarvas, podtrzymując Illylle, prowadził ich z powrotem przez kolejne pomieszczenia. Ayyar ujrzał w pewnej chwili jak Rizak i Lokatath zostają z tyłu, a potem wbiegają do jednego z pomieszczeń. Gdy wrócili, niesli nie tylko blaster, znaleziony poprzednio przez Rizaka, lecz również dwa dziwnie wyglądające przedmioty, najwyraźniej służące jako bron.

Cały czas obserwowali drogę przed i za sobą, wypatrując i nasluchując. Dotarli bez przeszkód do imitacji lasu, w pełni jednak świadomi, że Nienazwane doskonale zdaje sobie sprawę z ich obecności na jego terenie. Pelen złych przeczuć Ayyar dziwił się, dlaczego niepodzielny pan tych podziemi nadal powstrzymuje się od ataku. Zmieść ich z powierzchni ziemi byłoby dziecinnie proste, gdyż z mocą Zwierciadła czy bez niej - nie poradziłoby sobie z pozaplanetarna bronia z arsenału Nienazwanego.

W lesie nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana. Zaszedł kojący oczy księżyc i zapanowały głębokie ciemności jak podczas burzowej nocy. Na szczęście jego nagi miecz otaczała mglista poświata, która umożliwiała poruszanie się przez tonący w mroku las.

Illylle wyciągnęła lewą dłoń i położyła ją na ramieniu Ayyara, mówiąc:

-Chwycmy się wszyscy za rece, bracia. Nie pytajcie, skąd wiem, ani jak i dlaczego to się stanie - ale jestem pewna, że w ciągu najbliższej godziny wstąpi w nas to, co przemawia poprzez Zwierciadło. Być może nawet wykorzysta tułejsze pierwotne moce, aby się nimi karmić i rosnąć w potęgę! Połączmy rece tak, aby moc swobodnie mogła przepływać przez nas wszystkich!

Wbrew oczekiwaniom Ayyara dotyk palców Illylle nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Jedyne co poczuł, to ciepło i lekki wzrost pewności siebie. Zamiast wejść w las, podawali przed siebie najkrótsza droga do drzewa będącego nikczemną parodią Wielkiej Korony.

Cos pierzchało na boki spod ich stop, spłaszczone krokami lub światłem pochodni. W pewnej chwili usłyszeli zawodzacy jęk, wydany głosem Ifta, ale nie zdołali zrozumieć ani słowa. Illylle zwróciła wówczas głowę w stronę poszycia lasu, z którego dobiegał ów dźwięk. Wyrecytowała odpowiedź - przeciwzaklecie lub ostrzeżenie. Ayyar doskonale wiedział, że nie były to słowa zaczerpnięte z języka codziennego. Był absolutnie pewny, iż wylonily się one z mroków zamierchłej przeszłości, z czasów, kiedy Illylle była Siewczynią Nasion, a więc osoba mająca przemożny wpływ na początki życia. Miejsce, w którym teraz przebywali, przeczyło życiu, tworząc jego oszukawczą imitację.

Podawali bez przeszkód w kierunku drzewa i miejsca, w którym stały zamarłe na zawsze szeregi Iftów i Larshow. Cały czas Ayyar podświadomie oczekiwał jakichś oznak zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Przechodząc między długimi szeregami, Illylle i Jarvas, zainspirowani prastarymi misteriami, których byli ongiś częścią, zwrócili głowy do poszczególnych Iftów i witali ich używając ich imion tonem tak szczególnym, że Ayyar prawie spodziewał się, że każda chwila postaci te opuszcza swych towarzyszy i przyłącza się do nich.

Następnie przez sale maszyn i korytarzem w dół dotarli do rozległej sali pełnej luster. Tam Illylle po raz pierwszy zawahała się. Pusiła ręce Ayyara i Jarvasa, przerywając łańcuch, jaki tworzyli. Zasłaniając oczy, jakby nie śmiała spojrzeć na polki, wykrzyknęła:

-Oto są dzieci Nienazwanego! Niechaj zostaną roztrzaskane na tysiące kawałków i niech to wszystko się skończy!

Wówczas ponownie drżącymi dłońmi złapała Ayyara i Jarvasa. Nie spojrzała więcej na lustro, mocno zaciskając powieki, pozwalając się biernie prowadzić. Drżała na całym ciele, dopóki nie opuścili pomieszczenia.

Pierwszy raz od dawna usłyszeli dźwięki i z przodu, i z tyłu. Rzucili się biegiem do miejsca, w którym zostawili Myrika i Drangara. Dobiegały stamtąd odgłosy walki. Niespodziewanie miecz rozjarzył się łagodnym, nie drażniącym oczu światłem.

Na podłodze korytarza ujrzeli splątana masę poskrecanych i pourywanych kabli, wywleczonych z tunelu naprawczego. Pośrodku tego leżał martwy Drangar. Myrik natomiast rozplaszczyl się na podłodze między cewkami, unieruchomiony przez słacę błyskawice i skrecające się jak klebowisko rozwscieczonych węży konce kabli. Jak na dany znak wszyscy nowo przybyli padli na podłogę, chowając się, gdzie kto mógł. Rizak i Jarvas wyciągnęli blastery i osłonili ogniem pozostałych.

Myrik unosił głowę i słabym głosem powiedział:

-Przejscie kanałem prawie odblokowane... Jesli tylko damy rade precysnac sie...

Z powodzeniem uzywajac znalezionych narzedzi, wyrwali do reszty kable i instalacje wypelniajace szyb. Ayyar zawahal sie przed zejsciem w nieznane - nie mial pojecia, jakie niebezpieczenstwo moze czyhac na nich na dole. Z drugiej jednak strony pozostac tutaj jako ostatni, najbardziej narazony na napasc z tylu...

-Ide! - Lokatath wpezl w otwor tunelu nogami do przodu i zniknal.

-Teraz ty... - Ayyar popchnal lekko Illylle ku jedynej drodze uciezki.

Weszla bez slowa protestu, a za nia podazyli Myrik i Kelemark. Jarvas zwrocil sie do Ayyara:

-Twoja kolej!

Caly ten czas wraz z Rizakiem oslanial promieniami blasterow pozostalych. Ayyar wydobył miecz z pochwy i wslizgnal sie w otwor. Kanał nie byl az tak ciasny, jak sie tego spodziewal, a sterczace ze scian pozostalosci wyrwanych instalacji dawaly oparcie rekom i stopom. Po chwili natrafil na platanine kabli, przez ktora byl zmuszony torowac sobie droge do blizniaczego korytarza ponizej. Czekali tam juz pozostali towarzysze. Cala otaczajaca ich przestrzen az pulsowala, przepelniona obecnościa tej samej sily, ktorej przerazajaca obecność wyczuwali w scianach podziemi. Ayyar zaryzykował dotkniecie sciany i krzyknal, gdy ból nielitosciwie przeszył jego ramie. Instynktownie druga dlon powedrowala na rekojesc broni. Nieoczekiwanie z pochwy miecza poczał wydobywac sie dym.

Zielen i blekit pokryly cala dlugosc wspaniale wykutej broni, mieszajac sie splywaly struzkami po ostrzu, kapiac na podloge i znikaly. Ayyar nie kontrolowal tego procesu i stracil orientacje, czy wlasnie traci, czy zyskuje energie. Narastalo w nim przekonanie, ze jest tylko zabawka w reku jakiejś poteznej mocy. Pod wpływem przymusu, jaki odczuwal, zawrocil i oddalajac sie od reszty towarzyszy, pomaszerowal z powrotem.

Spodziewal sie niebezpiecznej konfrontacji, a wiec nie zdziwil sie ani zaniepokoil, gdy z mroku wylonily sie jakies sylwetki. Zblizali sie miarowym, nieustepliwym krokiem. Raptem bron w jego rece uniosla sie i czubkiem wskazala prosto przed siebie. Ayyar nie byl juz w stanie utrzymac miecza w spoczynku, gdyz jego moc rosla z sekundy na sekunde i osiagnela taka potege, ze miotala nim na wszystkie strony. Jedyne, co mu pozostalolo, to kolysac sie wraz z nim w prawo i w lewo.

Sylwetki okazaly sie uzbrojonymi, maszerujacymi sztywnym, grzmiacym krokiem maszynami. Tanczacy, kolyszacy sie miecz wytworzył wlasna bariere, ktora zatrzymala i nastepnie zaczela wysysac energie, karmic sie sila Wroga. To wszystko bylo w Ayyarze. Kiedys byl czlowiekiem, potem Iftem; teraz stal sie zbiornikiem energii zaczerpnietej od Wroga, aby pobic go jego wlasna sila.

Maszyny nie przerwały ataku aż do chwili, gdy bezpośrednio na nie padło światło miecza. Oslepiająco roziskrzyły się zwarte kable, wokół rozszedł się obrzydliwy smród spalenizny. Stąpając po nich, przepychając się wśród wraków maszyn, Ayyar ruszył dalej.

Nie liczył, ile ich pozostało zgromadzonych w korytarzu, nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Jedyne, co czuł, to wewnętrzny przymus, aby dążyć przed siebie w poszukiwaniu animatora tamtych maszyn, owej złej mocy - sprawcy wszystkich ich nieszczęść.

Korytarz skończył się u wejścia do ogromnej komnaty. Ayyar stał prawdopodobnie na jakiejś wysuniętej platformie, blisko jej sklepienia. Krecone schody biegnące z niej, zanurzały się w ciemność poniżej i tonęły w nieprzenikniętym mroku. Miecz wskazał w dół i wyznaczył mu dalszą drogę. Całe to miejsce było wręcz naladowane energią i Ayyar niejasno zastanawiał się, czy nie zakończy życia jako człowiek czy Ift, spopielony przez własną broni, dotąd jeszcze ani razu nie użyta zgodnie z jej przeznaczeniem. Schodził bez końca w dół, w kolko stopień za stopniem. Jego oczy, nie oslepiane teraz światłem, nieoczekiwanie ujrzały, co znajdowało się poniżej, ustawione pod ścianami - brzęczące i migoczące światłokami, wypełniając całą tę rozległą przestrzeń niskim pomrukiem. Całe sektory były ciemne i martwe - być może nawet od setek lat. Natomiast czynna reszta robiła w jakiś niepojęty sposób wrażenie wrogiej wszelkim formom prawdziwego życia. Ayyar wprawdzie nigdy nic widział czegoś podobnego, ale Naillowi rozpoznanie urządzenia nie stanowiło żadnego problemu - była to niewatpliwie maszyna specjalnie zaprojektowana przez ludzi jako uzupełnienie ich umysłu. Miał właśnie okazję zbliżyć się do największego komputera, jaki kiedykolwiek ludzkość mogłaby sobie wyobrazić...

Rozdział osiemnasty

-Komputer! - Głos Myrika wybił się ponad szum wypełniający pomieszczenie. Ayyar stanął naprzeciw niezliczonych szeregów błyskających światełek. To tu przywiodły go broni i zawarta w nim sama moc. Jak jednak miałby użyć miecza przeciw takiemu przeciwnikowi? Jak go unieszkodliwić? Chyba że... Przecież musi istnieć ktoś, kto powołał do życia ten gigantyczny umysł! Oto prawdziwy Wrog!

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż maszyny, gorzącej nad nimi jak wieża. W rogu pomieszczenia ściana skrecała pod kątem prostym, a on mijając kolejne sektory biegł dalej i dalej. W końcu dotarł z powrotem do swych towarzyszy stojących tuż przy schodach. Nie znalazł żadnego innego wyjścia z tego pomieszczenia i nic poza maszyną - częściowo czynną, a częściowo martwą. Oslupiały, zatrzymał się, wciąż niezdolny uwierzyć, że oto Wroga nie ma, a więc również nie ma komu stawic czoło.

-Komputer - Jarvas pilnie przyglądał się ścianom dookoła - i to zaprogramowany.

Myrik śladami Ayyara raz jeszcze obszedł salę wokół, analizując dokładnie każdą mijaną sekcję.

-Owszem, to komputer, ale nigdy i nigdzie dotad nie widzialem podobnego typu. A na dodatek ktos musial go zaprogramowac i teraz, przynajmniej czesciowo, dziala. Ponadto jestem przekonany, ze kiedyś raptownie przerwano mu zadanie, ktore wykonywal. Popatrzcie tylko...

Poslusznie aczkolwiek nieco bojazliwie podazyli za nim w kierunku jednej z wygaszonych sekcji. Tam wskazal na slady ognia na powloce urzadzenia oraz na wyrazne pozostalosci napraw dokonanych obok. Zapewne zakonczyly sie one sukcesem, gdzy swiatelka wyraznie wskazywaly, ze sekcja dziala.

-Maszyny pokonane przez Ayyara w korytarzu - stwierdzil Myrik - sluzily do obslugi i napraw komputera. Zaloze sie, ze wykonywaly one swoje obowiazki znacznie dluzej, niz moglibysmy w pierwszej chwili przypuszczac.

-Kymon! - wykrzyknela przejmujaco Illylle. - Kymon byl tutaj! Ale czym jest ta maszyna...?

Jarvas przesunal sie na srodek sali:

-Komputer z pewnoscia zostal zaprojektowany do wykonania jakiegos wielkiego i waznego zadania. Nastepnie zostal czesciowo zniszczony, a teraz pracuja tylko jego poszczegolne sekcje. Widzielismy rezultat jego dzialan. On po prostu stara sie wykonac swoj program...

-Lecz kto go uruchomil? - zapytala Illylle. - Kim lub czym jest Nienazwane?

Rizak zblizyl sie do najblizszej sciany i przez chwile obserwowal migajace swiatelka.

-Uwazam - powiedzial powoli - ze to, czego szukalismy, znajduje sie przed nami.

-To jest to, na poszukiwanie czego mnie wyslano! - przerwal Ayyar z taka pewnoscia w glosie, jakby sluchal podpowiedzi wewnetrznego glosu.

-Nie wierze, aby to zostalo zaprogramowane na Janusie - dodal Jarvas. - Jesli Iftowie pochodza stad, a wszystkie ich przystosowania do zycia na to wskazuja, to komputer jest dla planety i dla nich kompletnie obcym tworem, przybyszem z obcego swiata...

Rizak usmiechnal sie, podniecony:

-Czy kiedykolwiek przyszlo wam, na mysl, bracia, ze to, przed czym teraz stoimy, moze po prostu byc czescia statku kosmicznego, przybylego tu przed wiekami?

-Statku? - powtorzil za nim Kelemark. - Tej wielkosci?! Jaki statek kosmiczny moglby byc az tak ogromny?

Lokatath, dawniejszy osadnik, zaryzykowal odpowiedz.

-Statek przewozacy kolonistow?

Jarvas odwrócił się szybko, ale Rizak ubiegł go i odparł:

-To całkiem możliwe! Statek wiozący komputer zawierający sztuczną inteligencję, zaprogramowany dla przeprowadzenia kolonizacji, prawdopodobnie nie był nigdy przeznaczony dla Janusa, ale awaryjnie ładował na jego powierzchnię. A wówczas uszkodzony komputer zainicjował program osadnictwa, zupełnie nie dostosowany do tutajszych warunków.

Jarvas podjął watek, kierując się wiedzą Pate'a Sissionsa, uczestnika Pierwszego Zwiadu, który przecież wykonywał ongiś analogiczne zadanie dla swego gatunku.

-On próbuje przystosować naszą planetę do potrzeb i oczekiwań obcych kolonistów i jest gotów zniszczyć wszystko, co uzna za niekorzystne lub niebezpieczne dla procesu kolonizacji...

-Na przykład Iftow! - wtracił się Lokatath. '.

-Kymon musiał jakos dostać się tutaj - dodała szybko Illylle - i wyposażony w moc Thanth dokonał prawdopodobnie tych zniszczeń widocznych dookoła - wskazała na całe obszary noszące ślady pradawnej bitwy. - Po upływie drugiego czasu szkody zostały częściowo naprawione. Jakim jednak cudem wszystko to ruszyło i działa?

-Być może cały ten czas ciężko uszkodzone urządzenie pozostawało w stanie uspienia - rzekł Ayyar - i nie wyczuwało obecności wroga, dopóki ponownie nie pojawili się nowi Iftowie, tacy jak my? Ciekaw jestem, dlaczego komputer nie obudził kolonistów; czyżby nie przeżyli katastrofy?

-Lustra! - Oczy Dylle otworzyły się szeroko. - Kolonisci są tymi postaciami w lustrach!

-To brzmi całkiem prawdopodobnie - zgodził się Kelemark. - Pozwólcie teraz mi zgadywać. Miales rację, Jarvasie, twierdzić, że szeregi Iftow i Larshow mają o wiele większe znaczenie, niż nam się wydawało na pierwszy rzut oka. Na temat Iftow nie potrafię nic powiedzieć, natomiast Larshowie stali we właściwej kolejności! Początek jako koniec, a koniec jako początek!

Zdawało się, że Jarvas rozumie sens tej wypowiedzi, gdyż skinął głową potakująco. - To nie była ewolucja. W tym przypadku wystąpił proces odwrotny. Komputer obudził grupę pasażerów i okazało się, że na Janusie nie może on się ani przebudować, ani odnowić. Myślę, że od tej chwili wszystkie pozostałe zapasy energii zostały przeznaczone na ten cel...

-O czym ty mówisz? - zapytał zdumiony Lokatath.

-Obudzeni przez komputer kolonisci nie pozostali tacy sami jak na początku - wyjaśnił Jarvas. - Pokolenie po pokoleniu cofnęli się od cywilizowanych ludzi, jeśli tak ich nazwiemy,

do prymitywnych, przypominających zwierzęta Larshow, takich jakich my znamy. Po czym wysłano ich przeciw nam, z zadaniem oczyszczenia Janusa ze wszystkich, którzy mogliby mieć jakiś wpływ na życie planety. W tym czasie komputer zajęty był kreowaniem świata, któremu mogłoby bezpiecznie przekazać swe brzemie. Na swoje nieszczęście został poważnie uszkodzony, być może właśnie przez Kymona z legendy.

Jarvas spojrzał na stare ślady.

-Zapewne nigdy nie dowiemy się, czy są one pozostałością po herosie z naszych podań, czy nie. Bez wątplenia ktokolwiek tego dokonał, działał rozmyślnie i celowo. Późniejsza naprawa, choćby i niepełna, musiała zająć bardzo dużo czasu.

-Ale i tak nie udało się go zniszczyć całkowicie... - powiedział zamysłony Myrik.

-Pewnie - wtracił się Rizak - zrobił to Ift, a nie ktoś rozumiejący, przed czym właściwie stoi. Mogłoby się energia dookoła, raząc na oślep, ale fatalnym zbiegiem okoliczności nie niszczyć korzeni. Dokładniej mówiąc: aby unieszkodliwić to urządzenie, trzeba dobrze rozumieć, jak ono działa i gdzie uderzyć.

-A Klatwa? Czymże więc była Klatwa? - spytała Illylle. Jarvas wzruszył ramionami.

-Ktorą opowieść nie obrasta w ozdobić, stając się legendą o bohaterze? Myślę, że Kymon, Ift, nie potrafił nikomu - nawet sobie samemu - wyjaśnić, z czym miał tu do czynienia. Zresztą nie wiadomo, jak właściwie stał się z potęgą Nienazwanego. Teraz nadszedł czas na ostateczną decyzję. Myrik, Rizak - co robimy?

-Oczywiście możemy ponownie spróbować unieszkodliwić komputer. Jednakże, w dłuższej perspektywie czasu - mam na myśli stulecia - raz jeszcze może się to okazać rozwiązaniem tymczasowym. Jeśli prawidłowo odgadliśmy, do czego służy to urządzenie, to z całą pewnością wyposażono je w strażników, obronę i roboty naprawcze. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co jeszcze leży w dalszych partiach podziemi. Nie, musimy koniecznie odnaleźć serce tego systemu i wypalić je raz na zawsze!

-Jarvas? - Illylle podeszła bliżej i położyła rękę na jego ramieniu. - Co stanie się z tymi, których on kontroluje, zamienionymi w lustrzane wizerunki, a następnie w roboty? Czy i będzie można ich uwolnić, ocalić?

Jarvas unikał jej wzroku.

-Może tak, a może nie. Aby to rozstrzygnąć, potrzeba znacznie więcej czasu i wiedzy. Musimy się spieszyć, gdyż nieprzyjaciel włada niepodzielnie podziemiami i Pustkowiec i w każdej chwili jest w stanie wysłać przeciw nam potężną armię. Najpierw skończmy z tą maszyną, z komputerem...

Wszyscy byli co do tego zgodni. Ayyar podniósł miecz i już miał zamiar zaatakować

najbliższy sektor, gdy nagle napotkał na swej drodze wyciągnięte ramie Rizaka.

-Nie tam! - Nie patrzył na Ayyara, lecz na sektory błyskających światełek na najbliższej ścianie.

-Wiec gdzie? - zapytał Ayyar. Znal się na obsłudze komputerów, ale nie na zasadach ich działania.

-Nie mamy pojęcia - powiedział Myrik. - To zarządza całym podziemiem, czyli ma pod kontrolą systemy wentylacyjny i inne. Uderz, a zamknie drzwi, odetnie dopływ powietrza, pochowa nas żywcem... i może się okazać, że wcale go nie zniszczyliśmy raz na zawsze. Nie możemy nic zrobić dopóki się nie upewnimy...

-Patrzcie! - krzyknęła przeraźliwie Illylle. Wskazywała na jeden z uprzednio martwych sektorów. Przeleciała przez błyskawicę i znikła równie szybko, jak się pojawiła. Zaobserwowali, jak cała sekcja mrugnęła światłem, powracając na moment do życia, i zgasła. Niby drobny - zaledwie kilka iskerek pojawiło się na mgnienie oka i jeszcze szybciej zgasło... ale zgodnie uznali to za wiele mówiące ostrzeżenie.

-Wycofujemy się... - powiedział Jarvis szeptem, jakby obawiał się, że mogą zostać podsłuchane, zanalizowane i zrozumiane przez ową sztuczną istotę. Ayyar przez chwilę czuł to samo. Wolał stawiać czoła przeciwnikowi, który nadchodzi, nie maskując się. Na przykład skałec, fałszywy Ift czy ożywiony skafander kosmiczny - wiadomo, czym były i jak mogły się zachować. Światelka na panelu komputera - wszyscy byli przekonani, że oznaczają nadchodzące niebezpieczeństwo - to coś całkiem innego.

Światelka zapaliły się trzykrotnie, za każdym razem budząc do życia nowy wzór na panelu, a i kolory nie pozostawały te same. Za pierwszym razem dominował jasnoniebieski, za drugim jego ciemniejszy odcień, który z kolei ustąpił miejsca szkarłatowi. Ayyar wyczuwał napięcie, które ogarnęło ich wszystkich, gdy wysilając wszystkie zmysły próbowali zidentyfikować nadchodzące niebezpieczeństwo.

-Myrik, gdzie twoim zdaniem może znajdować się jednostka sterująca? - szepnął Jarvis, ledwie poruszając ustami.

-Gdziekolwiek; przecież nie jestem ekspertem w dziedzinie komputerów zaprojektowanych przez obcych.

-Ayyar, czy jesteś w stanie zlokalizować źródło mocy? - Mistrz Zwierciadła zwrócił się do niego.

Zapytany unosił miecz i wycelował jego czubek w nowo włączoną sekcję komputera. Poczł przyływ swej własnej siły wzbierającej w całym ciele, gotowej na spotkanie obcej mocy.

Z zamkniętymi oczami obracał się powoli wokół, i używając miecza jako przewodnika,

analizując przypyły i odpływy energii, starał się ustalić jej źródło - serce Nienazwanego. Przy obrocie w prawo odczuł niewielką, ledwie zauważalną zmianę. Obracał się nadal i za każdym razem, w tym samym miejscu, napotykał zmianę w natężeniu mocy. Odpływ, a po nim przyływ, znowu odpływ - i zupełny spokój. Otworzył oczy. Znajdował się naprzeciw martwego sektora, oznaczonego starymi, krzyżującymi się bliznami ciec, na którym nie było widać ani śladu napraw.

Instynktownie zamknął znowu oczy - nie miał pojęcia, dlaczego to takie ważne, ale w ten sposób lepiej wyczuwał obcą moc. W miarę jak się obracał, docierały do niego zmienne sygnały: nagle odpływy i przypyły, czasami tak silne, że mogłyby zwałić go z nog. Mocno, jeszcze mocniej, płynie... płynie... słabnie, odpływa, znowu wzbiera...

Tak wiele wiedział teraz o żywotności poszczególnych sektorów, ale nie przyszło mu do głowy, że inni także mogli coś zauważyć. Otwierał usta by przemówić, gdy niespodziewanie odezwała się Illylle:

-Spróbuj pod stopami.

Nie miał pojęcia, dlaczego to zasugerowała. Zrobił krok czy dwa do przodu i nagle miecz w jego ręce skierował się w dół, tym razem celując czubkiem w podłogę. Ponownie powoli zakolysał się, zwracając ku kolejnej ścianie - tak jak poprzednio - przyływ, odpływ...

Został pociągnięty do przodu, jakby trzymał linę. Padł pośpiesznie na kolana, a czubek miecza wbił się w podłogę.

Otworzył oczy. Znajdował się u stóp drabiny, która ich tu przywiodła. Podłoga w miejscu, w którym bron jej dotykała, rozjarzyła się oslepiająco, a z ostrza trysnęły wysoko iskry. Nie mógł wytrzymać oslepiającego blasku i zaniknął oczy. Raptem miecz zagłębił się w podłodze jak w miękkim piasku, potem zostało polknięte ostrze, a za nim zaczęło pograżać się ramię Ayyara.

-Tnij! - Jarvas unikając deszczu iskier, pośpiesznie ukląkł obok. Wyciągnął rękę, jakby miał zamiar ująć w nią rekojęsc broni, ale wzdrygnął się i poniechał próby.

Nie do końca rozumiejąc co robi, Ayyar spróbował poruszyć ostrzem, które nieco ustąpiło pod naciskiem dłoni. Ciało z łatwością przez substancję tworzącą podłogę, a może po prostu ustępowała ona, unikając wszelkiego kontaktu z ostrzem. Otwór poszerzał się, a on nieprzerwanie ciał w prawo, w lewo, w przód i tył... Nagle szarpnął się i odskoczył, nie unikając jednak bolesnego kontaktu z klebami gorącej pary buchającymi pomiędzy czerwonych i rozżarzonych krawędzi otworu.

Strumień energii, dotąd uwieczony w jego ciele, spłynął do miecza, ostatecznie pomagając otworzyć przejście; był tak silny, namacalny, że prawie go widział. Otwór był teraz dostatecznie obszerny, aby zmieścić człowieka; wydobywał się z niego mocny zapach topionego metalu.

-Na schody, ostrożnie! - zawolalo ktoreś z nich ostrzegawczo.

Promień światła wystrzelił niespodziewanie, połączył brzegi otworu i zwał się z iskrami sypiaczymi się z miecza, które rozbłysnęły razem w oslepiającym wybuchu jaskrawości.

Oslepiony Ayyar krzyknął przeraźliwie z bólu. Miecz ciągnął go i nie dawał się puścić. Gorąco przepelnilo jego ciało, nie miał pojęcia, że ból tak wielki może w ogóle istnieć... Oslepiony, upadł pod ciężarem miecza, nad którym nie panował ani nie mógł go wypuścić z ręki. Uderzył się o coś dotkliwie i leżał teraz, zwijając się z bólu. Bron nadal ciężka, nie pozwalała się podnieść - nawet ręka, w której ją trzymał, pozostawała bezwładna. Ponownie opuściła go energia. Coś się paliło - czuł gryzący, duszący dym...

Siedział przy planszy z grą - wszystkie te dziwne linie, pola i kropki, których nie umiał zinterpretować, jasniały. Nienazwane - jego dotychczasowy przeciwnik, którego dotąd nigdy nie widział, a tylko wyczuwał jego obecność - było tu, ale nie zwracało na niego najmniejszej uwagi. Nie, nie wycofało się - Ono zamknęło się w sobie. Spojrzał w dół na planszę i zobaczył, że wszystkie obce figury - skafandry, Larshowie i inni - leżały poprzewracane, tocząc się w różne strony. Tu i owdzie ktoś z nich podnosił się, ale tylko po to, aby po chwili ponownie upaść.

Natomiast po jego stronie drzewa i krótki szereg drzących z przerażenia Iftów, trwał nieporuszenie.

Nienazwane, jeszcze przed chwilą prowadzące nieznaną grę z wielką pewnością siebie - teraz wycofywało się w głąb siebie, zapadało w niebyt... Mimo to zagrożenie nie znikło, Ayyar wyraźnie wyczuwał niebezpieczeństwo, gdyż teraz Nienazwane było... oblakane!

Obejmowały, podtrzymywały go czyjeś ramiona. Plansza znikła. Trzeba im koniecznie powiedzieć...

-Ono... jest... szalone...

Ciągnęli go dokądś, ciało przeszywał straszliwy ból, nic nie widział...

-Pozwólcie mi...

Lecz oni nie słuchali jego prośb. Był zaledwie pusta skorupa, cała energia, jaka w sobie nosił, została zużyta w walce, nie był w stanie ani błagać ani, wyrwać się.

-Wyniesmy go na powietrze. Uwaga! Zniszcz to! Ruszajmy!

Nic nie znaczące słowa wypowiedziane wysokim głosem. Nie miały one znaczenia - nic nie miało znaczenia. Zagubił się, istniał tylko on i ból - czasem ostro szarpający, a czasem tępy i przytłumiony, ale wciąż obecny. Po chwili zakrztusił się, rozkaszał i znowu zachłysnął powietrzem - ależ to bolało! Jedyne, do czego tęsknił, to aby kojąca ciemność zamknęła go

w szczelnym kokonie.

-Ono oszalalo... Ach! - Glos, przenikliwy i ostry, zdolal przebic ciemnosc wokol niego. - Rizak, strzez sie drzew

Ayyar mogl teraz latwiej oddychac. Cos sie zmienilo... Czyjes rece trzymaly go mocno. Przelknal chlodny plyn zwilzajacy mu usta, sciekajacy po brodzie.

Chlod koil poparzone powieki; wzial gleboki oddech i po czul sie nieco lepiej.

Ziemia pod stopami zakolysala sie, uslyszal zgrzyt, a nastepnie przerazliwy krzyk dobiegajacy gdzies z daleka. Nie mogl sie ruszac, choc poczul wewnetrzny przymus, by zerwac sie i w panice biec, byle dalej od tego przekletego miejsca. Trzymajace go rece zaciskaly sie, potegujac przerazliwie klujacy bol w ramionach i klatce piersiowej. Staral sie odezwac, ale wszystko zagluszył narastajacy wokolo tumult. Ziemia znow drgnela pod stopami i cos potwornie huknelo...

Zamrugal, probujac skupic wzrok i zorientowac sie, co sie dzieje wokol, ale nie na wiele sie to zdalo. Na jasnym tle przesuwal sie jakies cienie. Obok niego przeplynelo cos duzego i czarnego, uslyszal trzask jakby pekniecia...

W uszach brzmial mu ostrzegawczy krzyk: - Uciekaj cie! To pulapka! - Dwaj towarzysze poniesli go, trzymajac pod ramiona, ze stopami wlokacymi sie bezwolnie po ziemi

Kiedy przystaneli, instynktownie spodziewal sie kolysania ziemi pod stopami, lecz nic takiego nie nastapilo. Poczul czyjes rece opasujace go ciasno tasma tuz pod ramionami i wktrotce poczeto go wciagac na gore. Ponownie fala nieznosnego bolu rzucila go w czarna otchlan niebytu.

-Ayyar... Ayyar...

Lezal w ladowni statku kosmicznego, zmarzniety, polmartwy. Nazywal sie Naill Renfro i zaciagnal sie do prac; na odleglym swiecie. Obudzono go zbyt wczesnie. Teraz umieral powoli, gleboko w kapsule, ktora miala go we wlasciwym czasie zaniec na powierzchnie planety. Jego pluca domagaly sie powietrza, a cialo przemarzalo na wylot w kosmicznej prozni. Walczyl z kapsula, probujac wyciagnac rece, rozpostrzec ramiona...

Wciaz ciemno, ale nieco cieplej... Lagodna wilgoc na wargach, oczach, twarzy. Uslyszeli go... ze statku nadeszlo wybawienie! A wiec bedzie zyl!

Odczekal, az owa substancja splynie, i otworzyl oczy. Widzial - wprawdzie mgliscie, ale widzial!

To nie oficer ze statku... nie sluzba medyczna... Zielonoskora owalna twarz o skosnie osadzonych oczach. Twarz delikatna, o szczerym wyrazie. Brak rzes, brwi i wlosow nad

szerokim czołem...

-Ayyar... - Wyszepały jego wargi.

Ayyar? Czy to powitanie? Pytanie, imię? Pragnął dowiedzieć się, zapytać, lecz nie znajdował siły, by wydobyć z siebie głos.

Za plecami pochylonego nad nim stworzenia wyrosła druga postać.

-Jak się czuje?

-Myślę, że się ocknął. - Wyczuł wahanie w głosie pierwszego, bliźszego.

-Ayyar?

Nowo przybyły zniknął gdzieś z pola widzenia, ale przed oczami Ayyara przesunęła się zielona reka. Powiodł za nią oczami.

-On widzi! - obserwator wyprostował się, zadowolony. - Ayyar? - Tym razem pytanie zadano z większym naciskiem.

Ayyar? Kim... czym był Ayyar? Ayyar z Iftcanu! Pamięć triumfalnie zwróciła mu tożsamość. To... on... był Ayyarem! Odczuł ogromną radość i podniecenie.

-Wie, pamięta... znowu jest Ayyarem!

Pierwszy z Zielonych Ludzi... Zielonych Ludzi? Iftow! Znowu pamięć podsunęła mu nazwę, i to właściwą.

-Ayyar, musimy natychmiast iść!

Wyższy z Iftow podniósł go i wspierając ramieniem umożliwił mu rozejrzeć się dookoła. Ziemia podskoczyła dziko pod stopami i zamarła. Czerwone i czarne, zwęglone podłoże wyglądało jakby jakiś gigant przemieszczał je z wielkim zapalem, używając do tego wiosła lub miecza.

Miecz? Dłoni jego powędrowała bezwiednie w poszukiwaniu wiernej broni.

-Miecz? - Prawdopodobnie zadał to pytanie na głos, gdy zauważył nagle troskę w oczach bliźszego Ifta, który odpowiedział szybko:

-Przepadł w starciu z Nienazwanym. Uczynił to, czego nie dokonała w swoim czasie klinga Kymona...

-Później przyjdzie czas na snucie legend - przerw; im Ift, który podtrzymywał Ayyara - ale teraz ruszajmy.

Drugi Ift pomógł podtrzymywac Ayyara, który uparcie wodzil wzrokiem od jednego do drugiego. Wreszcie pamiec podsunela imiona:

-Jarvas... Kelemark...

Uśmiechneli sie do niego radosnie, jakby te slowa sprawily im ogromna przyjemnosc. Bardzo szybko jednak trudy poruszania sie w dol, po zrytym terenie, starly usmiech z ich twarzy.

Ayyar mial wrazenie, ze podczas powolnej i bolesnej wedrowki kilkakrotnie zapadal w sen. Raz zdawalo mu sie, ze przemkнал obok nich jakis ryczacy i zgrzytajacy obiekt przed którym schronili sie w zaglebieciu terenu. Innym razem przycupneli miedzy skalami, ukrywajac sie przed zielonymi ludzmi, podobnymi zewnetrznie do Iftow. Poruszajac sie na oslep wpadali oni na siebie, walczac zajadle. Inni ranili sie dotkliwie na skalach. Wszystko to wzial za mare senna i nie czul obawy przed tym, co widzial.

Okoliczny teren tu i owdzie pokryty byl zielenia, która, choc jeszcze rzadka i mizerna, wiele obiecowała. Na galazkach pojawily sie zawiązki lisci, przenikane swiatlem ksiezycy. Paczki na wiotkich jeszcze lodygach i galazkach. Powietrze przesiakalo delikatnymi woniami... Ayyar, choc slaby ciałem, nareszcie czul, ze umysl ma jasny, a pamiec sprawna. Zapragнал sie podniesc.

Na widok jego niezdarnych prob, podeszła Illylle i pomogła mu usiasc. Uklekla, trzymajac drewniana butelke, podala mu sok i dala sie napic. Poddal sie po raz kolejny jego odswiezajacemu dzialaniu, czujac, jak rozchodzi sie on po calym ciele. Poczawszy sie pewniej, wstal, pomagajac sobie rekami. Znajdowali sie na polanie w lesie - dookola krolowała wiosna w pelnym przepychu. Czy to sen...?

-Gdzie jestesmy? - zapytal, chcąc sie upewnic, ze na pewno wydostali sie z podziemi. Illylle przysiadła na pietach i zamykala własnie butelke; usmiechnela sie do niego:

-Na dzikich terenach polnocy.

-Iftcan!

-Nie. Nie ma i nigdy juz nie bedzie Iftcanu. - Cien smutku padł na jej twarz. - Nie odrodzi sie juz, a wiec trzeba nam zasiac nowe zycie, a nie liczyc na powrot starego.

Ayyar nie probowal nawet zrozumiec jej slow - wystarczyła mu bloga swiadomosc, ze sa znow w prawdziwym lesie. Ten stan zadowolenia nie trwał jednak zbyt dlugo. Gdy pozostali Iftowie nadeszli droga miedzy paczkujacymi drzewami, zapragнал dowiedziec sie wiecej.

-Odnieslismy zwyciestwo nad Nienazwanym - powiedzial Jarvas. - A raczej to moc przekazana twemu mieczowi przez Thanth zwyciezyla, gdyz to ona odnalazła i spopiellila jednostke sterujaca sztuczna inteligencja. Po tym, jak zabrakło centrum dowodzenia,

Nienazwane oszalało i teraz nikt nie ma kontroli nad jego pozostałościami. Nie mamy pojęcia, co uniknęło zagłady i nadal nam zagraża. Imitacje Iftów oraz maszyny, które im służyły, wymknęły się spod kontroli i niszcza się wzajemnie. Dotąd nie wiemy, jaki to wszystko ma wpływ na zniewolonych ludzi. Oddział, który udał się do portu, zbada, czy nie ma tam imitacji mieszkańców, i postara się przejąć kontrolę nad miastem. Minie trochę czasu, zanim poznamy, w jakim stopniu Janus odzyska wolność i niezależność - potrząsną głową.

-W zasadzie to prawda - ciągnął po chwili. - Nie nazwane nie odrodzi się po tym, jak wypaliliśmy mu serce. Pozostawiło po sobie chaos i zniszczenie. W razie gdyby nie udało się nam wyswobodzić ludzi, przygotowaliśmy drugi plan. Pozostawimy w porcie nagranie, szczegółowo opisujące co się wydarzyło, i taki sam zapis wysłamy również w przestrzeń kosmiczną. Swoją sekret - mam na myśli fakt że podlegliśmy przemianie - zachowamy na razie dla siebie. Lecz będziemy rozmawiać z każdym, kto uważa się za rdzennego mieszkańca planety. Jeśli nie da się pomóc więzniom, odpłyniemy za wielką wodę.

Spoglądał w dal, gdzieś za Ayyarem, jakby szukając wzrokiem czegoś zaginionego lub dawno minionego, za czym bardzo tęsknił.

-Iftcan przepadł i nigdy już się nie odrodzi. Może z pomocą ludzi spoza planety moglibyśmy dowiedzieć się więcej o przeszłości Iftów badając Pustkowie i podziemia. Powołamy do życia nową rasę i nigdy nie będzie ona nosić piętna Nienazwanego. Ale wszystko to po kolei - jedna rzecz na raz. Siewu i wzrostu nie można przyspieszać, nie przyniosłoby to nic dobrego.

Zamilkł, a Ayyar, który musiał zapomnieć, że nigdy nie był Naillem, unosił głowę i wystawił twarz na chłodny, przyjemny wiatr, niosący słodkie obietnice nadchodzącej wiosny. Odpoczywali na ruinach swego świata, podczas gdy dookoła budziło się do życia nowe, pokrewne im, życie. Ayyar poczuł, że wewnątrz zaczyna się proces wielkiej odnowy, porównywalny ze strumieniem energii bijącym ze Zwierciadła. Iftcan zmarł, lecz Wielkie Korony znowu wzrosną pod niebo i kiedyś słuchacz będzie pisał o ich wyprawie. Kto wie czy słowa jej pozostaną dla słuchacza czytelne, gdyż legenda rzadzi się własnymi prawami i tak wikła wątki, że po wiekach prawda ledwie przeziiera spod mitu.

Ifta miecz, reka Ifta,

Serce Ifta - Ifta plemię!

Szykowany w ukryciu,

Schłodzony przez księżyc,

Jad Zła, ostateczne przeznaczenie.

Zrodzone z wojownika, który stanie

przed Wrogiem z mieczem w rece...

Illylle spiewala slodko i radosnie, a jej piesn wyrazala nastroj ich wszystkich. Ayyar potrzasnal glowa.

-Ja nie bede bohaterem piesni o herosie - nie jestem Kymonem i nie bylem sam.

Jarvas rozesmial sie.

-Osad pozostaw potomnym. Moze bysmy tak dla odmiany zajeli sie dniem dzisiejszym?

Wyciagnal reke, ktora Ayyar ujal, czujac, jak udziela mu sie sila Mistrza Zwierciadla, przenikajac go az do stop. Druga reke chwycila Illylle. Powedrowali przed siebie, spiewajac "Piesn o Kymonie", jako ze pasowala na dzien zwyciestwa jak zadna inna.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/